

Święty niegdyś wojownik dręczony przez grzechy przeszłości i wiekowy elf, jego jedyny przyjaciel, łączą siły z grupą patriotów zdecydowanych przywrócić dawną chwałę swojemu ukochanemu krajowi. Ale zadanie, które początkowo wydawało się łatwą okazją do zarobku, wkrótce wciąga ich w spisek mający na celu narzucenie całemu światu jarzma władzy szalonego kapłana mrocznego bóstwa.

Jedynie wyjście, jakie im pozostało, może skazać ich dusze na wieczne potępienie albo stać się ostatnią szansą na odkupienie grzechów jednego człowieka w...

Krypcie Grozy

Książki ze świata Greyhawk

PAUL KIDD

KRÓLOWA PAJĘCZYCH OTCHŁANI

THOMAS M. REID

Świątynia ZŁYCH Żywiołów

KEITH FRANCIS STROHM

KRYPTA GROZY



Keith Francis Strohm

Krypta Grozy

Tłumaczenie: Przemysław Bieliński

Wydanie I

ISA Sp 2003



GGW

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakikolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe.

Marlowi
za cierpliwość i nieocenione wsparcie:
Nikt, nawet deszcz, nie ma tak drobnych dłoni.
- *Edward Estlin Cummings*

Markowi, mojemu wydawcy, który znosił dłuższe
opóźnienia, niż prawdziwy profesjonalista powinien:
Mea Culpa





Mierzył upływ czasu eksplozjami cierpienia.

Ból swoim straszliwym natężeniem wyrwał go ze snu niczym niezaspokojona kochanka. Próbował krzyknąć, kiedy rozpalone do czerwoności ostrze liznęło jego brzuch swoim ostrym jak brzytwa jęzorem, ale udało mu się wydobyć z siebie zaledwie słaby charkot. Stawy jego ramion dawno wyskoczyły z panewek pod ciężarem ciała i z trudem oddychał. Na szczęście nie czuł już ognistego pocałunku stalowych ćwieków, którymi przybito do ściany jego kostki i nadgarstki.

Ciało zapłonęło po raz kolejny. Poczul, jak posiniaczone mięśnie wewnętrznej strony jego uda drą się na strzępy pod dotykiem ostrza i tym razem zmusił się do krzyku. Nie marnował czasu na błagania o litość. Wiedział, że nie zostanie mu okazana. Krzyczał tylko, aż gardło spłynęło mu krwią.

Dopiero, kiedy niemal zakrztusił się gęstym zapachem kadzideł, uświadomił sobie, że ból przeszedł w tępe pulsowanie, niekończącą się pieszczotę. Musiał stracić przytomność. Ciche głosy uniosły się w szeptanym zaśpiewie. Chociaż nie rozpoznawał szorstkiego języka, przyspieszające kadencje były mu przerażająco znajome. Rozbrzmiewały coraz głośniejsze, a on poczul, że kręci mu się w głowie. Wokół jego myśli owinęła się cienka warstwa gazy. Potrząsnął głową w daremnej próbie jej zrzucenia, chociaż wiedział, że nie ma dla niego nadziei. Chciał płakać, ale nawet to nie było mu dane. Pierwszym, co te bydlaki w czarnych płaszczach zrobiły, było wykipienie mu oczu i zostawienie go w ciemnościach.

Lecz nie w samotności.

Coś jeszcze czaiło się bezgłośnie w wypełniającym go mroku. Obecność czyhająca pośród wypalonej pustyni jego koszmarów. Czul, że z każdą chwilą rosła w siłę, czul, jak sunie ku niemu z jakiejś niezmiernie odległości, przyciągana słowami starożytnego zaśpiewu i ofiarą jego cierpienia. Sapnął, kiedy wtargnęła do jego jaźni.

Pomyślał jeszcze o żonie i dzieciach, a potem pochłonęła go wola boga.

Wrzaski ukrzyżowanego proroka wstrząsnęły ciszą nocy. Pochwycony i wzmocniony przez płaskie wzgórza lasu Fellreev dźwięk powrócił echem do starożytnego klasztoru niczym nieświęte wezwanie do modlitwy.

Durgoth Shem na nie odpowiedział.

Z cichym westchnieniem tysięjący kapłan zebrał porozrzucane przed sobą fragmenty pergaminu. Zrobił to bardzo ostrożnie, by wiekowy i zetlały welin nie pokruszył mu się w dłoniach. Kiedy jego palce dotknęły szczątków księgi, poczuł w nich ukłucia bólu. Skrzywił się, lecz przyjął je, tak jak przyjmował wszystkie dary Mrocznego - z nadzieją i czymś, co przypominało potężny głód.

Ból się wzmagał i Durgoth prawie załkał. Czuł, jak powierzchnia opuszków pokrywa się pęcherzami, a wtedy nagle, tak samo niespodziewanie jak się zaczęło, cierpienie zniknęło. Durgoth podniósł się ostrożnie z podłogi, na której siedział. Jego zeszywniałe od wielogodzinnych medytacji kolana trzeszczały i jęczały. Popatrzył na księgę, marszcząc w zamyśleniu czoło, po czym schował ją ostrożnie za dwoma obluzowanymi kamieniami w zrujnowanej ścianie. Na popękanej, skórzanej oprawie - Durgoth podejrzewał, że wykonano ją z ludzkiej skóry - widniały purpurowe runy. Starożytne symbole wiły się, wyginały i pełzały jak węże. Przywykły od dawna do mocy księgi ciemności, Shem skupił się, a runy zamarły, układając się w znajomy wzór.

Tyle się wydarzyło od dnia, w którym znalazł *Kodeks minteksjański* w zawilgłych lochach głęboko pod klasztorem. Niegdyś był dumnym hierarchą Rogatej Społeczności, lecz jego potęga legła w gruzach, kiedy Iuz i zgraja jego demonicznych sług wdarli się do cytadeli Społeczności i rozpedzili jej przywódców po całym Oerth. Kapłana ciągle gryzły wspomnienia lat, które przeżył jak zwierzę, jako obiekt pogardy i drwin napotkanych ludzi.

Ale potęga wzywa żądnych władzy i taki właśnie zew zaprowadził Durgotha do zrujnowanego klasztoru, gdzie między rozsypującymi się kamieniami i przegniłymi belkami odnalazł księgę i odkrył boga o prawdziwie niezwykłej mocy. Słabsi ludzie nazywali kodeks jego zwyczajową nazwą, *Księgą dziewięciu cieni*, ale Durgoth wiedział, że korzenie prawdziwej potęgi boga biegną poza ciemność, do jądra samej nicości. Całymi miesiącami zmagął się z sekretami, które krył w sobie *Kodeks minteksjański*, aż w końcu przebił zasłonę tajemnicy. Posiadłszy moc starożytnych rytuałów, kapłan wzniosł schronienie, sanktuarium, w którym mógł się ukryć przed wrogością Dawnego i jego demonów. Z czasem w klasztorze pojawili się inni, zwabieni tu potęgą, którą odkrył Durgoth i mrocznymi snami o bogu. Teraz, po długich latach, Shem był gotów wcielić w życie plan, który miał wstrząsnąć podstawami multiwersum. Nie pierwszy raz zastanawiał się, czy wrzaski bogów sprawią mu większą satysfakcję, niż udręczone krzyki ludzi, którzy ich wielbili.

Takie próżne spekulacje muszą poczekać, uświadomił sobie, otoczony słodką pieśnią cierpienia ukrzyżowanego proroka, jej odurzającą melodią. Czas był bliski. Kapłan ułożył kamienie starannie na miejscu, dbając, by dobrze zamaskować miejsce ukrycia kodeksu, potem skłonił się ze złożonymi rękami i wymruczał słowa modlitwy, którą poznał podczas studiów nad mroczną księgą. Fragment ściany przed nim rozgorzał błękitnym kręgiem poświaty, która po chwili zgasła.

Zadowolony Durgoth zgasił ostatnie grube kadzidło na zaimprovizowanym ołtarzyku wzniesionym do prywatnych medytacji i owinął się ciężką, czarną szatą. Westchnął niecierpliwie, odwrócił się i stanął jak wryty. Przejście blokowała spowita cieniem postać.

- Zaczęło się, panie - zaintonowała chrapliwym głosem. Durgoth zaklął cicho, rozpoznawszy Jhagrena Syna. Miał nadzieję, że panujący w pomieszczeniu półmrok ukrył jego reakcję.

- Jhagrenie, wyraźnie zakazałem przeszkadzać mi, dopóki nie zakończę medytacji.

- Tak, błogosławiony - odparł mężczyzna. Te słowa znaczyły tylko tyle, ile znaczyły, były prawie pozbawione jakiegokolwiek intonacji, jak niemal wszystko, co mówił Jhagren. Nie zdradzały poczucia winy ani nie prosiły o wybaczenie. Podobnie jak sam mówiący nie ujawniały kapłanowi klucza do swoich tajemnic.

Jhagren Syn wyróżniał się spośród wszystkich, którzy trafili do mrocznego klasztoru. Pozostali byli tu z powodów, które Durgoth rozumiał - pożąдали władzy, dotyku Mrocznego, a niektórzy, kapłan sam to przyznawał, byli po prostu obłąkani, pożerani przez własne demony. Jhagren Syn jednak był inny. Chociaż jego umiejętności i przenikliwy umysł szybko wyróżniły go jako człowieka przydatnego, jego motywy pozostawały tajemnicą. Durgoth nie znosił tajemnic. Czego nie rozumiał, tego nie mógł kontrolować.

Czego nie mógł kontrolować, tego się bał.

Jakby wyczuwając myśli kapłana mroku, Jhagren wyszedł z cienia. Migoczące światło świec obmyło jego dziobatą twarz, ukazując mięsisty nos i grube wargi.

- Bóg przybył, o błogosławiony - powiedział mnich. - Nawet w tej chwili prorok przemawia słowami przepowiedni.

Jego rumiane, oliwkowe oblicze w blasku świec wydawało się jeszcze ciemniejsze niż zazwyczaj. Durgoth pomyślał, że ciemnoczerwone szaty Szkarłatnego Bractwa spływają z mnicha jak płaszcz z krwi.

Kapłan skinął krótko głową, prawie zapomniawszy o niezadowoleniu w świetle wiadomości, jaką przyniósł jego doradca, i gestem kazał mu iść za sobą. W milczeniu przemierzali dziedziniec klasztoru, otoczeni walącymi się, kamiennymi budowlami i wypalonymi belkami, echem dziejów. Durgoth wciągnął do płuc mroźne, zimowe powietrze i przyjrzał się ruinom. Wieki modłów, żywoty dokonane w służbie ideałów, święta sprawa, wszystko to nie zdołało powstrzymać śmierci i rozkładu. Tylko entropia, pomyślał z pewną satysfakcją, ma w sobie coś stałego.

Kiedy w końcu dotarli do wznoszących się samotnie na środku starożytnego dziedzińca pozostałości klasztornej kaplicy, mroczna ceremonia już trwała. Tuzin postaci w czarnych szatach klęczał w kręgu, w obu dłoniach ściskając kadzielnice z kutego srebra. Unoszące się z kadzielnic kłęby gęstego dymu wirowały w poszarpanych dziurach kamiennego sklepienia, a powietrze drżało nakładającymi się harmoniami zaśpiewu.

Spojrzenie kapłana przykuła ukrzyżowana postać nad kręgiem kultystów. Prorok, z rękami i nogami przygwożdżonymi do kamiennej ściany, uniósł głowę i wbił przed siebie spojrzenie pustych oczodołów, bez wątplenia utkwivszy je we wspaniałościach wizji Mrocznego.

Chociaż mnisi Durgotha ze strachu i szacunku nazywali go „Błogosławionym”, kapłan wiedział, że prawdziwie błogosławiony jest ten właśnie człowiek, patrzący na prawdziwą twarz boga. Uratowany przez mnichów przed żywotem spędzonym w mozole, spędzonym na zmaganiach z jałową, kamienistą ziemią farmy położonej na północ od Czerwonej Połaci Bandyckiego Królestwa, prorok miał oto dokonać swoich dni jako święty wieszcz starożytnego bóstwa. Durgoth zastanawiał się, czy mężczyzna pogodził się w końcu z łaską, jaką mu okazano.

Z zakrwawionych ust proroka popłynął potok słów. Durgoth rozpoznał płynny, śpiewny akcent starożytnego suelskiego. Chociaż nie rozumiał tej mowy, spostrzegł z zadowoleniem, że młody uczeń Jhagrena, zaznajomiony z tym niemal martwym już językiem, siedział pod ukrzyżowanym prorokiem i ze ściągniętą w skupieniu twarzą zapisywał starannie każde słowo. Durgoth patrzył, jak chłopiec odrzuca z czoła kosmyk jasnych włosów i przekrzywia głowę na bok.

Adrys. Przypomnił sobie jego imię po chwili zastanowienia. Bystry chłopak, może odrobinę za bardzo oddany swojemu panu, mimo to wciąż użyteczny. Chociaż w jego ruchach nie było wyćwiczonej swobody i chłodnej groźby Jhagrena, Durgoth był świadkiem jego treningu. Adrys mógł być wszechstronną bronią, jeśli tylko odpowiednio się go zachęciło. Kapłan przypomniał sobie, by nagrodzić go sownie, kiedy będzie już po wszystkim.

Jego rozmyślania przerwał okrzyk Adrysa w innym, nieznanym języku. Tym razem to Jhagren zareagował, zarzucając swojego podekscytowanego ucznia pytaniami. Po chwili skłonił się nisko i podszedł do Durgotha.

- Błogosławiony - powiedział z większym napięciem w głosie, niż kapłan kiedykolwiek u niego słyszał - ostatni czterowiersz jest na swoim miejscu. Wiemy już, gdzie spoczywa klucz.

W pierwszej chwili Durgoth spojrział na niego nie rozumiejącym wzrokiem, jakby nie dotarło do niego to, co usłyszał. Kiedy jednak pojął słowa mnicha, serce zabiło mu mocniej.

- Jhagren - prawie krzyknął w podnieceniu - odetnijcie proroka, kiedy skończy wieszczyc, ale dopilnujcie, żeby nie umarł. Mam dla niego inne zastosowanie. Potem wezwijcie wszystkich do wielkiej sali. Mamy dużo do zrobienia.

Kapłan uśmiechnął się, widząc, jak jego mnisi kończą rytuał i zaczynają wypełniać polecenia

Jhagrena, krocącego między nimi jak polujący drapieżnik. Już niedługo, pomyślał Durgoth, zemszczą się za lata upokorzeń. Kiedy tylko zdobędziemy klucz, plan wyda owoce.

Nareszcie Tharizdun będzie wolny.

Część I

„Groza to święty dar...”

- *Księga dziewięciu cieni*



Kaerion myślał, że tym razem będzie inaczej.

Ale zawsze było tak samo.

Ściany były białe czystą bielą marmuru z kopalni na Wzgórzach Kurhanów. Mury i nawy świątyni zdobiły pracowicie wykute zdobienia, łagodzące nieco proste, surowe linie jej pierwotnego kształtu. Na Kaeriona dumnie spoglądały posągi kobiet i mężczyzn o mocnych szczękach, wysuwając przed siebie tarcze i wznosząc miecze. Cała świątynia emanowała atmosferą siły, odwagi i woli walki z przeciwnościami.

Ciszę przerwał dobiegający z oddali wysoki sopran, pieścący każdą nutę, tkający misterną jak babie lato pajęczynę dźwięku. Kaerion rozpoznał jeden ze swoich ulubionych hymnów. Wybrał go na swoją dedykację.

Do świątyni weszła procesja. Rząd postaci w szarych szatach, z kapturami narzuconymi na pochylone głowy, szedł równym, statecznym krokiem, przez co uczestnicy procesji wyglądali, jakby płynęli nad podłogą. Chłopiec szedł na przedzie. Odziany w prostą, białą tunikę, ze spokojną twarzą rozjaśnioną delikatnym uśmiechem, szedł ku wznoszącemu się na środku komnaty ołtarzowi z niewinnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

Kaerion chciał działać, zbrojny w wiedzę o tym, co ma się zdarzyć, i unieść chłopca, ale jakaś siła nie pozwalała mu się poruszyć. Próbował wykrzyknąć ostrzeżenie, ale dźwięczny alt wyśpiewujący harmonie pieśni pochłonał jego głos, kiedy tylko otworzył usta. Rozejrzał się rozpaczliwie dookoła, szukając kogoś, kto by mu pomógł, ale nie znalazł ani jednego sprzymierzeńca.

Wtedy zaczął się wrzask.

W jednej, przyprawiającej o zawrót głowy chwili cudownie tkany hymn załamał się w bolesnym dysonansie. Kaerion zakrył uszy brudnymi dłońmi, desperacko próbując uciec od kakofonii. Wrzaski powoli ucichły, on słyszał jednak jeszcze jeden głos, odległy i słaby, ale przybierający na sile. Zamknął oczy próbując zignorować zapach krwi, który zanieczyścił powietrze i skupił się, by zrozumieć, co mówi do niego nowy głos. Powoli zaczął pojmować...

- Kaerion, zwlecz swoje przez bogów skarane dupsko z tego barłogu!

Koszmar rozpętał się, kiedy czyjś but boleśnie wyrznął Kaeriona w bok. Wojownik jęknął -jego pełny pęcherz zaprotestował przeciwko takiemu traktowaniu - i machnął słabo ręką, próbując odpędzić napastnika. Żołądek skręcił mu się potężnie, niemal wyrzucając z siebie zjedzoną wczoraj okropną baraninę. Jedyne siła woli i język spuchnięty do swoich dwukrotnych rozmiarów oszczędziły mu tego poniżenia.

Z jego ust wyrwał się kolejny jęk, tym razem spowodowany pulsującym łomotaniem w głowie, które szybko przyćmiło ból kopniętego boku. Kaerion przetarł swoją poznaczoną bliznami dłonią sklezione niemal na stałe powieki i zmusił się do spojrzenia w twarz demona, który wyrwał go ze snu.

Spojrzenie odwzajemniła ostra, trójkątna twarz o brwiach uniesionych jeszcze wyżej niż zwykle - w gniewie lub rozbawieniu, nigdy nie dało się tego stwierdzić na pewno. Elf uniósł pięść, najwyraźniej gotów ponowić cios, ale Kaerion wyciągnął rękę w geście kapitulacji, zastanawiając się, kiedy gnomy w jego głowie dadzą sobie spokój z kuciem czaszki.

- Pokój, Gerwyth - wymamrotał - albo niech mnie, jeśli nie cisnę twojego kościstego elfiego zewłoka za okno.

Niewzruszoną twarz elfa wykrzywił cień uśmiechu, rozciągając obce rysy w wyraz ulgi. Delikatne kości policzkowe Gerwytha uniosły się, akcentując jeszcze dobitniej trójkątny kształt jego oblicza. Długie, jasne włosy, przytrzymywane nad wysokim czołem srebrną opaską spływały prostymi pasmami wokół uszu, by zamienić się w splątane katarakty na okrytych ciemnozielonym płaszczem ramionach. Spod fałd płaszcza błyskały w świetle świec metalowe guzy.

- Niech cię, Kaerion, to poważna sprawa. - Z twarzy elfa zniknęły wszelkie ślady wesołości. - Znów jesteśmy w opalach, i niech mnie powieszają i poćwiartują, jeśli mam zamiar umrzeć, bo ty jesteś przesiąknięty piwskim.

- Co znowu? - zapytał Kaerion, gramoląc się niepewnie na nogi. Pokój wściekle zawirował, ale wojownikowi udało się chwycić ściany, zanim upadł. Włosy śmierdziały mu tabaką, a cała komnata cuchnęła kwaśnym odorem jego potu. Prawie od tego zwymiotował, ale jeszcze raz zapanował nad swoim buntowniczym żołądkiem, wydając z siebie zamiast tego potężne beknięcie.

- Na krew bogów, Kaerion! - zawołał elf. - Jak długo jeszcze zamierzasz sobie to robić?

Kaerion zignorował pytanie - jak zawsze. Był o wiele za trzeźwy, by rozmyślać o okolicznościach, przez które tu trafił. Pragnął jedynie znaleźć sobie jakiś ciemny kąć i spać się tak, żeby przestało mu huczeć w głowie.

- Powiedziałeś, że jesteśmy w opalach - odparł z o wiele większym spokojem, niż naprawdę czuł. - Jakich opalach? - Pomyślał, że może rozsądna rozmowa z jego starym przyjacielem zmniejszy prawdopodobieństwo, że ten będzie dalej krzyczał.

- Pamiętasz kupca, który potrzebował ochrony dla karawany przewożącej dobra z Hammensend do Woodwych?

Kaerion pokiwał głową. Chciwy drań wynajął oprychów, by okradli z kosztowności wybrane rodziny, a potem próbował sprzedać łup pierwotnym właścicielom za podwójną cenę. Dobrze, że nie udało im się wrócić do Hammensend pomyślał Kaerion, bo to ścierwo miałyby z nim do czynienia.

- Chodzi ci o mistrza Hemoną, złodzieja, który...

- Chodzi mi o kupca, który wynajął nas do ochrony swoich interesów - przerwał elf. - Powiązanego z połową świata przestępczego w tym mieście. - Przerwał, najwyraźniej szukając u Kaeriona oznak zrozumienia, do czego zmierza.

Kaerion otworzył usta, by zaprotestować, ale Gerwyth przerwał mu ostrym gestem.

- Bogowie! Musiałeś wziąć na siebie „redystrybucję” tych złotych nobli?

Kaerion poczuł, że i w nim zaczyna wzbierać gniew. Łomotanie w jego głowie również.

- To i tak nie były jego pieniądze - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Pięć lat podróżowali wspólnie po drogach i bezdrożach południowego Flanaess, a Gerwyth dalej nie rozumiał. Mimo tego wszystkiego, co mu się przydarzyło, mimo tego, że tuzin razy udowodnił swoją winę i tchórzostwo, kilka rzeczy wciąż miało znaczenie.

Na przykład spać się do nieprzytomności, podpowiedziała jakaś część umysłu Kaeriona, zamiast stać tak i kłócić się jak stare małżeństwo.

- Tak, cóż - odparł elf z wdziękiem odtrąconej przekupy. - Teraz wykorzystał pieniądze, które dla odmiany do niego należą i wyznaczył nagrody za nasze głowy. Byłem w dokach, kiedy się o tym dowiedziałem. Wygląda na to, że całkiem sporo ludzi nie ma nic przeciwko temu, żeby podzielić się nagrodą i najwyraźniej niedługo zechcą spróbować ją zdobyć. Musimy na jakiś czas wyjechać z Woodwych. Jeśli się pospieszymy, będziemy mogli rozpocząć naszą podróż, kiedy tylko otworzą bramy. Mam trochę pieniędzy odłożonych w Rel Mord. To dość duże miasto, żeby się w nim przycząić, dopóki nie spotkamy się z naszym łącznikiem.

- Łącznikiem? - powtórzył sarkastycznie Kaerion. - Dla kogo tym razem pracujemy, dla Kręgu Ośmiu? - Prawdę mówiąc, nie miał ochoty pracować dla nikogo i wiele razy mówił to przyjacielowi. - Nie biorę żadnych więcej zleceń, Gerwyth — oznajmił stanowczo.

Oczy elfa rozbłysły szmaragdową zielenią. Blisko dziesięć lat znajomości nauczyło Kaeriona odczytywać nastroje przyjaciela. Kiedy jego oczy w kształcie migdałów przybierały taki kolor, oznaczało to, że tropiciel robi się bardzo niebezpieczny.

Gerwyth jednak nie podjął wyzwania.

- Możemy się o to pokłócić kiedy indziej - odparł. - W tej chwili musimy się stąd wynieść, zanim będzie...

W oddali rozległ się ostry trzask łamanego drewna.

- ... za późno - dokończył elf.

Kaerion usłyszał niskie, gardłowe głosy, zaraz potem kilka stłumionych krzyków i zrozumiał, że odnalazły ich kłopoty. Miał tylko nadzieję, że dranie nie zrobili krzywdy oberżycie i jego rodzinie. *Skrzydło Gryfa* nie było z całą pewnością najlepszą gospodą w murach Woodwych, ale jej właściciele byli porządnymi ludźmi, nawet jeśli ich klienci pozostawiali wiele do życzenia. Jeśli tego wieczora ktokolwiek z rodziny szynkarzy został skrzywdzony, pomyślał gniewnie Kaerion, wróć do Hammensend i własnoręcznie wypatroszę tego tłustego złodzieja.

Drzwi jego pokoju zadygotały pod potężnym uderzeniem.

Kaerion odruchowo sięgnął po miecz i zaklął, kiedy odkrył, że nie ma na sobie pasa. Rozejrzał się, próbując przypomnieć sobie, gdzie go rzucił. Bojowe napięcie zlikwidowało większość efektów poprzedniego wieczora, jak to się zawsze działo. Kaerion wciąż jednak nie czuł się do końca pewnie; dopiero po kilku chwilach dostrzegł zużytą pochwę miecza, wystającą spod poplamionego i brudnego płaszcza.

Wyciągnął broń, a drzwi zadrżały od następnego uderzenia. Na jego oczach grube drewno zaczęło pękać. Kaerion spojrzał na Gerwytha. Elf skończył właśnie zakładać cięciwę na łuk. Srebrne runy, jarzące się wzdłuż jesionowych ramion zalewały pomieszczenie zimnym blaskiem.

Kaerion zacisnął dłoń na wytartej rękojeści miecza. Wieloletni nawyk kazał mu wysunąć kciuk i potrzeć biały diament osadzony głęboko w owiniętym w skórę jelcu. To zawsze uspokajało go przed bitwą. Zmełł w ustach przekleństwo kiedy tylko dotknął zimnej stali i spojrzał gorzkim wzrokiem w kąt małego pokoju, gdzie stała oparta o ścianę okuta i wysadzana klejnotami pochwa.

Galadorn, wymówił bezgłośnie imię miecza, tak tęsknie, jakby wzywał utraconą przed laty kochankę. Kiedyś usłyszałby jego odpowiedź, wypowiedzianą dumnym i potężnym głosem dźwięczącą nieziemską czystością, teraz wyczuł jedynie delikatny szept, podobny echu ostatniego pożegnania. Zachwiał się prawie pod znajomym brzemieniem straty, które nagle na niego spadło.

Miecz, wykuty przy pomocy potężnej magii i pobłogosławiony, wedle legend, ręką samego Heironeusa, chronił tego, kto go dzierżył przed wszystkimi zaklęciami, z wyjątkiem najpotężniejszych, a jego święta moc pozwalała przeciąć najgrubsze pancerze. Teraz jednak moc miecza była dla Kaeriona niedostępna. Mężczyzna stracił ją w chwili, gdy jego wiara załamała się pod kopułami piekielnej świątyni. Choć robił, co mógł, by odrzucić tę pamiątkę przeszłości, miecz wciąż pozostawał u jego boku. Kaerion próbował wszystkiego, od obciążania go i ciskania w fale rzeki, po wynajmowanie czarodziejów, by rzucili na miecz czary zatrzymania. Rezultat był zawsze taki sam. Kaerion budził się rano z pijackiego ośpienia, a broń spoczywała tuż przy jego dłoni - na zawsze schowana w wysadzonej klejnotami pochwie. Dlatego musiał posługiwać się zwyczajnym kawałem zimnej, martwej stali.

- Moglibyśmy wyjść oknem i wspiać się na dach. - Głos elfa przerwał ponure rozmyślenia Kaeriona. - Za wysoko, żeby skoczyć na ulicę z okna.

- Gerwyth, wiesz, że ja nie będę uciekał.

Tropiciel uśmiechnął się, zarzucając płaszcz na smukłe ramię.

- Kto mówi o uciekaniu? Na dachu będzie łatwiej - powiedział, wskazując na lśniący łuk - odstrzelić tych, co nas ścigają.

Kaerion wzruszył ramionami i podszedł za przyjacielem do okna. Nie miał czasu założyć zbroi, a w ciasnym pomieszczeniu łatwo mógłby dać się zapędzić do kąta i paść pod samym naporem atakujących. Dach był miejscem dobrym jak każde inne, by wysłać tych zbójów z powrotem do mrocznej matki, która wydała ich na świat.

Drzwi w końcu padły pod naporem atakujących, którzy krzyknęli zwycięsko, kiedy pękła ostatnia deska. Wskakując na parapet okna, Kaerion dostrzegł jeszcze błysk kolczug pod płaszczami. To ich przynajmniej trochę spowolni, pomyślał, podciągając się na gzyms.

Nad sobą widział Gerwytha. Zręczny elf wturlał się cicho na dach. W pokoju rozległo się wycie napastników, którzy zrozumieli, że ich ofiary uciekają. Kilkoma szybkimi podciągnięciami Kaerion wdrapał się na dach i zatrzymał na chwilę, by złapać oddech.

Nad miastem wisiało szare światło przedświt i wszystko dookoła sprawiało wrażenie miękkiego i przyćmionego. Twarz Kaeriona muskały swoimi zimnymi palcami pasma mgły. Gerwyth stał obok, z lekko przekrzywioną głową, badając wzrokiem miejski horyzont. Kaerion wiedział, że jego przyjaciel coś wyczuł; pozwolił, by jego łowieckie instynkty - instynkty, które czyniły go jednym z najlepszych tropicieli i przewodników w południowo-wschodnim Flanaess - wykryły źródło jego niepokoju.

- Mamy towarzystwo - powiedział po chwili elf.

Ciszę poranka przeciął brzęk cięciwy i ostry syk strzały. Kaerion uskoczył w bok i z zadowoleniem dostrzegł, że jego przyjaciel zrobił to samo. Strzała pękła, uderzając w kamień.

Wojownik nie był jednak przygotowany na niespodziewane pojawienie się sześciu postaci, które wyskoczyły z półmroku. Zobaczył jeszcze, jak Gerwyth odbija dwa ciosy mieczy utwardzonymi ramionami swojego magicznego łuku, a potem uchyla się, unikając świszczącego cięcia wymierzonego w jego szyję. Zamachnął się własnym ostrzem, czując z satysfakcją, jak wbija się głęboko w brzuch przeciwnika.

Drugi z atakujących nie tracił jednak czasu i wykorzystał lukę w obronie Kaeriona. Były paladyn chrząknął, kiedy pancerny buciór trafił go w bok. Wojownik, pchnięty kopniakiem, odskoczył w tył, zyskując trochę dystansu od swoich przeciwników.

Było ich czterech, każdy miał twarde spojrzenie i zaciśnięte zęby, każdy wyglądał jak zawodowy zabójca. Ten w ciężkich butach okrył się kolczugą i trzymał w dłoni zakrzywiony miecz. Z trzech

pozostałych ten właśnie miał najzimniejsze oczy i Kaerion wiedział, że będzie musiał go szybko wykończyć. Dwaj pozostali nie mieli zbroi, za to ściskali w obu dłoniach długie sztylety. Czwarty leżał na ziemi, ściskając wypływające wnętrzności.

Kaerion wyprostował się i przeniósł ciężar ciała na środek, głęboko, spokojnie oddychając. Ostatki efektów wczorajszej rozpusty zniknęły, przegnane znajomym podnieceniem walką. Niech przyjdą, pomyślał. Będą musieli ze mną walczyć na moich warunkach.

Dach rozbrzmiewał odgłosami bitwy. Kaerion zaryzykował szybkie spojrzenie na swojego przyjaciela i zauważył z satysfakcją, że elf rzucił łuk i trzyma teraz w dłoniach dwa lśniące, krótkie miecze, którymi włada z precyzją eksperta. Jeden z jego przeciwników leżał na ziemi, ściskając ręką miejsce, gdzie szyja łączy się z barkiem. Spomiędzy palców mężczyzny tryskała krew, obryzgując zimne kamienie dachu.

Pełne wściekłości prychnięcie ściągnęło uwagę Kaeriona z powrotem na jego własne problemy. Mężczyzna zasłonił się mieczem przed opancerzoną postacią biegnącą ku niemu z wzniesioną bronią. Kaerion zaklął, kiedy obie klingi zetknęły się z siłą, która niemal złamała mu nadgarstek. Bogowie, ten to jest silny!

Obaj napastnicy ze sztyletami zaatakowali z boków, a Kaerion chrząknął z wysiłku, uwalniając miecz uwięziony przez wygięte ostrze broni przeciwnika. Uniknął pierwszego, szybkiego jak atak żmii ciosu sztyletu, stawiając lewą stopę w gardzie głównego przeciwnika, prawą zaś wyrzucając za siebie skrętem bioder. Impet obrotu uwolnił miecz, ale odsłonił bok Kaeriona sztyletowi drugiego mężczyzny. Wojownik krzyknął z bólu, kiedy dwa ostrza przebiły mu bark i przedramię.

Czując, że zwycięstwo jest blisko, opancerzony wojownik zdwoił wysiłki. Kaerion musiał blokować jego potężne cięcia, zważając jednocześnie, by nie wystawić się na cios dwóm pozostałym, okrążającym go niczym wilki rannego łosia. Z twarzy lał mu się pot, oddychał z wysiłkiem. Spróbował zebrać resztki sił. Choć lata pijaństwa nie zniweczyły całego życia ćwiczeń i bitew, Kaerion czuł się jak zaniedbana i stępiona broń.

Dostrzegł szansę, kiedy jeden z nieopancerzonych napastników przyskoczył, by szybko dźgnąć sztyletem. Kaerion wzniosł miecz, odbijając cios. Uchylił się przed sztyletem, złapał jego posiadacza prawą ręką za kołnierz i cisnął przeciwnika w pancernego. Kiedy obaj mężczyźni się zderzyli, Kaerion uderzył. Lekko się skrzywił, gdy jego ostrze gładko odrąbało w łokciu ramię opancerzonego. Mężczyzna z krzykiem runął na ziemię. Jego odcięta dłoń spadła z brzękiem kilka stóp dalej, wciąż ściskając sejmitar.

Kaerion wykorzystał zamieszanie i szybko przebił mieczem jednego z pozostałych przeciwników. Ostatni rzucił się do ucieczki. Kaerion zaklął i ruszył za nim, ale zatrzymał się, kiedy uciekający potknął się i padł na twarz ze sterczącą z gardła strzałą.

Kaerion odwrócił się i zobaczył, jak Gerwyth z radosnym uśmiechem opuszcza łuk. Płaszcz elfa

i jego nabijana guzami zbroja były zbryzgane krwią, jasne włosy plamiły pasma czerwieni. Z ulic w dole zaczął dobiegać gwar - to straż miejska spieszyła zbadać, co zakłóciło poranek. Pozostali zabójcy bez wątpienia uciekli z gospody, nie chcąc mieć do czynienia z władzą.

- No, Kaer, co teraz myślisz? - spytał elf, kiedy obaj stali i łapali oddech.

- Myślę - odparł Kaerion, wycierając ostrze miecza z krwi - że jesteś nieznośnym głupcem, który ma słuszność częściej, niż może mu to wyjść na dobre.

- Czy to znaczy, że pojedziesz ze mną do Rei Mord?

Kaerion kiwnął głową w pierwszym, różowym blasku świtu. Krzyki zbliżających się do *Skrzydła Gryfa* strażników były coraz głośniejsze i gorączkowe.

- A mam jakiś wybór?



Migoczący płomień oświetlał wielką, kamienną komnatę niezycziwą poświęcą. Szare płyty podłogi, już śliskie od krwi, odbijały jego piekielny blask, nadając mu barwę brudnego karmazynu. Odłamki kości i strzępy ciała leżały porzrucane wokół paleniska, skwierząc od żaru. Całą komnatę wypełniał okropny smród sprawianego mięsa.

Durgoth zignorował makabryczny widok tak samo, jak ignorował jęki i żalosne łkania wiernych, pokaleczonych i krwawiących u jego stóp. Zamiast tego koncentrował się na stojącej przed nim olbrzymiej, nagiej postaci. Mierzący blisko osiem stóp wzrostu gigant łyskał nagimi mięśniami, ścięgnami i żyłami, jak masa ciała i kości unieruchomiona sztywnością śmierci.

Kapłan westchnął z zadowoleniem, przyglądając się makabrycznemu tworowi, owocowi wielu dni wytężonych przygotowań. Niekończące się godziny badań i znoju zamieniły starożytny refektarz klasztoru w soczewkę skupiającą moc Mrocznego, dopóki nie rozpoczęła się ofiara. Każdy dobrowolnie dał coś od siebie - kawałek ciała, kończynę, a w przypadku najgorliwszych całe ciało - by stworzyć stojącego przed Durgothem potwora. Tylko prorok stawiał opór, szamocząc się słabo, dopóki Shem nie odrąbał mu głowy i nie zatknął jej, z ustami wciąż otwartymi w krzyku, na zimnych ramionach golema.

Teraz pozostała już tylko końcowa modlitwa, starożytny rytuał mający nasycić masę okrwawionego ciała mocą Tharizduna. Durgoth odetchnął głęboko i przywołał w myślach święty tekst. W pierwszej chwili usta nie chciały formować słów; pradawne zdania kryły przed kapłanem swoje znaczenie. Na twarz wystąpiły mu wielkie krople potu, ręce zaczęły drżeć, wiedział bowiem, że jego pan nie ścierpi niepowodzenia. Nie mając ujścia, nagromadzona moc zniszczyłaby Durgotha jak spiętrzona rzeka tamę.

Lata badań i samodyscypliny wzięły górę, kiedy wola kapłana prawie się już załamała. Ogarnął go spokój. Znów otworzył usta i tym razem popłynęły z nich słowa kąśliwe niczym żmije. Głos kapłana rozbrzmiewał echem w komnacie; wszystko znieruchomiało. Durgoth obawiał się, że pomylił się, recytując modlitwę - dopóki nie poczuł w umyśle obecności, równie strasznej, co nienamacalnej. Powstrzymał drzenie, kiedy przepływała przez niego moc Tharizduna, potężna fala ciemności, grożąca zmyciem wszystkiego na swojej drodze. Kapłan krzyknął przygnieciony wolą

boga, walcząc, by płomyk jego życia nie zgasł pod boskim naporem. W końcu masa ciała przed nim drgnęła dwa razy, a Durgoth poczuł, że przygniatający jego umysł ciężar się unosi. Bezpieczny w swej wiedzy, że przeżyje, zebrał resztki sił i rzucił ostateczne błogosławieństwo, kończąc wrzaskiem czarną modlitwę.

W starożytnej komnacie zaległa cisza. Nawet najokrutniej pokaleczeni przerwali łkania, kiedy kapłan podniósł się z trudem na nogi, nie pamiętając nawet chwili, kiedy padł na kolana. Durgoth wbił wzrok w bezkształtnego stwora. Ten drgnął jeszcze dwukrotnie, potem zaś potężnie zadygotał. Kapłan spostrzegł, że w pustych oczodołach golema zalega ciemność czarniejsza niż sama noc.

- Golemie! - krzyknął niemal. - Komu służysz?

O wiele szybciej niż sądził, że to możliwe, kreatura odwróciła się do niego i otworzyła usta. Przez chwilę zmagala się ze sobą, nie mogąc przemówić - jej opuchnięty, czarny język wił się w ustach niczym opita pijawka. Stwór zapanował jednak nad sobą i z trudem odpowiedział.

- T... tobie, błogosławiony. Z woli mego pana, tobie służę. Komnata rozbrzmiała mamrotaniem, kiedy przed chwilą jeszcze cierpiący kultysty zaczęli się wic w świętej gorączce. Durgoth przyjął ich uwielbienie i oddał je na dwójnasób Tharizdunowi. Łagodnie, jakby pozdrowiał własne dziecko, położył dłoń na ramieniu golema.

- Dobrze - rzekł, ukontentowany powodzeniem. - To bardzo dobrze.

Pozbawiony mocy Durgoth odwrócił się od stwora i zmierzył spojrzeniem swoich wiernych. Kobiety i mężczyźni, straszliwie poranieni własnymi rękoma, leżeli przed nim pozbijani w gromadki, połyskując gołym mięsem i kością w miejscach, gdzie odpiłowali sobie kończyny i strzępy ciała w makabrycznej ofierze. Jedna z nieszczęśniczek wyciągnęła krwawy kikut, próbując dotknąć szaty kapłana. Durgoth odruchowo ściągnął usta i kopnął kobietę, rozgniewany jej bezczelnością. Jego osoba była nietykalna - tę zasadę wpajał swoim zakonnikom od chwili przestąpienia przez nich klasztornej bramy.

Jeszcze przez chwilę patrzył na kłębiące się niemrawo ciała. Ich ekstatyczne okrzyki przypominały mu żalosne jęki uzależnionych od jhapethu kobiet i mężczyzn, którzy dawno zaprzędali wszystko, co było w nich ludzkiego, zatracając się w złudnej rozkoszy narkotycznego korzenia. Tak samo jak oni, kultysty byli wyrzutkami Flanaess, wygnańcami, których przyjął pod swoją opiekę w imię Tharizduna.

A teraz stali się instrumentem mającym posłużyć do uwolnienia Mrocznego.

Durgoth zaweźwał gestem Jhagrena. Był zadowolony z szybkiej reakcji mnicha. Za sobą czuł obecność stojącego w półmroku golema. Jeśli dziobaty doradca kapłana czuł się z tego powodu nieswojo, nie okazał tego po sobie. Skłonił się tylko, podchodząc i spojrzał na Durgotha swoim zwykłym, niewzruszonym spojrzeniem. Kapłan uśmiechnął się, ale odczekał kilka chwil, zanim przemówił. Chociaż Jhagren był tajemniczym człowiekiem, Durgoth wiedział, że jest on blisko

związany ze Szkarłatnym Bractwem. Może Jhagrenowi wydawało się, że może skraść kodeks i dostarczyć go zakonowi w Hesuel Ilshar, a może jest zwykłym szpiegiem. Tak czy inaczej, Durgoth lubił wystawiać na próbę jego cierpliwość.

- Co ty na to, Jhagrenie? Wygląda na to, że nasz pan udzielił nam swego błogosławieństwa.

Jhagren niewzruszenie kiwnął głową.

- W rzeczy samej, zostaliśmy pobłogosławieni, Durgocie.

- Teraz więc, mój przyjacielu - rzekł kapłan tonem lekkiej wyższości, świadom, że słysząc go, mnich pragnie zadać mu śmiertelny cios w miękką chrząstkę krtani - czas przygotować się do podróży. Tharizdun okazał nam dziś wielką łaskę, ale wciąż musimy pozyskać wsparcie dla naszej ekspedycji.

- Tak, o błogosławiony - odparł Jhagren. - Grobowiec, do którego zdążamy, leży wiele tygodni drogi na południe, za królestwem Sunndi. Nawiązałem już kontakt z moimi przyjaciółmi. Spotkamy się z nimi w nyrondzkim mieście Rei Mord, a stamtąd wyruszymy na Przepastne Bagnisko.

- Dobrze - rzekł Durgoth. - Czy nie będziemy zwracać na siebie uwagi w mieście? - spytał, wskazując golema.

- Nie, błogosławiony. Kompani, którzy będą towarzyszyć nam w podróży, znają kilka, powiedzmy „rzadziej uczęszczanych” dróg prowadzących do Rei Mord. Poza tym, jak w każdym dużym mieście, nie brak tam oberżystów, którzy nie będą się nam zbyt uważnie przyglądać, jeśli odwrócimy ich uwagę złotem.

Kapłan pokiwał głową, pewien, że mnich jak zwykle wszystko pozalatawał.

- Doskonale — powiedział. - W takim razie pozostawiam ci wyszukanie zdrowych i silnych, którzy załadują łodzie do podróży. Wyruszamy za dwa dni.

Skinął ręką, wiedząc, że golem pójdzie za nim i wyszedł z komnaty. Durgoth sam również zbadał sprawę. W grobowcu, którego szukali, spoczywał nie kto inny, jak sam Acererak, czarodziej z dawnych wieków, który - jak głosiły opowieści - próbował zwyciężyć samą śmierć. Jego grób otaczały legendy, plotki i stare baśnie o magii i niewyobrażalnych skarbach. I niebezpieczeństwie. Bohaterowie, którzy wyruszali pojąć jego dziedzictwo, nigdy nie wracali.

Durgoth się uśmiechnął.

Będzie mnóstwo okazji, żeby dopilnować, by Jhagrena spotkał wypadek. A wtedy cały świat będzie należał do niego.



Rel Mord przypominało gigantyczną pięść wbitą w rozległe, trawiaste równiny północnego Nyrondu. Zza zwieńczonych blankami murów w niebo strzelały marmurowe iglice królewskiego pałacu, jednak nawet ich mistrzowska architektura nie mogła ukryć zębatach barbakanów i strażniczych wież widocznych już spoza miasta. Inne kamienne budowle, mniej wyniosłe może, lecz nie mniej imponujące, wznosiły się dumnie ku niebu niczym kły wielkiego smoka. Bystra rzeka Duntide omywała mury jak mieniący się wąż o jasno płonących w słońcu łuskach. Całe miasto tętniło odgłosami życia.

Mimo napierającego tłumu kłębiącego się pod strzegącą jednego z trzech wejść do miasta kamienną bramą, Gerwyth nucił wesołą, elfią piosenkę. Kaerion spojrzał na swojego przyjaciela, nie po raz pierwszy żalując, że nie potrafi podzielać jego dobrego nastroju. Od kilku dni odczuwał niepokój, który rósł w miarę zbliżania się do stolicy.

Jeśli Rel Mord było wojskowym i politycznym sercem kraju, sam Nyrondu przypominał starzejącego się wojaka. Drogi, niegdyś przecinające rozległe równiny i łagodne wzgórza, łączące miasta, wsie i osady, teraz niszczały od dawna nienaprawiane, poznaczone koleinami i wybojami. Zarastały ciernistymi krzakami, dzikimi jak niekończące się stepy. Wieśniacy byli ponurzy i nieufni. Drzwi gospodarstw pozostawały zamknięte przed obcymi, a kupcy nie chcieli handlować, nieważne jak ciężką sakiewkę im oferowano.

Kaerion widział to wszystko i podzielił się swoim niepokojem z Gerwythem. Tropicieł wzruszył tylko ramionami i oznajmił, że zachowania ludzi są zbyt zagadkowe nawet dla jego elfiej przenikliwości. Reszta podróży upłynęła im w milczeniu, a niepokój Kaeriona tylko się pogłębił.

Teraz stali obaj w ścisku, między ludźmi i wozami, czekając na swoją kolej. Ostry smród niemytych ciał i zwierzęcego łajna palił Kaeriona w nozdrza. Wojownik próbował ignorować krzyki napierających z tyłu przekupniów i wieśniaków próbujących dostać się do miasta. Zastanawiał się, jak znoszą to wszystko wyczulone zmysły jego towarzysza. Miał go właśnie o to zapytać, kiedy z boku zważyło się na niego coś ciężkiego, niemal go przewracając.

Z chrząknięciem wyswobodził się z oplatających go rąk i stanął twarzą w twarz z potężnym mężczyzną o czerwonej twarzy, który spojrzał na niego, nieprzyjemnie marszcząc czoło. Obcy miał

wąsko rozstawione oczy i usta ściągnięte, zdawałoby się, w wiecznym grymasie niezadowolenia.

- Przepraszam uniżenie - powiedział Kaerion swoim najuprzejmiejszym tonem. -Nie miałem zamiaru stawać w miejscu, gdzie zamierzałeś się przewrócić.

Zmierzył nieznanego hardym spojrzeniem, kontrastującym z pojednawczością w głosie.

Choć barczysty i potężny, mężczyzna nie dorównywał masą Kaerionowi. W pierwszej chwili zdawało się, że coś odszczeknie, spostrzegł jednak naoliwioną kolczugę wojownika i miecz w skórzanej pochwie i zniknął w tłumie, na odchodnym coś niezrozumiale wymamrotawszy.

Kaerion poczuł na ramieniu smukłą dłoń.

- Spokojnie, Kaer - powiedział łagodnie Gerwyth. - Nie ma sensu podróżować taki kawał do Rei Mord tylko po to, żeby trafić do miejskich lochów.

Kaerion wypuścił powietrze nosem.

- Na bogów, wiesz, jak nie znoszę wielkich miast!

Po prawdzie najbardziej przeszkadzały mu niekończące się tłumy i brak prywatności. Bukłaki z winem były dawno suche i teraz dokuczał mu ból głowy, który zdawał się nigdy go nie opuszczać. Noce, dla innych niosące odpoczynek, jemu przynosiły same koszmary. Jeśli to miasto miało w ogóle jakieś zalety, to najważniejszą była ta - już niedługo Kaerion będzie siedział w jakiejś gospodzie, delektując się wyęsknionym kuflem piwa. Może nawet dwoma.

- Wiem, że nie znosisz - powiedział elf - ale spróbuj się choć na chwilę odprężyć, niedługo będziemy w środku. - Wskazał kolejkę, która przesunęła się spory kawałek w kierunku bramy.

Dotarli do niej jakiś czas później, tam zaś zatrzymał ich strażnik w płytowym pancerzu. Żołnierz obrzucił ich znudzonym spojrzeniem.

- Podajcie swoje imiona i mówcie, co sprowadza was do Rei Mord - wyrecytował bezbarwnym głosem.

- Gerwythaeniaen Larkspur i Kaerion Whitehart, przybyliśmy z Woodwych - odparł elf. Chciał mówić dalej, ale znudzony strażnik zajął się już następnymi, odprawiając dwu podróżników niecierpliwym potrząśnięciem halabardą.

- Muszą bardzo poważnie traktować swoje obowiązki - uśmiechnął się elf, kiedy przechodzili przez bramę.

Kaerion tylko na niego spojrzał. Obrzydzenie, jakie wzbudził w nim leniwy żołnierz, walczyło z jego własnymi, bolesnymi wspomnieniami. Kiedyś zgromiłyby bezlitośnie każdego ze swoich podkomendnych, kto tak ostentacyjnie lekceważyłby swoje obowiązki, zanim...

Potrząsnął głową, nie dopuszczając do siebie tego wspomnienia. To było inne życie. Teraz nikt nie służył pod jego rozkazami. Nie miał nic. Niech dowódca straży martwi się o dyscyplinę swoich ludzi. Kaerion nie miał zamiaru się tym przejmować. Kiedy, pomyślał, rozpinając płaszcz, zrobiło się tak gorąco? Do Szykowania i wczesnowiosennej odwilży pozostało jeszcze kilka tygodni.

- Gdzie mamy się spotkać z tym twoim łącznikiem? - spytał Gerwytha, który przystanął, rozmawiając z odzianą w błękitny płaszcz elfką. - Czuję przemożną potrzebę splukania kurzu z gardła.

Elfy rozmawiały jeszcze przez chwilę. Melodyjne słowa ich języka przepływały między nimi jak rtec. Tropiciel pokiwał głową i przyłożył dłoń do serca w elfim geście pożegnania, a potem odwrócił się wolno do Kaeriona ze znajomym uśmiechem na twarzy.

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, Kaerionie, że jesteś wspaniałym okazem swojej rasy?

Wiedząc, że nie otrzyma szybko odpowiedzi na swoje pytanie, wojownik ciężko westchnął.

- Uznam to za komplement - powiedział sardonicznie.

- Hmmm, tak. To do ciebie podobne. - Uśmiech elfa po chwili stał się jeszcze szerszy. - Nie obawiaj się, przyjacielu. Dowiedziałem się właśnie, gdzie mamy się spotkać. - Skłonił się dwornie i ciągnął, pyszniąc się swoim najlepszym akcentem — Pójdź za mną, mój panie.

Odwrócił się i ruszył w tłum.

Kaerion załamał ręce i poszedł za nim.

* * *

Mimo swojego fortecznego wyglądu, Rei Mord tętniło codziennym życiem. Kupcy i handlarze wszelkich ras i narodowości jechali na rynek wozami wyładowanymi belami jaskrawych tkanin i jedwabi, a szerokimi ulicami przeciskały się stada bydła i innych zwierząt. Aleje i zaułki patrolowali żołnierze, niektórzy znudzeni jak strażnicy przy bramie, inni czujnie obserwujący ulicznych żebraków, urwisów i muzykantów, pojawiających się co chwila w tłumie.

Zbliżając się do targu, Kaerion słyszał nawoływania przekupniów i gwar handlu prowadzonego w różnych językach i dialektach. Wspólny, baklundyjski i flański mieszały się z mową elfów, krasnoludów, a nawet kilku gnomów, tworząc wielowarstwową falę dźwięku, która pochłonęła obu towarzyszy.

Mimo pozornych oznak rozkwitającego życia Kaerion czuł wyraźnie cichą rozpacz, która powitała ich w drodze do miasta. Muzyka, śmiech i gwar Rei Mord były odrobinę za głośne i wymuszone, twarze jego mieszkańców zbyt czujne, albo - co gorsza - zbyt obojętne. Idąc ulicami, Kaerion widział cienką warstwę kurzu i brudu, pokrywającą wspaniałe świątynie i budowle. Nawet królewski pałac, przyprawiający o szybsze bicie serca swoim splendorem, widziany z bliska robił wrażenie opuszczonego niczym starożytny grobowiec. Nyronid był królestwem podzielonym, wyzutym z sił przez wojnę i zdradę, a dla Kaeriona było jasne, że rany wciąż się jeszcze nie

wygoiły.

Gdy zagłębili się w miasto, napór tłumu trochę zelżał. Ulice były tu węższe, budynki z drewna i kamienia stały bliżej siebie, a niespokojny tupot stóp kupców zastąpiły ciche kroki kapłanów, królewskich posłańców i dworzan, emanujących godnością i pewnością siebie. Serce Kaeriona drgnęło, kiedy zobaczył idących z naprzeciwka kilku opancerzonych kapłanów Heironeusa.

Musiał odruchowo stanąć w miejscu, bo usłyszał łagodny głos Gerwytha: - Spokojnie, Kaer. Zajmijmy się swoimi sprawami.

Ton przyjaciela trochę go uspokoił. Wojownik kiwnął głową i ruszył dalej, mijając zbliżających się kapłanów. „Zdrajca!”, wyobraził sobie ich okrzyki. „Zdrajca! Tchórz!”. Był jednym i drugim. Jak umiłowani arcypaladyna mogli nie dostrzegać jego hańby? Była przecież jasno wryta na jego duszy.

Ale kapłani przeszli bez słowa, pogrążeni w rozmowie. Żaden nawet na niego nie zerknął. Kaerion otarł zimny pot z czoła i ruszył za swoim towarzyszem, skręcając w kolejną ulicę.

Większość tutejszych budowli wzniesiono z kamienia, nie szczędząc imponujących, marmurowych fasad. Kilka bogato zdobionych domów posiadało nawet dziedzińce, otoczone żelaznymi ogrodzeniami albo murem. Nieliczni przechodnie mieli na sobie drogie aksamity, grube płaszcze i złoto na szyjach i dłoniach.

- Gdzie nas prowadzisz? - spytał Kaerion swojego przyjaciela.

- Ku naszemu przeznaczeniu - odparł Gerwyth głosem tak nabrzmiałym patosem, że powinien się być przewrócić pod jego ciężarem.

Kaerion spojrzał na elfa z wyrzutem i skrzyżował grube ramiona na piersi.

- Koniec żartów - powiedział szorstko. - Jestem zmęczony i głodny i nie mam już cierpliwości do twoich dowcipów!

Gerwyth westchnął. Z jego twarzy zniknął stale goszczący tam uśmiech.

- Dobrze. Jeśli musisz wiedzieć, idziemy tam. - Wskazał szczupłym palcem piętrowy, drewniany budynek tuż za zakrętem ulicy.

Kaerion dokładnie przyjrzał się celowi ich marszu. Chociaż dom nie był z kamienia, zaprojektowany z klasą idealnie pasował do otaczającej go architektury. Wysoki dach nadawał mu godności, wraz z oknami w zdobionych framugach i pięknie wykończonymi drzwiami. Nad nimi wisiał mistrzowsko namalowany szyld z nazwą.

- *Pod Platynową Tarczą?* - spytał Kaerion. - Z kim, na piekła, mamy się tu spotkać, Ger? Z rodziną królewską?

Elf nie odpowiedział, a wojownik popatrzył na niego z niedowierzaniem.

- Nie - powiedział po chwili. - Nie zrobiłeś tego. Na pierzasty zad Phaulkona, w co ty nas znowu wpakowałeś?

Gerwyth pokręcił tylko głową i pociągnął przyjaciela w stronę gospody.

- Chodź, Kaer, odpreż się. W najgorszym wypadku będziesz mógł się spać w najlepszej obergerzy Rel Mord.

Mimo wewnętrznego oporu Kaerion poszedł za nim do *Platynowej Tarczy*.

* * *

- Spóźniają się - warknął arogancko Bredeth, trzaskając drzwiami wspaniale urządzonego apartamentu.

Majandra Damar westchnęła ze znużeniem i przestała przemykać zgrabnymi palcami po strunach swojej harfy, na której układała końcowy temat do swojej najnowszej pieśni. Najście i tak wyгнаło z jej głowy linię melodyczną.

Harfa załkała jeszcze ze skargą i w pokoju zaległa cisza. Majandra w zamyśleniu przyjrzała się gościowi. Przystojna twarz szlachcica robiła się coraz bardziej czerwona, a jego złote oczy błyskały niebezpiecznie w półmroku. Nawet jego zazwyczaj nieskazitelnie ufryzowane jasne loki były zmierzwiłone, wzburzone dziką gestykulacją.

Dobra nasza, pomyślała. Jest wściekły. Będzie śmiesznie.

- Nie spóźniają się, Bredeth. Phathas prosił ich o przybycie trzeciego dnia gwiazdowego - powiedziała, wyglądając przez okno z barwionego szkła - a jak na razie dzień gwiazdowy jeszcze się nie skończył.

- Chodziłem ulicami. Sytuacja jest tutaj jeszcze gorsza niż w innych miastach - odparował szlachcic. - Mój kraj cierpi. Mój lud jest wyczerpany. Nyronnd stał się zaledwie echem potęgi, którą był. A my... - nachylił się i dźgnął palcem w stół -... my, którzy mamy plan przywrócenia mu dawnej chwały, musimy czekać na dwóch cudzoziemców, którzy siedzą teraz pewnie w jakimś burdelu i bawią w najlepsze.

- Po pierwsze - odcięła się bardka - to nie jest twój lud. Jesteś kuzynem Jego Wysokości, i to raczej odległym. Twoja głowa, chociaż rozdęta poczuciem własnej ważności, nigdy nie będzie nosić korony. A po drugie, Phathas osobiście wybrał tych cudzoziemców. Jeśli on wierzy, że akurat z nimi mamy największe szanse powodzenia, to ja tym bardziej.

- Co za bezczelność! — parsknął Bredeth, przysuwając się bliżej. - Gdybyśmy byli na zamku mojego ojca, kazałbym cię obić i wypędzić razem z innymi przestępcami.

- Modłę się, żebym nigdy nie upadła tak nisko, by musieć występować przed rodziną głuchych chamów, którzy nie potrafiliby docenić pieśni, nawet gdyby zaśpiewała ją sama Olidammara. Przy

odrobinie szczęścia nigdy nawet nie zbliżę się do tej pełnej przeciągów ruiny, którą nazywasz zamkiem i w której się urodziłeś.

Bredeth zatoczył się, jakby dostał policzek w twarz i Majandra pomyślała, że tym razem przesadziła. Młody szlachcic przysunął się jeszcze bliżej, zaciskając mocno swoje doskonale równe zęby.

- Masz w żyłach szlachecką krew, Majandro - wycedził -i to cię do tej pory chroniło. Ale nie zapomnij nigdy, jaka jeszcze krew w tobie krąży.

Bardka odruchowo odsunęła rude loki, dotykając lekko spiczastego ucha.

- Dla niektórych możesz być egzotyczna - ciągnął Bredeth. - Dla innych... — Przekrzywił głowę i wzruszył ramionami. - Dość powiedzieć, że nie każda szlachecka rodzina uważa niewierność małżeńską za romantyczny gest.

Bardka siedziała oszołomiona, nie mogąc z siebie wydusić nawet najprostszej odpowiedzi. Zawsze wiedziała, że oko-liczności jej poczęcia były pożywką dla rozmów znudzonej arystokracji, nie mającej nic lepszego do roboty, niż marnotrawić całe dnie na plotkach. Całe życie słyszała za plecami szepty i znosiła znaczące spojrzenia. Aż do tej pory jednak nikt nie skonfrontował jej tak bezpośrednio z hańbą jej pochodzenia.

Poczuła wzbierający gniew. To, co zaszło między nią a Bredethem, mogło zacząć się jako gra, sposób spędzenia czasu mijającego w oczekiwaniu na dwóch nieznanym, o których mówił Phathas, ale w końcu nabrało nieprzyjemnej formy. Rozpuszczony, rozkapryszony gówniarz nie miał prawa jej osądzać i miała mu to właśnie powiedzieć, kiedy w spór wmieszał się kolejny głos.

- Spokój - rozkazał. - Obydwoje. Phathas odpoczywa, a będzie potrzebował w czasie podróży wszystkich sił.

Bredeth i Majandra jednocześnie obrócili się ku mówiącemu. Vaxor stał w jednych z licznych drzwi apartamentu. Jego okolone siwiejącą, czarną brodą usta wykrzywił grymas niezadowolenia, a czoło marszczyło się groźnie. Luźne szaty nie mogły ukryć masywnej sylwetki kapłana, podkreślonej jeszcze przez kolczugę. Lewą dłoń mężczyzna zaciskał na srebrnym medalionie z błyskawicą, symbolem Heironeusa.

Bardka powściągnęła gniew. W podróży będzie jeszcze niejedna okazja, by zmierzyć się z Bredethem. Młody szlachcic jednak najwyraźniej nie czuł takich oporów.

- Moja rodzina została znieważona - ciągnął, tym razem szukając wsparcia u kapłana - i żądam zadośćuczynienia...

- Wystarczy, Bredeth - przerwał mu Vaxor niskim głosem. - Mamy na głowie ważniejsze sprawy niż skaza na twoim honorze.

Zmierzył oboje surowym spojrzeniem, a Majandra zrozumiała, dlaczego wspiał się tak wysoko w hierarchii kościoła arcyopaladyna. Bijąca od niego siła była prawie namacalna.

- Nasi goście niedługo przybędą - ciągnął kapłan - i powinniśmy być gotowi na ich przyjęcie.

Bredeth prychnął; czy nie zdawał sobie sprawy z intensywności spojrzenia Vaxora, czy może był po prostu zbyt głupi, by umilknąć - Majandra nie wiedziała.

- Nie wiem nawet, kim są ci nasi goście - powiedział szlachcic. - Ale skoro do tej pory się nie zjawili, zaczynam wątpić, czy potrafią znaleźć drogę choćby pod spódnicę ladacznicy. - Majandra znów zaczęła protestować, ale młody mężczyzna uciszył ją gestem. - Więc gdzie są? - zapytał.

- Nie mam pewności - odezwał się czwarty głos, niosący się po pokoju jasnym, wyraźnym tembrem - ale sądzę, że jesteśmy tuż za tobą.

Majandra ukryła uśmiech, widząc wyraz twarzy Bredetha.

* * *

Wnętrze *Platynowej Tarczy* było w każdym calu tak samo stylowe, jak sugerowała jej fasada. Okrągłe stoły z drewna tekowego i wiśniowego stały na wypolerowanej, drewnianej podłodze, zaś wyłożone boazerią ściany zdobiły mistrzowskie drzeworyty. Wystrój wspólnej sali, z łukami i zaokrąglonymi narożnikami, nadawał jej wrażenia głębi, zachowując jednocześnie poczucie przytulności. Wyłożone czerwonym chodnikiem schody prowadziły do sypialni na górze, a za drzwiami kryło się zejście do słynnej w całym mieście piwniczki na wino.

Sala była pusta, nie licząc niewielkiej grupki siedzącej niedaleko kominka z marmurowym okapem. Majandra przesunęła palcem po rogu kufła piwa, przyglądając się siedzącemu naprzeciw niej olbrzymowi. Po chwili konsternacji w pokoju na piętrze, Vaxor zapanował nad sytuacją, zbudził Phathasa i zebrał wszystkich w sali na dole. Przedstawiono się sobie pośpiesznie i cała szóstka siedziała teraz pogrążona w cichej rozmowie.

Potęźnie zbudowany człowiek miał przyjemną twarz o głęboko osadzonych oczach i mocnym nosie. Gęste, czarne włosy nosił przycięte tuż nad ramionami. Lwia grzywa podkreślała jego kanciastą szczękę. Jednak to nie aparycja Kaeriona przykuła uwagę bardki, lecz zaszczuty wyraz jego oczu, pojawiający się, gdy wojownik myślał, że nikt nie patrzy. Majandra wiedziała, że człowiek ten nosi głęboko w sobie jakąś zastarzałą ranę. Z trudem powstrzymywała się, by nie pogłodzić go po czole i pocieszyć. Wyczuwała w Kaerionie jakąś gorzką opowieść, a nic nie ekscytowało jej bardziej niż szansa na opowieść - im bardziej tragiczną, tym lepiej.

Jego towarzysz był zupełnie inny. Olśniewająco przystojny elf-tropiciel przedstawił się z gracją i wdziękiem królewskiego dworzanina. W najpiękniej akcentowanym elfim, jaki słyszała, uraczył Majandrę wyjątkowo odważnym komplementem. Uśmiechnęła się i podziękowała za jego słowa,

odkrywając niespodziewanie, że reaguje na niego zupełnie wbrew temu, co wiedziała o takich niespokojnych typach. A myślenie o tym wcale nie ułatwiało jej skoncentrowania się na omawianej sprawie.

Vaxor wstał i pomógł się podnieść Phathasowi. Starego maga niczym płaszcz spowijała moc - Majandra prawie widziała wirujące wokół niego wyładowania magicznej energii. Oczy szare niczym letnia, burzowa chmura patrzyły z ostrej, kanciastej twarzy. Jak wielu czarodziejów Phathas nosił brodę, posrebrzoną latami, lecz gęstą i kręcącą się w ciepłe pomieszczenia. W przeciwieństwie do wielu swoich szlacheckich kolegów z uniwersytetu, niemal obsesyjnie czeszących brody srebrnymi grzebieniami i często zaplatających je w grube warkocze, Phathas hodował na twarzy coś, co przypominało ptasie gniazdo.

Majandra skupiła się na tym, co mówił.

- Przez wiele lat - ciągnął czarodziej - Nyrondu był królestwem wewnątrznie skłóconym. Zniesmaczony sposobem dowodzenia swojego ojca podczas wojen o Greyhawk, po których większa część królestwa w wyniku zadłużenia uzależniła się od obcych potęg, Czarny Książę Sewarndt otruł króla i z pomocą swoich najbardziej zaufanych doradców spróbował zasiąść na tronie. Udałoby mu się, gdyby nie dzielność i poświęcenie kleru heironeusa... - Phathas skinął Vaxorowi - ... oraz zdecydowane przywództwo króla Lynwerda, wtedy księcia następcy tronu Nyrondu.

- Ale królobójstwo podkopało morale już osłabionego kraju. Głód, susza i pokłosie wojny głęboko poraniły Nyrondu; wojna domowa prawie go zabiła. Obawiam się, że kraj wciąż cierpi z tego powodu.

Phathas przerwał na chwilę i spuścił głowę. Majandrę uderzyło, jak krucho czarodziej wygląda. Jego głos, zawsze dźwięczny i mocny, teraz wydawał się łamać, a dłonie, pewne dłonie gotowe ciskać starożytne zaklęcia lub uczyć młodych adeptów magii pierwszych czarów, lekko drżały.

Starzeje się, pomyślała ze zdumieniem, zastanawiając się, dlaczego wcześniej tego nie zauważyła. Przeżyła szok, przypominając sobie, że sama zaczęła pobierać u niego nauki prawie czterdzieści lat temu. Bardka spójrzała na gładką skórę swoich dłoni. Czas płynie tak samo dla nas wszystkich, pomyślała, ale elfia krew spowalnia jego nurt.

- Tej sytuacji nie można dłużej tolerować - podjął Vaxor, wykorzystując ciszę ze zręcznością doświadczonego mówcy, - Wielu lojalnych Nyronczyków, zarówno spośród szlachty, jak i pospólstwa, chciałoby widzieć swój kraj znów u szczytu potęgi. Dzięki badaniom niestrudzonego Phathasa mamy szansę do tego doprowadzić.

Kapłan skrzyżował ręce na piersi i skinieniem głowy oddał głos czarodziejowi, ale ku zaskoczeniu Majandry odezwał się Bredeth.

- Odkryliśmy położenie starożytnego grobowca, miejsca ostatniego spoczynku legendarnego

czarodzieja Acereraka. Wewnątrz czeka iście królewski skarb, złoto i magia, bogactwo wystarczające na spłacenie długów kraju i napełnienie skarbców na nowo. Nyrond powstanie z popiołów - szlachcic prawie krzychał, uderzając dłońmi o stół - i znów zajmie miejsce między najpotężniejszymi królestwami świata!

Chociaż oszołomiona zaciekłością w głosie Bredetha Majandra prawie spadła z krzesła, kiedy mężczyzna zwany Kaerionem parsknął nagle śmiechem.

- To cały wasz plan? - zapytał z niedowierzaniem barczysty wojownik. - Chcecie odbudować chwałę królestwa, rabując grób jakiegoś starego maga? Dlaczego nie wyjdziecie na drogi, napadać na podróżnych? Poszłoby wam o wiele łatwiej.

Mimo szorstkiego tonu, jakim mówił, wyćwiczone ucho Majandry wychwyciło w jego głosie ślad gniewu i zgorzknienia. Skrywane emocje stanowiły kontrpunkt dla jego słów. Dopiero po chwili bardka zrozumiała, że są skierowane nie na ich plan, lecz na samego wojownika.

- Pokój, przyjaciele — rzekł Phathas, powstrzymując ciętą ripostę Bredetha. Szlachcic usiadł z powrotem na krześle z którego był się zerwał i zacisnął usta - choć jego złote oczy płonęły.

Stary czarodziej skierował wzrok na Kaeriona.

- Wiedz, że Acererak nie był dobrotliwym czarodziejem ani łagodnym mędrcom - powiedział. - Przeciwnie, ciałem i duszą oddał się złu. Bogactwo, ukryte w jego grobowcu, zostało skradzione, zabrane siłą bądź odebrane zabitym bohaterom sprzeciwiającym się jego mrocznym rządóm.

- My wszyscy - wskazał gestem zebranych przy stole -długo i głęboko zastanawialiśmy się, co zrobić i podjęliśmy wspólną decyzję. Nie miejcie złudzeń - nie będzie łatwo. Legendy opowiadają o tym, jak Acererak próbował odebrać władzę śmierci. Możliwe, że mag w jakiejś postaci wciąż żyje w swoim grobowcu, otoczony wszystkimi koszmarami, jakie tylko jego spaczony umysł potrafił wymyślić. Dzięki naszym umiejętnościom - i jeśli szczęście będzie nam sprzyjać - może nam się udać tam, gdzie inni zawiedli.

- A jaka jest w tym wszystkim nasza rola, Phathasie? - spytał do tej pory milczący złotowłosy elf. - W swojej wiadomości nie wspomniałeś o pełzaniu przez jakąś zapleśniałą kryptę, powiedziałeś tylko, że potrzebujesz mojej wiedzy o lasach.

Phathas uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Masz słuszność, stary przyjacielu - powiedział z wyraźną poufałością. - Przepęłaliśmy już razem dość podziemi, prawda?

Słyszając to, Majandra upuściła róg, rozlewając ostatnie kilka kropli piwa. Sądząc po twarzach jej przyjaciół, nie tylko ona była zaskoczona, słyszając, że Phathas zna elfa, nie wspominając już o tym, że jeden z najtęższych umysłów Królewskiego Uniwersytetu w podróznym oporządzeniu stawiał kiedyś czoła niebezpieczeństwóm życia poszukiwacza przygód. Kaerion również zdawał się być tym zaskoczony - zaskoczony i niezbyt zadowolony. Zanim jednak którekolwiek z nich zdążyło

głośno wyrazić swoje zdumienie, Phathas podjął przemowę.

- Grobowiec Acereraka leży w sercu Przepastnego Bagniska, na południe od Sunndi. Potrzebujemy ciebie i Kaeriona, byście przeprowadzili nas przez tę zdradliwą i niebezpieczną krainę. Podróż nie będzie łatwa ani, obawiam się, szybka. Umówiliśmy się z kilkoma kupcami i będziemy posiadać odpowiednio wyposażone wozy oraz grupę woźniców, którzy pomogą nam wynieść wszystko, co możemy odnaleźć w grobowcu.

- Gerwyth, to jakieś szaleństwo - przerwał Kaerion. - Przepastne Bagnisko roi się od plemion humanoidów, nie wspominając już o niebezpieczeństwach samych mokradeł.

Odpowiedzi udzielił mu Vaxor.

- Mówi się, przyjacielu Kaerionie, że Heironeus pomaga odważnym i karze lękliwych. Wierzę, że sam Najmężniejszy czuwa nad naszym zadaniem, a zasoby mojego Kościoła są do naszej dyspozycji.

Bardka zobaczyła, że Kaerion wzdrygnął się na te słowa. Przez chwilę zdawało się, że wstanie i uderzy Vaxora, tak wielki bowiem gniew ukazał się na jego obliczu. Zamiast tego jednak wojownik zerknął na swojego towarzysza.

- Ger - powiedział - chyba nie...

Tropiciel podniósł rękę, przerywając przyjacielowi.

- Wiele ci zawdzięczam, Phathasie - rzekł - a przeklęty niech będzie elf, który odwraca się plecami do tego, kogo mieni swym przyjacielem. Niech spojrzę na wasze plany, a potem porozmawiam z Kaerionem na osobności. Przekażemy wam naszą odpowiedź rankiem.

- Doskonale - mag kiwnął głową i wstał. - Pójdź, Vaxorze. Wróćmy do naszych komnat i wprowadźmy Gerwytha w nasze plany. Zbierzemy się znów jutro rano.

Majandra odprowadziła wzrokiem trzech mężczyzn. Elf spojrział na swojego przyjaciela, ale Kaerion skrzywił się tylko i jednym haustem dopił swoje piwo. Bez słowa pożegnania wstał i ruszył do drzwi gospody.

Bardka patrzyła się przez chwilę na owe drzwi, potem zaś zwróciła wzrok na Bredetha, który również nie wyglądał na zachwyconego. Westchnęła i podjęła decyzję. Skłoniwszy się krótko i bez przesadnego szacunku skwaszonemu szlachcicowi, poszła za Kaerionem.

Ciekawość zwyciężyła.



Powietrze śmierdziało. Wilgotny, obrzydliwy smród wypełniał kanały wijące się pod Rel Mord niczym labirynt. Kanały, zbudowane z grubo ciosanych bloków czarnego kamienia, odprowadzały ścieki i odpadki - nieodłącznych towarzyszy cywilizacji - do głębokiej rzeki Duntide. Wąskie półki we wszystkich tunelach pozwalały maszerować nad płynącą wolno breją, ale nawet stosunkowo wysokie sklepienie nie czyniło takiego marszu wygodnym.

Durgoth znów niemal zakrztusił się cuchnącymi oparami, przeklinając cicho konieczność takiego sposobu wchodzenia do miasta. Gładkie ściany tunelu pokrywał mech i wilgotny szlam, wszędzie niesło się echo kapiących kropel wody. Durgothowi zdawało się przez chwilę, że w przejmującym dreszczem zwielokrotnionym dźwięku słyszy swoje imię, powtarzane z uwielbieniem i strachem. Porośnięte mchem ściany zamieniły się w wieże i świątynie, obwieszane proporcami sławiącymi jego majestat i potęgę boga, któremu służył, a chłodne, wilgotne powietrze kanału stało się rześkim, zimowym wiatrem, chłuszczącym na jego rozkaz równiny i stopy Nyrondu. Oto, jak powinno się wkraczać do miasta takiego jak Rel Mord, pomyślał kapłan i poprzysiął sobie, że dokona tego, kiedy tylko wypełni swoją misję.

Chwila chwały minęła i Durgoth zerknął na swoich towarzyszy, zauważając z ukłuciem goryczy, że spośród wszystkich, którzy wyruszyli razem z nim z klasztoru, tylko Jhagren wydawał się nie zwracać uwagi na zatechłe, ponure otoczenie. Nawet młody Adrys nie potrafił iść tak swobodnie i niewzruszenie jak jego mistrz, choć widać było, że bardzo się stara. Jedyne głuchy, ciężki odgłos kroków idącego za nim posłusznie golema powstrzymywał kapłana od zupełnej utraty cierpliwości. Uśmiechnął się na myśl o swoim dziele. Niech teraz inni zastanawiają się, jak wielka jest jego moc. Potrafił zapanować nad śmiercią, a już niedługo - wiedział to - jego pan da mu potęgę władzy nad życiem.

Ich przewodnik, człowiek o ochryplym głosie i drobnej, kanciastej twarzy, dzięki której przypominał łasicę, przerwał te rozważania.

- Około dwudziestu jardów przed nami jest wlot do węższego, bocznego tunelu prowadzącego do większej komory. Możemy tam chwilę odpocząć, zanim ruszymy dalej.

- Nie rozumiem - powiedział Durgoth. - Jesteśmy już wewnątrz murów i minęliśmy

przynajmniej cztery drabiny, którymi mogliśmy wejść do miasta. Dlaczego nie pójdziemy dalej i nie skorzystamy z następnego wjazdu?

Prawdę mówiąc, zwłoka zupełnie wyprowadziła go z równowagi. Im szybciej dostaliby się do miasta, tym szybciej zakończyliby ostatnie przygotowania i mogli rozpocząć podróż.

- Możemy być w obrębie murów - odparł spokojnie przewodnik - ale ulice Rei Mord są patrolowane przez uzbrojoną straż, a my nie możemy ryzykować, że zostaniemy zauważeni, wychodząc z kanałów. Naraziłoby to na niebezpieczeństwo nie tylko nas, ale też układy gildii ze strażnikami. Jak długo się nie wychylamy, dowódcy straży mogą z czystym sumieniem brać łapówki. A gdyby nawet udało nam się ukradkiem wyjść, mielibyśmy trudności z poruszaniem się po mieście, nie zwracając na siebie uwagi. - Wskazał potężną sylwetkę golema. - Nawet w tym płaszczu ryzykiem byłoby liczyć, że ten stwór ujdzie za człowieka. Nie. Jest kilka przejść, które zaprowadzą nas do dzielnicy nędzy. Stamtąd zaprowadzę was do domu gildii, gdzie znajdziecie schronienie, dopóki nie będziecie mogli wyruszyć jako porządna karawana.

Durgoth kiwnął niechętnie głową, zmuszony zgodzić się z logiką wyводу złodzieja.

- Prowadź więc, ale się pospiesz. Mam o wiele ważniejsze zadania, niż przemykać się tymi przeklętymi kanałami.

Kiedy weszli do komory, Durgotha zaskoczyła jej elegancja. Wysokie sklepienie nikło w mroku, pozostając poza zasięgiem światła niesionych przez grupę pochodni, a ściany, niemal boleśnie ponure w tunelach, tu były ozdobne aż do przepychu, udekorowane płaskorzeźbami wyszczerzonych gargulców i pieczołowicie wykończone. Z komory wychodziło kilka korytarzy; do każdego z nich prowadziło szerokie, łukowato sklepione wejście. Nad każdym łukiem wisiał jakby wylatujący wprost z kamienia tors pięknego, skrzydlatego człowieka. Wszystkie rzeźby w prawej dłoni trzymały kamienny miecz, lewą zaś wyciągały otwartą, jakby spoczywało w niej coś niewidocznego dla oka.

Kapłan rozglądał się przez chwilę prawie z zazdrością. Przewodnik powiedział, że komora służyła kiedyś za miejsce odpoczynku dla czyścicieli kanałów i patrolujących je strażników polujących na stwory, które mogły się w nich zagnieździć. Jakość wykończenia sporo mówiła o bogactwie i możliwościach założycieli Rei Mord i Durgoth nie mógł się powstrzymać od podziwu.

Jak bardzo upadli, pomyślał, patrząc, jak jego kulciści kładą na ziemi pakunki i zeskrobiają szlam z butów. Kątem oka dostrzegł Jhagrena, rozmawiającego po cichu z przewodnikiem. Kiedy skończyli, mnich podszedł bezgłośnie do Durgotha.

- Jak długo będziemy odpoczywać? - spytał kapłan.

- Kilka chwil - odparł Jhagren. - Przewodnik twierdzi, że mamy przed sobą może jeszcze pół godziny marszu, potem zagłębimy się w dzielnicę nędzy na tyle, że będziemy mogli bezpiecznie wyjść.

- Dobrze. Jak sobie radzą inni?

Podróż łodzią po rzece, a potem marsz lądem trwały ponad miesiąc. Nawet Durgoth, krzepiący się mocą swojego boga i najlepszą żywnością i napitkiem, jakie mógł kupić, był zmęczony. Nie martwił się jednak o to, czy ktoś poza nim da sobie radę. Niech Tharizdun obdarzy siłą tych, co na nią zasługują. Durgoth miał tylko nadzieję, że niewarci tej łaski nie opóźnią wyprawy.

- Są zmęczeni, błogosławiony - odparł mnich - ale wciąż chętni ci towarzyszyć. Zrobią, co będzie trzeba.

- Zrobią, to prawda. - W głosie kapłana zabrzmiała żelazna determinacja. Mówiłby dalej, gdyby mu nie przerwano.

- Niebezpieczeństwo - zasyczał jakiś głos, zimny jak grób. Dopiero po chwili Durgoth zrozumiał, że należał on do golema.

- Gdzie? - spytał, rozglądając się dookoła. Lecz było już za późno.

W komorze zapadła nagle nieprzenikniona ciemność.

- Co to za zdrada?! - zawołał Durgoth, przekrzykując zawroźnienia swoich kultystów.

Chwilę później usłyszał odpowiedź.

- Mój drogi przyjacielu, nie bądźmy, proszę, tak pochopni w rzucaniu oskarżeń. To nie zdrada. To tylko renegocjowanie warunków.

Durgoth zawrzał gniewem. Czyżby usłyszał w nieznanym głosie nutkę rozbawienia? Nie był niczyją zabawką, nie miał zamiaru pozwolić, by ktoś go wykorzystywał i robił z niego głupca. Cicho sięgnął po swój obsydianowy buzdygan.

- A jeśli postanowię ich nie renegocjować? - zapytał. Odpowiedzi na to pytanie udzielił już inny głos.

- To byłoby bardzo... niefortunne rozwiązanie.

- A więc oto moja odpowiedź.

Dotknął czubka buzdygana i krzyknął. Komora wypełniła się słabą, niebieską poświatą. Durgoth zobaczył kilka postaci skradających się ku niemu w cieniach.

Nagle w powietrzu zagwizdały bełty z kusz. Dwaj kultysty padli natychmiast na ziemię, trafieni w pierś, trzeci złapał się za nogę. Durgoth skoczył do tyłu, spodziewając się ukłucia stali, ale do akcji wkroczył Jhagren Syn. Mnich bezgłośnie przyskoczył do kapłana, w powietrzu zamigotały jego ręce. Trzy bełty upadły odbite na kamienną podłogę, a czwarty, wymierzony wprost w gardło Durgotha, pękł na pół pod ciosem stwardniałego kantu dłoni Jhagrena.

Kapłan błyskawicznie otrząsnął się z oszołomienia i odwrócił do golema.

- Broń mnie! - krzyknął.

Bez jednego słowa masa ciała i mięśni stanęła przed nim, gotowa na przyjęcie atakujących.

Durgoth zwrócił się na powrót do Jhagrena, chcąc wydać mu rozkazy, ale mnicha już nie było -

rzucił się w wir walki. Kapłan zobaczył go, jak zrywa się z przewrotu między trzema przeciwnikami. Jhagren zmienił się w czerwoną, rozmazaną plamę, wirując, kopiąc i rozdając ciosy. Kiedy skończył, dwóch mężczyzn leżało martwych na ziemi, trzeci zaś stał, ściskając krwawą miazgę, która jeszcze przed chwilą była jego gardłem, i nie rozumiejąc, że już nie żyje. Durgoth zobaczył, jak mnich rozwiera dłoń, upuszcza na podłogę zmiażdżoną chrząstkę i rzuca się na kolejnych napastników.

Świst bełtów przykuł jego uwagę do własnej osoby - pięć ich wbiło się z głuchym, mięsistym stukiem w pierś golema. Stwór zignorował je - potężnym ramieniem odbił cios krótkiego miecza złodzieja, drugim trafił jego samego. Durgoth usłyszał trzask pękających kości, a mężczyzna runął na ziemię jak szmaciana lalka.

Kapłan rozejrzył się po pomieszczeniu, wypatrując kuszników. Dostrzegł pięć sylwetek pospiesznie przeładowujących swoje kusze pod północną ścianą komory. Ze złym uśmiechem skupił swą wolę i niskim głosem zaczął recytować modlitwę. Szybkim ruchem poderwał ramię do góry i wykrzyczał ostatnie słowa. Z jego dłoni wystrzelił snop czystego mroku, pochłaniając całe światło na swej drodze. Trafieni nim kusznicy wrzasnęli i zaczęli dygotać. Durgoth z satysfakcją przyglądał się, jak ciemność pożera ich od środka, aż pod ścianą nie zostało nic żywego.

Komorę wypełnił zgiełk walki i jęki rannych. Jhagren i Adrys wymierzali zdradzieckim złodziejom cios za ciosem. Stos ciał, jaki za sobą zostawiali, był imponujący. Cichy szmer za plecami Durgotha kazał mu się odwrócić. Kapłan dostrzegł spowitą w opończę postać i zaklął, próbując uchylić się przed dźgnięciem sztyletu, ale było już za późno. Krzyknął, kiedy ostrze wbiło mu się w bok. Machnął na oślep pięścią i poczuł, że z chrzęstem trafia napastnika. Chwycił swój obsydianowy buzdygan i zamachnął się na złodzieja, mając nadzieję, że wykorzysta jego zaskoczenie. Tamten jednak był o wiele szybszy - uchylił się przed ciosem i wyciągnął miecz. Przeciwnicy zaczęli ostrożnie krążyć wokół siebie, choć Durgoth zerkał co chwila na golema, chcąc zepchnąć napastnika w zasięg rąk stwora.

Złodziej dźgnął z lewej. Durgoth dał się zwieść tej oczywistej fince, blokując cios buzdyganem. Kiedy jego przeciwnik wyciągnął drugi sztylet i uderzył nim z prawej strony, kapłan uskokzył w bok i kopnął ciężkim buciorem. Mężczyzna zgiął się tylko na chwilę, to jednak wystarczyło, by buzdygan spadł na jego głowę. Czaszka złodzieja pękła jak jajko, a na kamienną podłogę bryznęła krew i szara masa.

Durgoth odwrócił się od pokonanego i rozejrzył po komorze. Walka dobiegła końca. Jhagren i jego uczeń przemykali po pomieszczeniu, przepatrując cienie w poszukiwaniu kolejnych napastników, a golem przetrącił właśnie kark ostatniemu z jeszcze żyjących.

Zaległa cisza. Wszędzie leżały trupy, a podłoga była śliska od krwi. Wśród zabitych było kilku kultystów, kapłan zauważył jednak z zadowoleniem, że większość z tych, którzy wyruszyli z nim z

lasu Fellreev, wciąż żyje.

Dopiero jednak po ostrzegawczym okrzyku Jhagrena dostrzegł samotną postać przemykającą się ukradkiem ku bocznemu tunelowi. Odwrócił się do niej, zacisnął dłoń na medalionie z onyksem, symbolu swej wiary, i wyrecytował kolejną modlitwę. Zadrżał, kiedy przepłynęła przez niego boska moc.

Postać zamarła w bezruchu.

Podchodząc do niej, Durgoth zauważył drogą tkaninę, z jakiej uszyty był płaszcz złodzieja, a także klejnoty na jego palcach i w uszach. To nie był zwykły rzezimieszek czy szczur kanałowy, tylko ktoś, kto zajmuje wysokie stanowisko w gildii złodziei. Ktoś, kogo można użyć. Przywołał skinieniem dłoni golema i rozkazał mu schwycić bezradnego człowieka. Stwór sięgnął i zacisnął dłoń na jego szyi.

Pewien, że pojmany nie ucieknie, Durgoth zdjął z niego czar. Mężczyzna zaszamotał się słabo, przestał jednak, kiedy golem mocniej ścisnął go za gardło. Złodziej spojrzał na kapłana wytrzeszczonymi oczyma.

- Mój drogi przyjacielu - powiedział Durgoth do przerażonego mężczyzny. - Chyba czas dokończyć naszą rozmowę.

- Cz... czego ode mnie chcecie? - wykrztusił schwytyany. Kapłan uśmiechnął się i w myślach pomodlił się w podzięce Tharizdunowi, bo choć głos mężczyzny był zduszony uściskiem golema, Durgoth poznał w nim ten, który powitał ich w komorze.

- Jak to? - odparł przesłodzonym tonem. - Chcę skorzystać z twojej propozycji. Renegocjujemy warunki.



- Więcej piwa! - zaryczał Kaerion do grubego karczmarza. - I przynieś jeszcze trochę tego przeklętego Dechu Smoka. Kopie zaiste godziwie. - Postawił z hukiem kufel na stole i otarł usta ręką.

Główna sala tawerny *Ludzie ze stali* była pełna. Ludzie, elfy, a nawet kilka krasnoludów, pili, żartowali, przepychali się i klęli. Mimo słabego światła Kaerion zauważył, że wszyscy trzymają swoją broń pod ręką. Podłoga wyłożona była brudnym sitowiem, a dziewczki biegały od stolika do stolika, zbierając pieniądze i odruchowo opędzając się od poklepujących je rąk i szczypiących palców. Gdzieś w rogu minstrel przemyczał szybko palcami po strunach instrumentu.

Kaerion z niesmakiem wrócił do picia. Kilka chwil później karczmarz postawił przed nim dwa kolejne kufle piwa i trzy małe kubki z brązowym płynem. Wojownik powąchał je, z zadowoleniem wciągając dymny zapach. Podniósł pierwszy kubek i kiwnął głową elfowi, który właśnie przywiązał brodę jakiegoś krasnoluda do nogi stołu, na którym ten spał, spity do nieprzytomności. Elf uśmiechnął się w odpowiedzi, a Kaerion niechętnie pomyślał o swoim towarzyszu. Wzdrygnął się i wypił zawartość kubka jednym haustem.

W żołądku eksplodowała mu mała ognista kula. Żar rozszedł się po jego ciele, aż Kaerion poczuł, że gotuje mu się krew. Zrobił potężny wydech, zdumiony tym, jak długo aromat gorzałki zostaje na języku. Zgiełk tawerny i ciepło alkoholu pozwoliły mu zrzucić napięcie wydarzeń całego dnia. Umysł Kaeriona dryfował w oparach płynnego szczęścia.

Aż do teraz.

Niech go otchłań pochłonie, pomyślał ze złością, przypominając sobie spotkanie z Gerwythem kilka godzin wcześniej. Wypadł z *Platynowej Tarczy* i ruszył do najbliższej tawerny, zamierzając spić się do nieprzytomności. Szło mu całkiem dobrze, kiedy do środka wszedł elf, będący świeżo po spotkaniu z pomarszczonym starym magiem.

Dziesięć lat! Dziesięć długich lat razem podróżowali i ramię w ramię walczyli. Kaerion czuł się zdradzony. Gerwyth powinien był uprzedzić go, co planuje. Powiedział to temu przekłętemu elfowi. Jego towarzysz w odpowiedzi wymamrotał coś o przyjaźni, honorze i obowiązku.

Słowa.

Teraz to były dla niego tylko słowa. Kiedyś rozumiał ich znaczenie, ucieleśniał je całym swoim życiem, ale spoglądając za siebie, na wybory, których dokonał, nie mógł przypomnieć sobie tamtego człowieka. Stał się on blaknącym wspomnieniem, niczym więcej jak tylko snem.

Nie tyle sama podróż tak rozżłościła Kaeriona, choć bogowie świadkami, nie miał ochoty brnąć przez jakieś parujące bagnisko w poszukiwaniu starożytnego grobowca. Nie chodziło też o obecność kapłana Heironeusa - choć wstrząs i ból wywołany spotkaniem z nim wciąż tliły się w sercu wojownika. Kaerion był wściekły o sam fakt, że Gerwyth nie powiedział mu wcześniej, na czym ma polegać ich następne zadanie.

Wiedział, że nie ma wielu przyjaciół po tym, jak... tu zawahał się w myślach na chwilę, wciąż obawiając się cofać do *tego*... po tym, jak bóg go osądził. Zgorzkniały i zły spędził kilka lat, włóczęgając się od miasta do miasta, sprzedając swój miecz, gdzie mógł i zdobywając w ten sposób strawę i napitek. Głównie napitek. Dopiero kiedy poznał Gerwytha - w pojedynku - poczuł się na tyle swobodnie, by pomyśleć o możliwości zawarcia przyjaźni. W ciągu kilku następnych lat nabrał do elfa bezgranicznego zaufania. Byli braćmi i towarzyszami broni. Byli nierozłączni.

A przynajmniej tak mu się zdawało.

Kaerion przerwał przykre rozmyślania, by odkryć, że wypił już wszystko, co miał. Chciał już zamówić następne piwa, kiedy poczuł delikatne klepnięcie w ramię.

- Czego? - wybełkotał, odwracając się. Stojąca za nim postać wydawała się niewyraźna i rozmyta.

Dopiero po chwili Kaerion zrozumiał, że z nieznanym wszystko jest w porządku. Przetarł kilka razy oczy i zmusił się do skupienia wzroku. Po kolejnych kilku chwilach rozmyty kształt wyostrzył się, zamieniając w znaną mu twarz półelfki. Majandra, przypomniał sobie imię bardki.

- Mogę się dosiąść? - spytała. Wzruszył ramionami, choć ruch ten kosztował go trochę wysiłku. Stracił już zupełnie rachubę piw i kubków gorzałki które wypił.

- To twój kraj - odparł. Coś w jego własnych słowach musiało go rozbawić, bo z miejsca parsknął śmiechem.

Zauważył, że Majandra przelotnie się skrzywiła, ale nic nie powiedziała. Usiadła tylko obok niego i zamówiła piwo.

- Czego sobie życzysz? - spytała neutralnym tonem.

- Świętego spokoju - usłyszał Kaerion własną odpowiedź. Kiedy bardka nic nie powiedziała, wydał wargi, a potem uznał, że będzie uprzejmy. - Wezmę piwo.

Przekazała jego zamówienie i odwróciła się z powrotem do niego. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zauważył jej oczu. Duże i lekko skośne, odbijały marne światło tawerny jak dwa złote kręgi.

- Uważasz, że jesteśmy głupi, prawda? - głos Majandry uciął jego piwne fantazje. Kaerion

zamrugał i skupił się, jak mógł na tym, co mówiła.

Potrząsnął głową.

- Nie uważam - powiedział, zmuszając do posłuszeństwa bezwładny już nieco język. Ale prawdę mówiąc nie wiedział, co naprawdę sądzi - o Majandrze i zadaniu, którego ona i jej przyjaciele chcieli się podjąć, ani o Gerwycie.

- Więc czemu nosisz w sobie taki gniew? - spytała swobodnym tonem, ale Kaerion wyczuł w nim nutkę napięcia.

Nagle poczuł się zmęczony. Zmęczony noszeniem w sobie gniewu i bólu. Dobrze byłoby choć raz podzielić się z kimś swoim brzemieniem. Powiedzieć komuś o sprawach, o których nie wiedział nawet Gerwyth.

Patrzyła na niego oczami skrzącymi się inteligencją w łagodnej, otoczonej płomieniście rudymi włosami twarzy. Była piękna. Piękna i zainteresowana. Kaerion poczuł, że jego serce mięknie pod spojrzeniem, jakim go obdarza.

Zaczął mówić, zrzucąc ciężar tajemnicy, kiedy Majandra drgnęła popchnięta przez kogoś z tyłu.

- Hej! - krzyknęła na pijaka, który próbował się obok niej przecisnąć, ale najwyraźniej źle wyliczył odległość. - Patrz, gdzie idziesz!

Pijak wymamrotał coś niezrozumiale i zaczął ją wymijać. Instynkt Kaeriona, nie do końca stłumiony alkoholem, zdołał przesłać sygnał alarmowy przez spowijającą jego umysł mgłę. Jego ręka wystrzeliła do przodu, a dłoń schwyciła pijanego za poplamioną koszulę.

- Hej! - zawołał głośno złapany. - Puszczaj mnie, wariacie!

Kilku bywalców tawerny odwróciło się w ich stronę, a Kaerion usłyszał groźny pomruk.

- Kaerionie! - wykrzyknęła bardka. - Co robisz?! Wojownik nie puszczał koszuli pijaka.

- Twoja sakiewka - powiedział, starając się zbytnio nie bełkotać.

Majandra patrzyła na niego przez chwilę bez zrozumienia, ale kiedy zdała sobie sprawę, o czym mówi, sięgnęła do pasa. Otworzyła szeroko oczy, kiedy odkryła, że pijany ukraść jej sakiewkę ze złotem.

- Ty mały... - zaczęła, ale złodziej złapał na wpół opróżniony kufel piwa i chlusnął nim Kaerionowi w twarz.

Zaskoczony wojownik puścił mężczyznę; gęsty płyn szczypał go w oczy. Oślepiiony piwem i wściekłością Kaerion machnął dziko pięścią, mając nadzieję ogłuszyć podstępnego drania, zanim ten zdoła uciec. Poczuł, że w kogoś trafia i usłyszał łomot padającego ciała, a zaraz potem brzęk tłuczonych kufli.

Dopiero kiedy otarł z oczu piwo, zobaczył, co się naprawdę stało. Dookoła resztek drewnianego stołu stało trzech rozwścieczonych mężczyzn. Czwarty, zupełnie niepodobny do rzezimieszka, w którego Kaerion celował, leżał oszołomiony pośród szczątków.

Zapadła cisza, a potem rozpętało się piekło. Ktoś rzucił butelką. Naczynie roztrzaskało się o drewniany bar i jak na dany sygnał wszyscy rzucili się na siebie. Trzej mężczyźni skoczyli do Kaeriona. Dookoła rozlegały się wymowne krzyki i łomoty okładających się walczących.

Kaerion próbował uskoczyć przed ciosem pierwszego mężczyzny, ale refleks miał przytępiony piwem. Uderzenie w brzuch pozbawiło go tchu. Dopiero po trzecim kopniaku w głowę zdał sobie sprawę, że leży na ziemi. Usłyszał niewyraźnie krzyk protestującej Majandry, a potem coś jasno rozbrzmiało. Grad ciosów ustał na chwilę, a Kaerion podźwignął się na nogi.

Dookoła niego walczyli ciasno ze sobą splątani mężczyźni i kobiety. Z trudem dostrzegł między nimi swoich trzech oprawców, leżących na podłodze i zaciskających dłonie na oczach. Rozejrzał się za Majandrą i poczuł ulgę, kiedy zobaczył ją siedzącą spokojnie na barze i przyglądającą się rozróżbie.

Już miał się do niej odezwać, kiedy grubonosa mężczyzna z dużym, okrągłym kolczykiem w uchu złapał go za ramię. Kaerion obrócił się i sparował nadlatujący cios przedramieniem. Uchylił się przed następnym, ale podłoga pod nim zawirowała. Straciwszy równowagę, runął na ziemię. Zdołał jeszcze wymierzyć rozpaczliwe kopnięcie swojemu przeciwnikowi, poczuł, że trafia w kość i znów poderwał się na nogi. Nikt go nie zaatakował.

Kiedy się rozejrzał, dostrzegł napastnika zwiniętego w kłębek na podłodze i ściskającego wystającą, pękniętą kość.

- Kaerion, uważaj! - krzyknęła Majandra.

Ostrzeżony wojownik wyrzucił w górę obie ręce. Ocaliło go to przed ciosem krzesłem, które pękło, trafiając go z boku.

Oszołomiony, nie mógł nic zrobić, kiedy dwaj mężczyźni skoczyli na niego i powalili na ziemię. Odruchowo zwinął się w kulę, odpierając w miarę możliwości ciosy, ale nawet on nie mógł w nieskończoność odwlekać nieuniknionego. Kątem oka dostrzegł jeszcze zmierzającą ku jego głowie butelkę, a potem ogarnęła go ciemność.

* * *

Terys Van stał z założonymi rękami, przyglądając się zdemolowanej tawernie. Drewniane stoły i krzesła były przewracane i połamane. Pod ciężkimi butami strażników chrzęściły szczątki i kawałki szkła. Gdzieś na sitowiu widać było plamy krwi i wybite zęby. Smród skwaśniałego piwa i taniego tytoniu mieszał się z odorem potu, razem tworząc znajomy zapach desperacji.

Czternaście lat w straży miejskiej sprawiło jednak, że Terys Van stał się nieczuły na ciemniejsze

i brutalniejsze aspekty życia w Rel Mord. Dlatego też ze znużeniem skinął głową młodej strażniczce, stojącej przed nim i czekającej na rozkaz złożenia raportu.

- Typowa barowa bójka, panie kapitanie - powiedziała kobieta na jego znak. - Brak ofiar śmiertelnych. Trzech ciężko rannych. Kapłani już się nimi zajęli; będą mogli stanąć przed sądem króla. Pozostali w tej chwili są prowadzeni do więzienia.

- Dobra robota - stwierdził Terys. Całe śledztwo przebiegło szybko i sprawnie. Strażnik obliczał, ile czasu zajmie mu przewalanie papierów i kiedy będzie mógł iść do domu. Zauważył jednak, że strażniczka wciąż stoi na baczność.

- O co chodzi, Kendra? - warknął. Nie miał nastroju do komplikacji.

- Panie kapitanie - młoda kobieta wyprężyła się, słysząc ton głosu dowódcy - kilku świadków zidentyfikowało tego który rozpoczął bójkę.

Wskazała w pobliże baru, gdzie o ścianę opierał się niedźwiedziej postury mężczyzna ze związanymi za plecami rękoma. Tunikę miał pochłapaną krwią i nawet z miejsca, w którym stał, Terys mógł zobaczyć siniec wykwitający na połowie jego twarzy.

- Rozumiem - powiedział, ostrym gestem odsyłając strażniczkę. - Ja się tym zajmę.

- Ależ, panie kapitanie - zawołała Kendra. - Chyba... Kolejne machnięcie ręki dowódcy sprawiło, że zamilkła.

- Powiedziałem, że się tym zajmę, kapralu. - Kazał jej porozmawiać z głośno lamentującym właścicielem tawerny.

Więzień podniósł wzrok, kiedy Terys do niego podszedł, a kapitan na ułamek chwili się zawahał. Twarz mężczyzny była przystojna, nawet pomimo gwałtownie rosnącego siniaka, ale jego oczy - jego oczy były twarde, zimne jak stal i przesywające. To były oczy zabójcy.

Strażnik zatrzymał się kilka kroków od ponurego człowieka, zostawiając sobie miejsce na wyciągnięcie miecza, gdyby zaszła taka potrzeba. Mężczyzna był wciąż pijany, o czym świadczyło jego rozchwianie i przyspieszony, nierówny oddech, i nie było powodu się narażać, gdyby jego gniew przewyciężył nagle zdrowy rozsądek.

Terys przecesał stwardniałymi palcami bródkę, chcąc tym gestem zamaskować własne napięcie. Przyjrzał się więźniowi, mając nadzieję, że przesłuchanie pójdzie szybko i będzie mógł na dziś skończyć służbę, jednak beznamienne spojrzenie mężczyzny nic mu nie powiedziało.

Zmieszany, nabrał tchu, by zacząć mówić, przerwał mu jednak jakiś damski głos.

- Tu jesteś, kapitanie. Cieszę się, że w końcu się pojawiłeś.

Terys się wzdrygnął. Głos był dźwięczny i miękki, słychać w nim było jednak ostre tony pewności siebie i odruchowej pogardy. Szlachcianka, pomyślał kapitan. Na pewno włóczę- ca się po dzielnicy nędzy w poszukiwaniu podłych rozrywek, zanim powróci do świata służby i wykwinnych posiłków.

Zdarzało się to całkiem często. Terys żałował tylko, że akurat on musiał na to trafić.

Odwrócił się do mówiącej, mając nadzieję, że na jego twarzy nie widać frustracji, i wstrzymał oddech. Przed nim stała najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widział. Uśmiechała się wdzięcznie, a kapitan poczuł się jak ostatni głupiec. Dopiero jednak kiedy spojrzał na złoty pierścień i medalion z herbem długorogiego jelenia, symbolu domu Damar, zrozumiał, jak bardzo skomplikował mu się wieczór.

- Pani, zamierzałem przesłuchać więźnia - powiedział, zerkając na potężnego pijaka.

- Cóż - odparła szlachcianka, a w ton jej głosu wkradł się chłód - nie nazwałabym przyjaciela córki księcia Flinthill więźniem... - przerwała. - Prawda?

Terys przełknął ślinę. Robiło się coraz gorzej.

- Pani - wykrztusił z trudem. - Świadkowie wskazują tego człowieka jako przyczynę dzisiejszego... zajścia. Mam swoje rozkazy. Musimy go zamknąć i przesłuchać.

- Nonsens — stwierdziła kobieta. - Wypuścisz go natychmiast, a ja wezmę na siebie całą odpowiedzialność za jego czyny. Zapłaciłam już oberżyscie... - wymówiła to słowo z taką odrazą że było oczywiste, co naprawdę sądziła o tawernie -... za szkody wynikłe z zajścia. Jestem pewna, że zgodzisz się ze mną, iż wszystko zostało załatwione.

- A... ale moje rozkazy... - zająknął się Terys. - Z pewnością rozumiesz, pani, że muszę trzymać się procedury.

- Ależ, kapitanie - powiedziała szlachcianka, podchodząc bliżej, a Terys poczuł, że twarz mu czerwienieje - nie zniósłabym, gdybym przy następnym obiedzie musiała powiedzieć dowódcy straży miejskiej, że jeden z jego kapitanów robił mi trudności.

Groźba była równie prawdziwa, co uprzejmie wyrażona, a Terys poczuł się zapędzony w kozi róg. Jego obowiązkiem było egzekwować przestrzeganie prawa, lecz nieobce też mu były meandry nyrondzkiej polityki. Dowódca straży nie pochwaliby krytyki jego ludzi ze strony córki jednego z głównych domów szlacheckich królestwa. Z drugiej strony wyświadczona teraz przysługa mogłaby sprawić, że Damarianka uśmiechnie się do niego i wspomni o wysiłkach kapitana, co na pewno wyszłoby mu na dobre.

- Dobrze, pani. Jeśli bierzesz odpowiedzialność za tego... szlachetnego pana, kimże jestem, by ci się sprzeciwić? Uwolnię go - odparł kapitan i rozkazał jednemu ze swoich ludzi rozwiązać mężczyznę.

I oby szlag was oboje trafił, pomyślał.

- Dziękuję, kapitanie. Cieszę się, że dobrze się zrozumieliśmy. - Szlachcianka znów się uśmiechała, a przyjazny wyraz jej twarzy kontrastował z wyższością, którą ociekało każde jej słowo.

Suka, pomyślał kapitan, odchodząc.

- Och, kapitanie, jeszcze jedno - zatrzymała go dama. - Następnym razem, kiedy się spotkamy, proszę mi mówić pani Majandro.

Odrzuciła z czoła ogniście rude loki, położyła smukłą dłoń na ramieniu towarzysza i wyprowadziła go z tawerny.

- Dlaczego mi pomogłaś? - spytał Kaerion. Wciąż bełkotał, chociaż Majandra nie wiedziała, czy był to efekt wypitego piwa, czy pękniętej, spuchniętej i wciąż krwawiącej wargi.

Zamyśliła się nad odpowiedzią. Szli wąskimi, krętymi uliczkami bogatej dzielnicy. Po wyjściu z tawerny bardka poprowadziła ich najkrótszą drogą do *Platynowej Tarczy*. Większość marszu upłynęła im w milczeniu, przerywanym tylko poświstywaniem oddychającego przez nos Kaeriona. Kiedy tylko weszli do lepszej części miasta, wojownik przemówił.

- Jaki sens być szlachetnie urodzonym, jeśli nie można raz na jakiś czas z tego skorzystać? - powiedziała w końcu Majandra, kiedy wchodzili wejściem dla służby do *Platynowej Tarczy*.

Kilka dziewczek i kucharek spojrzało krzywo na ich stan, ale bardka nie zwróciła na nie uwagi. Za kilka srebrnych koron będą trzymały język za zębami.

Zaczęła prowadzić Kaeriona po schodach do swojego pokoju, ale zatrzymała się, słysząc arogancki głos Bredetha. Zakłęła i sprowadziła chwiejącego się wojownika z powrotem na dół; weszli w boczny korytarz. Jej przyjaciele nie powinni go oglądać w takim stanie - zwłaszcza Bredeth. Wysoko urodzony pajac zrobiłby od razu awanturę, a Majandra nie chciała ryzykować, że Kaerion ich zostawi. Potrzebowali go.

A może to ty go potrzebujesz, zaszeptał cichy głosik w jej głowie. Zignorowała go i jeszcze raz spróbowała przemycić wojownika na górę. Tym razem Norebo, bóg szczęścia, spojrział na nią łaskawszym okiem. Majandra westchnęła z ulgą, zamknęła drzwi swojego pokoju i zaprowadziła Kaeriona do łóżka.

Delikatnie pomogła mu zdjąć tunikę, krzywiąc się na widok świeżych otarć i starych blizn, którymi poznaczona była jego potężna pierś i szerokie plecy. Kiedy otuliła go jedwabną pościelą, na poły już spał, patrząc bezmyślnie w sufit.

- Nie odpowiedziałas... pytanie - mruknął, kiedy odwróciła się do drzwi. - Dlaczego... pomogłaś? Odpowiedź zaskoczyła nawet ją samą.

- Bo masz opowieść do opowiedzenia, a ja uwielbiam opowieści. Zwłaszcza - dodała, na wpół do siebie - kiedy są opakowane w coś tak wspaniałego jak ty.

Ale Kaerion jej nie usłyszał. Zmorzył go sen.



Dni mijały pod znakiem cichej krzątaniny. Phathas i jego towarzysze spotykali się z niezliczonymi kupcami, dostawcami, przewodnikami karawan, a nawet kilkoma kolegami czarodzieja z Królewskiego Uniwersytetu. Grupa sprawdzała wielokrotnie swoje obliczenia, mierząc odległość, wyliczając zapasy i starając się przewidzieć nieprzewidziane sytuacje. Noce upływały na ślęczeniu nad starymi mapami i notatkami Phathasa, na ustalaniu położenia grobowca i wytyczaniu najbezpieczniejszej prowadzącej do niego drogi.

Kaerion obserwował te przygotowania z dystansu, usilnie starając się nie pamiętać czasów, kiedy robił to samo jako dowódca zbrojnych batalionów. Z tym bowiem kojarzyły mu się ostatnie dni — z przygotowaniem do wojny. Nie mógł pozbyć się niepokojącego wrażenia, że już ją przegrali.

Dlaczego więc, pytał sam siebie, jeszcze tu jestem?

Od chwili, gdy obudził się następnego ranka po swoich wyczynach w *Ludziach ze stali*, wiedział, że weźmie udział w podróży. Być może stała za tym perwersyjna chęć dokuczenia gorącogłowemu Bredethowi, który przez prawie cały poranek awanturował się z Majandrą, Gerwythem i Vaxorem, dowiedziawszy się o wybrykach Kaeriona. A może chodziło o fakt, że mimo przeciwnych deklaracji jakaś jego część wciąż wierzyła w przyjaźń i honor. Mogła też przemawiać przez niego chęć pozostania w pobliżu ognistowłosej bardki, jedynej osoby oprócz Gerwytha, która w przeciągu ostatnich dziesięciu lat okazała mu trochę serca. W zamieszaniu i bieganinie ostatnich dni trudno mu było rozszyfrować swoje pobudki.

Wiedział tylko, że obudził się z potwornym kacem i postanowieniem wzięcia udziału w wyprawie. Tylko jedna z tych dwóch rzeczy minęła.

Teraz obserwował i czekał, zachowując dystans wobec Nyrondczyków, zwłaszcza Vaxora. Kilka razy zauważył, że kapłan patrzy na niego surowo, i choć był w stanie znieść to spojrzenie, w duchu cały się kulił, próbując ukryć swoją hańbę. Jeśli Vaxor cokolwiek odkrył, na szczęście zachowywał to dla siebie.

W miarę upływu czasu Kaeriona coraz bardziej bolała głowa. Mężczyzna czuł się rozdygotany, zmęczony koszmarami i bezsennymi nocami, ale też brakiem piwa. Zaciskał zęby i cierpiał w

milczeniu. Na pijaństwo przyjdzie jeszcze czas.

Miał tylko nadzieję, że tego dożyje.

* * *

Pewnego wieczora, na kilka dni przed opuszczeniem przez wyprawę miasta, Gerwyth poklepał Kaeriona po ramieniu i wskazał mu odosobniony kąt pokoju. Phathas i Vaxor pogrążeni byli w długiej dyspacie na temat znaczenia jednego wersu jakiegoś starożytnego zwoju, a Majandra i Bredeth kończyli rozmowy z jednym z kupców dostarczających ekspedycji jucznych zwierząt. Samotny i - szczerze mówiąc - spragniony towarzystwa Kaerion wzruszył ramionami i poszedł za Gerwythem. Elf, co niezwykle, nie uśmiechał się tym razem kpiąco - sprawiał wrażenie niezwykle poważnego.

Kaerion spojrział na przyjaciela. Milczenie i uraza dzieliły ich jak ziejąca otchłań. Próbowali kilka razy normalnie porozmawiać, za każdym razem kończyło się to krzykami i gorzkimi wyrzutami. Teraz potrzebowali więcej niż kilku chwil, by przerwać ciszę.

Elf odezwał się pierwszy.

- Nie mogę patrzeć, jak sobie to robisz, Kaer.

Słowa jego przyjaciela były ostrożne, ciche i Kaerion nie mógł zaprzeczyć, że słyhać w nich było prawdziwą troskę.

- Powinieneś był mi powiedzieć, z kim mamy się spotkać, Gerwyth — odparł. - Powinieneś był powiedzieć mi o wszystkim.

Elf kiwnął głową i zamilkł na chwilę.

- Masz rację, oczywiście, powinienem był. Źle zrobiłem, zatajając to przed tobą.

Kaerion spojrział na niego z niedowierzaniem. Pierwszy raz, odkąd się znali, elf za coś przeprosił.

- Wiedziałem po prostu, że gdybym ci wszystko powiedział, nie chciałbyś ze mną iść, a ja cię naprawdę potrzebuję.

- Oczywiście, bo to są powody, dla których nie chciałbym iść, Gerwyth - odparł Kaerion. W jego głosie słyhać było rosnący gniew. - To wszystko - wskazał gestem bogato urządzonej komnaty i dwójkę szlachciców nie zwracających uwagi na przewodników - przypomina mi o życiu, które za sobą zostawiłem, życiu, które własnoręcznie zniszczyłem. To, jak Galadorn...

Przerwał, wymówiwszy imię miecza. Nawet teraz, po wszystkim, co się wydarzyło, nie mógł mówić o swojej broni bez dreszczu podziwu i uwielbienia.

- Ten miecz przypomina mi o wszystkim, co straciłem. To klątwa. Ostateczna kara, wymierzona

mi przez boga, którego zdradziłem. Tyle tylko, że teraz muszę przez ileś miesięcy udawać, że jestem zwykłym najemnikiem, podróżując z gromadą szlachciców i kapłanem Heironeusa. - Kaerion ściszył głos. - Wiesz, co Vaxor zrobi, kiedy odkryje mój grzech?

Gerwyth kiwnął głową i poklepał go po ramieniu.

- Rozumiem, Kaer. Naprawdę. Przemierzyliśmy razem wiele mil, przyjacielu, i widziałem, jak cierpisz z powodu popełnionych błędów. Podniosłeś się z popiołów swojej klęski, a to wymaga wielkiej siły i odwagi, cokolwiek o tym myślisz. Ale takie życie to nie życie. Widziałem, jak pijesz, mając nadzieję, że wypełnisz w ten sposób część siebie samego, której ciągle ci brak, która umarła ponad dziesięć lat temu. Nadszedł czas, byś przestał uciekać i stawiał czoło ciemności, którą nosisz w duszy.

Kaerion strząsnął z ramienia dłoń elfa.

- Ja o tym zadecyduję, Gerwyth, nie ty. Kiedy będę gotowy, zrobię to.

- Być może, gdybyś był elfem, byłaby to prawda. Ale płomień życia twojego rodzaju pali się szybko, a ja nie pozwolę, byś zabrał swój ból do grobu. Jesteś prawdziwym przyjacielem, Kaerionie, i zrobię wszystko, co w mej mocy, by ci pomóc.

- Tak jak pomagasz Phathasowi? - spytał Kaerion. Gorycz paliła go w gardło jak rozżarzone węgle.

Gerwyth uniósł brew.

- Phathas to stary przyjaciel. Tak, zrobiłbym dla niego wszystko, nawet stawiał czoła twojemu gniewowi. - Na twarz elfa wypełził ślad jego zwykłego, kpiącego uśmiechu.

Kaerion poczuł, że jego złość przygasa.

- Mogłeś mi powiedzieć o Phathasie - wypomniał.

- To było inne życie, Kaer - odparł Gerwyth. - I, prawdę mówiąc, nie sądziłem, że cię to zainteresuje. Poza tym, gdybym chciał wtajemniczyć cię we wszystkie szczegóły mojego życia, byłbyś zgrzybiałym starcem, zanim doszedłbym do połowy.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Tak - zgodził się Kaerion, również zaczynając się uśmiechać. - Bez dwóch zdań bym się zanudził.

Elf spojrział na niego szeroko otwartymi oczami, marnie udając oburzenie, a potem zaśmiał się i wyciągnął do Kaeriona prawicę.

- Dalej podróżujemy jako towarzysze? - spytał. Kaerion popatrzył na wyciągniętą rękę przyjaciela. Wciąż był na niego trochę zły, ale tylko dlatego, że elf zmusił go do konfrontacji ze sprawami, o których wolał nie pamiętać. Przyjaciele powinni być ze sobą szczerzy. Kaerion pomyślał, że w jakiś sposób ukrywając przed nim prawdę, Gerwyth mógł wyjawić inną o wiele głębszą - niemożliwą, gdyby świat był czarno-biały.

W końcu wojownik ścisnął wyciągnięte ramię.

- Zawsze, przyjacielu - powiedział. - Zawsze.

- Chodź więc - rzekł elf. - Użyczymy naszej wiedzy toczonej w tej komnacie dyspacie. - Klepnął Kaeriona po ramieniu i wstał, zmierzając do Vaxora i Phathasa, którzy zdążyli się pokłócić o znaczenie zwoju.

Niech bogowie zlitują się nad nami wszystkimi, pomyślał Kaerion.

Na zewnątrz zimowy wichur chłostał kolorowe szyby gospody.

* * *

W cieniach komnaty czaiła się śmierć.

Durgoth nie widział zakapturzonych postaci skulonych w ciemności poza zasięgiem migoczącego światła srebrnej lampy, ale wyczuwał ich obecność - obserwującą, czekającą na nagły ruch albo dany sygnał. Wiedział, że Jhagren też to czuje, mnich bowiem siedział w swoim szerokim fotelu zupełnie nieruchomo, wpatrzony spokojnie w skaczące cienie. Kapłan spędził z nim dość czasu, by wiedzieć, że pod powłoką spokoju kryje się nieludzko skupiony umysł i ciało wyszkolone, by atakować z prędkością zmił przy pierwszej oznace zagrożenia.

Niech spróbują. Durgoth miał już dość układania się z tą zgrają. Osłonił się już rzuconym cicho czarem. Jedno krótkie polecenie wydane golemowi, a popłynę krew. Pech w tym, że w ten sposób nie zbliżyliby się do celu. Kapłan westchnął i usiadł wygodniej w fotelu.

Przybyli tu prawie godzinę temu. Szybkie przepytanie zakładnika wyjawilo, że głupiec był o wiele bardziej zainteresowany przeżyciem niż zachowaniem tajemnic gildii. Przeszli więc przez labirynt kanałów do jednej z głównych kryjówek złodziei, używając jeńca jako klucza do omińnięcia pułapek i posterunków. Wieści o ich przybyciu musiały ich wyprzedzić, bowiem kiedy dotarli do celu, krótko ostrzyżona kobieta o twardym spojrzeniu zaprowadziła ich do bocznego korytarza. Upewniwszy się, że pojmanemu nie stała się żadna krzywda, wpuściła ich do komnaty i kazała czekać.

Sama komnata była bogato wyposażona, zupełnie nie pasując do otaczających ją zawilgłych tuneli. Podłogę przykrywał gruby, czerwony dywan, na środku zaś stało mahoniowe biurko. Po jego przeciwnej stronie ustawiono wysoki fotel, taki sam jak te, na których siedzieli Durgoth i Jhagren. Po- mieszczenie wypełniał ostry zapach goździków, zabijający gryzący smród ścieków.

Oprócz stojącej na biurku pięknej latarni z kutego srebra Durgoth dostrzegł kilka jadeitowych posążków tańczących i hasających z właściwą sobie beztruską nimf. Obok leżał wysadzany

klejnotami sztylet, namacalny dowód brutalności kryjącego się za fasadą elegancji pomieszczenia.

Kiedy cierpliwość Durgotha była już na wyczerpaniu, z cienia wyszła bezgłośnie jakaś postać i usiadła za biurkiem. Z wilczej twarzy spojrzały na kapłana spokojne, szare oczy. Skojarzenie pogłębiały jeszcze krótko obcięte srebrne włosy i szpakowata bródka. Głębokie zmarszczki ciągnęły się od kątek oczu nieznanego aż po same prawie skronie, przez co wyglądał, jakby uważnie się wszystkiemu przyglądał. Rozciągnięte w lekkim uśmiechu wargi odsłaniały idealnie białe zęby - choć Durgoth zauważył, że dobry nastrój mężczyzny nie sięga jego oczu.

- Witajcie - powiedział gospodarz po chwili.

Miał niski, dźwięczny głos i mówił z kulturalnym akcentem. - Jestem mistrzem gildii, ale możecie mnie nazywać Reynardem. Ufam, że nie kazałem wam czekać zbyt długo. Zatrzymały mnie pewne... nie cierpiące zwłoki sprawy.

Nie odrywając spojrzenia od kapłana, mężczyzna wysunął obwieszone złotem dłonie z fałd purpurowego płaszcza i roztargnionym gestem poglądził posążki nimf. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

Przez trudną do zniesienia chwilę Durgoth miał wrażenie, że przygląda mu się jakiś drapieżca. Spojrzenie szarych oczu wwiercało się w niego z niemal hipnotyzującą siłą. A więc tak czuje się królik na chwilę przed śmiercią, pomyślał kapłan.

Odwzajemnił spojrzenie bez emocji, samemu powoli się uśmiechając. Niech inni dają się zastraszyć. On pokonywał przeciwników o wiele groźniejszych niż ten kanałowy szczur paradyjący w jedwabiach jak dziecko przebierające się w suknie matki.

Jakby wyczuwając jego zdecydowanie, złodziej odwrócił wzrok. Durgoth zobaczył, że mężczyzna naprawdę się teraz uśmiecha i poczuł wzbierający gniew.

- Twoja gildia mnie zdradziła. Nie patrzę przychylnie na zdrajców, Reynardzie.

- Daj spokój, Durgocie. Och tak, nie udawaj takiego zaskoczenia, przyjacielu - powiedział mistrz gildii, widząc zdziwienie na twarzy kapłana. - Stawiam sobie za punkt honoru wiedzieć, kto podróżuje przez moją dziedzinę. - Przerwał, szerokim gestem wskazując komnatę i otaczające ją tunele. - Na czym to stanęliśmy? Ach, tak, chyba rozmawialiśmy o zdradzie. To ja czuję się zdradzony. Czy to cię dziwi?

- Dziwi mnie? - spytał Durgoth. O czym, na dziewięć piekieł, bredzi ten człowiek? Nagle do niego dotarło - atak, łatwość, z jaką on i jego ludzie minęli pułapki i posterunki gildii, zachowanie pozornie szalonego jej mistrza - wszystko to prowadziło do jednego, nieuniknionego wniosku.

- Zaplanowałeś to wszystko. Reynard klasnął głośno w dłonie.

- Na święty skarbiec Zilchusa, domyślił się! - zawołał z uśmiechem.

- Dlaczego? - spytał kapłan. Miał dosyć robienia z siebie głupca. Jeśli Reynard nie zaprzestanie swoich gier, zobaczy, czym kończy się sprzeciwianie kapłanowi Uwięzionego.

- To proste - odparł mistrz gildii. - Masz coś, czego chcą. A raczej będziesz to niedługo miał.

Durgoth spojrział na niego jadownicie.

- Odkryłem - nie miej do siebie o to pretensji, zapewniam cię - odkryłem ostateczny cel twojej podróży.

- Mów dalej - powiedział kapłan. W jego głosie pojawił się cień groźby.

- Jak każdy człowiek interesu, chcę mieć w tym swój udział.

Oferuję ci usługi mojej gildii w zamian za część złota, klejnotów i innych skarbów, jakie znajdziesz... ach... na miejscu.

Durgoth popatrzył na niego z obrzydzeniem. Szare oczy Reynarda świeciły chciwością. Było niemal słyhać, jak mężczyzna w myślach przelicza monety. Czym były pieniądze i bezużyteczne kosztowności w porównaniu z mroczną chwałą Tharizduna?

- Jeśli tylko o to ci chodzi, dlaczego po prostu nie zaproponowałeś spotkania, zamiast nas atakować? - spytał.

Reynard uśmiechnął się chytrze.

- Musiałem się upewnić, że jesteście dość silni, zanim przydzielę wam moich najlepszych ludzi. Strata kilku pionków to mała cena za udział w bogactwach, które czekają w tym grobowcu.

- Jeśli jesteśmy dość silni - a wiem, że jesteśmy - odparł Durgoth ze złym błyskiem w oku - co ma nas powstrzymać przed zabiciem ciebie i wszystkich twoich zaczajonych w tej komnacie sługusów?

Bardzo mu się podobał ten pomysł.

Reynard pochylił się do przodu i oparł brodę na splecionych dłoniach.

- To - powiedział cicho, znów patrząc kapłanowi w oczy - że posiadam informacje, które dla was są bardzo cenne. Informacje, których nie uzyskacie łatwo od trupa.

Nie bądź taki pewny, pomyślał złośliwie Durgoth. Nic jednak nie powiedział, mierząc złodzieja spojrzeniem. Zaintrygowała go propozycja i spryt mistrza gildii. Mężczyzna mógł być czymś niewiele więcej wartym od kanałowego śmiecia, ale przebiegłym i niebezpiecznym - prawdziwym drapieżnikiem, którego słabość do złota czyniła użytecznym narzędziem.

- Co to za informacja? - spytał Durgoth, przerywając ciszę.

Według kilku moich agentów z Rel Mord, grupa szlachciców planuje ekspedycję na Przepastne Bagnisko... - Reynard zrobił efektowną pauzę - ... a ich celem jest starożytny grobowiec maga Acereraka. Podam ci szczegóły i miejsca kiedy dobijemy targu.

Ale Durgoth już nie słuchał. Jeszcze jedna wyprawa, pomyślał i opadł na oparcie fotela. Inna grupa wyruszająca do grobowca. Wiedział, że to nie jest zbieg okoliczności. Tharizdun nie zna tego pojęcia. To musi być znak. Nawet spętany przeklętą wolą innych bogów, jego pan mówi mu, że jest na właściwej drodze.

- Błogosławiona niech będzie czarna wola - szepnął kapłan, planując jednocześnie następne posunięcie.

Reynard uprzejmie odchrząknął.

- A więc, Durgocie - powiedział - zawieramy układ?

Niech złodziej weźmie sobie swój beużyteczny skarb, jeśli ma to zapewnić jego pomoc. Kiedy Durgoth posiada klucze, uwolni swego pana, a jego majestat pochłonie cały świat. Żadna ilość złota nie będzie w stanie temu zapobiec.

Kapłan z uśmiechem wyciągnął do Reynarda dłoń.

- Przyjmuję twoje warunki.

- Doskonale - powiedział złodziej i zastukał głośno w stół. Z ciemności wyszły dwie postacie: mężczyzna i kobieta.

Kiedy zbliżyły się do biurka, Durgoth aż wstrzymał oddech. Migoczące światło lampy spowilo kobietę niczym złota szata; opływało jej opaloną skórę i odbijało się w oczach koloru czystego miodu. Opinające jej długie, muskularne nogi skórzane bryczesy wpuszczone były w wysokie buty, zaś odsłaniający brzuch gorset przylegał ciasno do kształtnych, krągłych piersi. Na przedramionach nieznajoma nosiła dwie srebrne bransolety, a w dłoni trzymała laskę z czarnego, inkrustowanego srebrem cisu. Przy jej pasie lśniła mała kusza.

Jej towarzysz wydawał się istotą z cienia. Jego ciemna niemal jak obsydian skóra pochłaniała światło, a krótka, czarna broda podkreślała zarys szczęki. Długie włosy związał na karku czarnym rzemieniem, a Durgoth był pewien, że widzi połyskującą wśród jego splotów zębatą garotę. Obcisły, czarny strój z niezliczoną ilością kieszeni opinał się na muskularnej sylwetce nieznajomego. Przy jego lewym boku wisiał krótki miecz, a w licznych pochwach tkwiły sztylety.

Wchodząc, kobieta rzuciła coś Reynardowi i zatrzymała się wraz z towarzyszem kilka kroków od biurka. Durgoth ujrzał w ręku mistrza gildii odciętą dłoń i był tylko lekko zaskoczony, widząc na niej znajomy pierścień. Dłoń należała do złodzieja, który ich tu przyprowadził.

- To Sydra i Eltanel - powiedział Reynard, wskazując przybyłych. - Sydra para się magią, a jej czarnoksiężskie moce dorównują twoim. Eltanel jest najlepszym specjalistą gildii od otwierania zamków i rozbrajania pułapek. Razem będą wartościowym dodatkiem do waszej ekspedycji. - Złodziej wstał. - Oboje znają wszelkie szczegóły dotyczące drugiej wyprawy. Zostawię was teraz, ale pamiętaj... - cisnął odciętą dłoń na biurko, roztrącając jadesitowe posążki - ... ja również nie toleruję zdrady.



Dwie noce przed zaplanowanym wyruszeniem ekspedycji, Majandra szła z Bredethem oświetlonymi blaskiem pochodni ulicami Rei Mord. Szaroniebieskie cienie wieczoru zamieniły się wreszcie w mrok, a nad ziemią niczym węże wylę się wstęgi ciężkiej, zimowej mgły. Kręte ulice miasta były niemal zupełnie opustoszałe, większość jego mieszkańców zaszyła się bowiem w ciepłych tawernach i domach. Nieliczni stawiali czoła ceniom i chłodowi, załatwiając swoje sprawy w świetle lamp olejnych i pochodni. Inni prześlizgiwali się między chybotliwymi cieniami starych budowli i zaułków.

Majandra uważała cały czas na rzezimieszków i złodziei, których noc była żywiołem. Kolejny raz przeklęła ciężkie worki i pakunki, które razem ze swoim towarzyszem musiała prawie że wlec po ziemi.

- Po co, na dziewięć piekieł, potrzebne nam te wszystkie ubrania? - narzekała. - Wyruszamy na bagna, na bogów, a nie zimować z barbarzyńcami!

Bredeth, idący kilka kroków przed półelfką, zatrzymał się i odwrócił.

- Wiesz, że Phathas stara się przewidzieć wszystkie okoliczności - powiedział. - Chociaż wydaje się, że nasz stary czarodziej trochę przesadza, prawda? - Zrzucił pakunek na ramię i ruszył dalej.

Majandra popatrzyła na niego zdumiona. Cały ostatni tydzień oboje spędzili na organizowaniu zaopatrzenia, targowaniu się z przewodnikami karawan i załatwianiu spraw dla Phathasa i Vaxora. W przeciągu dwóch ostatnich dni w zachowaniu skwaszonego zwykle szlachcica zaszła jednak znacząca zmiana. Przestał kaprysić. Zniknęła gdzieś jego pogarda dla pracy fizycznej, przejawiająca się wcześniej w odmawianiu noszenia czegokolwiek bez pomocy służby, zniknęły wszystkie nawyki dziedzica szlacheckiego rodu. Dziś wieczorem Bredeth ciężko pracował, bez słowa skargi biegał kilka razy do różnych kupców, zaproponował nawet, że pójdzie na Królewski Uniwersytet po kilka zwojów, które Phathas chciał zabrać ze sobą w podróż. Zupełnie nie przypominał snoba, jakiego znała Majandra. Kobieta była pewna, że jego ostatnia uwaga w zamierzeniu miała być dowcipna. Niewiarygodne, pomyślała bardka i przyspieszyła kroku, by dogonić idącego szybko Bredetha.

Szli przez jakiś czas w milczeniu. Majandra wsłuchiwała się w nocne odgłosy miejskiego życia.

Chrapliwe szczekanie psa, miauczenie rozeźlonego kota-dachowca, dobiegające z karczm okrzyki radości i gniewu, nawet niepokojące odgłosy kroków w cieniach - wszystko to razem tworzyło otaczającą ją symfonię dźwięku, dotykającą jej wrażliwej duszy swoimi potężnymi akordami tajemnicy, obietnicy, nadziei i rozpaczy. Westchnęła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie zawrzeć to wszystko w swojej muzyce. To byłoby dzieło godne najlepszego.

Minęli jeszcze kilka zakrętów i dotarli do bogatszej części miasta. Bez zaskoczenia Majandra zauważyła, że tu wszystko wydawało się stłumione, cichsze. Na ulicach było mniej ludzi, mniej karczm. Zaglądając w kolorowe okna otaczających ją domów, bardka widziała głównie ciemność. Wiedziała, że pod tymi pozorami spokoju kryje się niespokojny i niebezpieczny świat - świat bogato urządzonej komnat, pysznych alków i dekadentkich buduarów, w których kupcy i szlachta plotkowali, knuli i zwodzili się nawzajem, uczestnicząc w złożonej grze polityki. Na zewnątrz jednak wszystko emanowało ciszą i spokojem.

Majandra zerknęła na swojego towarzysza i z zaskoczeniem zobaczyła, że jego normalnie ściągnięte usta teraz wygięte są w lekkim uśmiechu. Bredeth szedł spokojnym krokiem mimo przewieszzonego przez ramię ciężkiego worka. Półelfka miała wrażenie, że gdyby nie to brzemie, szlachcic zacząłby wesoło podskakiwać.

Bredeth musiał zauważyć wyraz zdumienia na jej twarzy bo zwolnił i obejrzał się. Przyłapaną Majandra uśmiechnęła się ze zmieszaniem i szybko odwróciła wzrok. Mimo uprzejmych rozmów tego wieczora między nimi cały czas dało się odczuć napięcie związane z ich ostatnią kłótnią, objawiające się w najmniej spodziewanych momentach. Bardka oczekiwała jakiejś pogardliwej uwagi czy czegoś podobnego, Bredeth jednak ruszył przed siebie tym samym, lekkim krokiem wciąż się uśmiechając.

Majandrę zdziwiło jeszcze bardziej, kiedy w chwilę później przerwał milczenie.

- Naprawdę wyruszamy, prawda? - spytał. - Po tylu miesiącach snucia planów i przygotowań, wreszcie wyruszamy.

A więc o to chodzi, pomyślała Majandra, słysząc ekscytację w głosie młodego szlachcica. Bredeth prawie skakał z uciechy na myśl, że będzie mógł odgrywać bohatera. Zobaczymy, jak sobie poradzi, kiedy będzie brodził po kolana w bajorze, a pod zbroją i ubraniem będą mu łązić legiony kąsających insektów.

- Tak - przytaknęła, starając się ukryć złośliwość. - Ale nie dalibyśmy rady bez Phathasa i wsparcia kościoła Vaxora.

Bredeth kiwnął głową, ignorując lub nie zauważając łagodnego napomnienia bardki.

- To nasza szansa, Majandro, szansa zrobienia czegoś dla mojego... dla ludu Nyrondu - powiedział, lekko się tylko zawahawszy.

Może byłam dla niego za surowa, pomyślała Majandra, kiedy zbliżyli się wreszcie do

Platynowej Tarczy. Było jasne, że Bredeth troszczy się o ludzi mieszkających w granicach królestwa - nawet jeśli nauczono go wywyższać się ponad nich.

- Być może, kiedy Nyron odzyska dawną siłę - powiedziała, kiedy podchodzili do wejścia dla służby - będziemy mogli nauczyć szlachetnie urodzonych bardziej ufać i wierzyć w godność i talenty tych, którym przewodzą. Bredeth parsknął.

- A po co mielibyśmy to robić? - spytał, przepychając się i prawie przewracając służącego, który otworzył im drzwi. - Przewodzimy im nie bez powodu, a oni nie bez powodu nas potrzebują.

Majandra zakłęta cicho i zdyszana weszła do pomieszczeń dla służby, nie czując już rąk od noszenia ciężkich pakunków przez całe miasto. Wiedziała, że niespodziewana przemiana jej towarzysza była zbyt piękna, by była prawdziwa.

- Niezmienne jak arogancja szlachecka - powtórzyła pod nosem stare przysłowie.

Pograżona w tych niewesołych rozmyślaniach nie zauważyła chłopaka o bystrym spojrzeniu, który wśliznął się do środka za nią. Nie dostrzegła też błysku szkarłatu pod jego znoszoną służebną tuniką.

Durgoth Shem stał w ciemnym zaułku, badając wzrokiem wznoszący się przed nim elegancki budynek. Na jego ustach błąkał się okrutny uśmiech. Kilka dni przekupywania kupców, zastraszania służby i badania tropów w końcu zaprowadziło ich do zwierzyny.

Chociaż Luna, większy księżyc, patrzyła na miasto na wpół przymkniętym okiem, gęste chmury przesłaniały jej srebrne spojrzenie, ukrywając również jej młodszą siostrę Celene i sprawiając, że cienie były gęste i nieprzeniknione. To doskonała noc na łowy, pomyślał kapłan. Ofiary nie będą nawet wiedziały, co się stało. Durgoth wysłał przebranego za służącego Adrysa przodem jako szpiega. Lekkomyślni szlachcice byli tak zajęci swoimi próżnymi rozmowami, że nie zauważyli, jak chłopak wślizguje się za nimi do gospody. Adrys wrócił po godzinie z wszystkimi informacjami, jakich Durgoth potrzebował.

Grupa liczyła sześć osób. Wszyscy zgromadzili się w dużym apartamencie na piętrze. Czworko drzwi prowadziło z głównej komnaty do poszczególnych sypialni, ale kapłana najbardziej interesował pokój maga, tam bowiem najprawdopodobniej znajdowały się wszystkie zwoje i mapy. Zdobywszy je, Durgoth mógłby szybciej i łatwiej zlokalizować grobowiec.

Szkoda, pomyślał, rozcierając zziębnięte dłonie, że nie ma czasu, by zabić ich wszystkich. Bogata dzielnica miasta nie jest jednak stosownym miejscem do toczenia bitew. Będą mieli bardzo mało czasu, zanim przybędą strażnicy. Nie, plan jest prosty: Durgoth uczyni dywersję, by wyciągnąć szlachciców z ich komnat, a Sydra i Eltanel z pomocą złodziei gildii zabezpieczą apartament i zdobędą zwoje. Po krótkiej dyskusji postanowiono, że Jhagren zostanie na zewnątrz, by „zniechęcić” ewentualny pościg.

Jakby czytając w myślach Durgotha, mnich wyszedł z cienia i dał znak. Chociaż kapłan

wiedział, że Jhagren nie może go widzieć, kiwnął głową. Wszystko gotowe. Czas na dywersję.

Durgoth oczyścił umysł i wziął trzy głębokie wdechy. Chociaż prostsze niż czar tworzący golema, zaklęcie wymagało koncentracji. Kapłan zaintonował cicho właściwe słowa, czując, że otwiera się w nim mistyczny portal. Rzeczywistość zadrżała, kiedy zderzyły się ze sobą i przeniknęły planarne siły. Durgoth skupił swoją wolę i wezwał istotę, której potrzebował, a wezwanie to rozbrzmiało echem we wszystkich planach. W końcu poczuł odpowiedź. Istota nadeszła wiedziona mocą jego pana, a on wysłał ją do miejsca, na którym cały czas się koncentrował. Zadrżał, kiedy planarny portal się zamknął. Między domami Rel Mord powiał lodowaty wicher, towarzysząc ostatnim słowom zaklęcia. Na czole kapłana zaperlił się pot. Durgoth otarł go roztargnionym ruchem ręki i wbił spojrzenie w okna *Platynowej Tarczy*, za którymi migotał czerwony, ciepły blask.

Uśmiechnął się.

Teraz to tylko kwestia czasu.

* * *

Kaerion obudził się, słysząc krzyki. Doświadczenie wielu lat walk i kampanii na całym kontynencie i naturalny instynkt wojownika poderwały go natychmiast na nogi, a jego dłoń sama odszukała rękojeść miecza. Rozejrzał się po komnacie, szukając zagrożenia.

Chociaż ogień w palenisku przygasł, w blasku żarzących się węgla Kaerion zobaczył Gerwytha zarzucającego na ramię skórzany kołczan i przypinającego pas z mieczami. Skąpany słabej, czerwonej poświacie elf wyglądał jak unurzany we krwi.

Na dole ciągle ktoś krzyczał, a zaraz potem z głównej sali dobiegł trzask pękającego szkła. Nie widząc bezpośredniego zagrożenia, Kaerion trochę się odprężył.

- Jak sądzisz, co to jest? Złodzieje, zabójcy? - spytał ostrożnym szeptem Gerwytha.

Elf pokręcił głową.

- Nie. Nie jestem pewien, co to może być - powiedział -ale bardzo mi się to nie podoba.

Skończywszy zakładanie cięciwy, elf klepnął Kaeriona po ramieniu.

- Idziesz, Kaer, czy mam poprosić naszych gości, żeby zaczekali, aż weźmiesz kąpiel?

Kaerion chrząknął, kiedy Gerwyth odwrócił się i wybiegł z pokoju. Szybko porwał tarczę i przypiął ją do przedramienia. Nie miał czasu na zakładanie zbroi, ale jego tarcza z herbem - jedyna rzecz, która pozostała z jego niegdyś słynnego bitewnego oporządzenia - przez minione lata zawsze dobrze mu służyła.

Wybiegł przez drzwi do głównej komnaty apartamentu, otrząsając się z resztek snu. Nie po raz pierwszy zazdrościł Gerwythowi jego umiejętności natychmiastowego budzenia. Ocaliło im to wiele razy życie, a Kaerion żałował, że sam tego nie potrafi. Nie chcąc więcej marnować czasu, kilka razy szybko odetchnął i popędził schodami na dół.

Widok, jaki ukazał się jego oczom, mroził krew w żyłach.

Główna sala gospody zamieniła się w krwawą ruinę. Na ziemi leżały połamane stoły i krzesła oraz rozwłóczone ciała, wyglądające, jakby podziurawiły je tysiące ostrych kolców. Podłogę i ściany zachlapała krew.

W samym środku tej sceny zniszczenia stała jedna z najpotworniejszych istot, jakie Kaerion kiedykolwiek widział. Wysoki na prawie osiem stóp potężny stwór machnął ostrymi jak brzytwy pazurami i wyszarpał gardło mężczyźnie, który atakował go mieczem. Broń ze szczękiem spadła na podłogę, a potwór rzucił się na pozostałych, potykających się i przewracających w panicznej ucieczce.

W słabym świetle Kaerion dostrzegł, że to, co początkowo brał za pancerz, było naprawdę pokrywą gęstych, zakrzywionych kolców, lśniących od krwi i pokrywających całe ciało stworza włącznie z grubym ogonem.

W tym momencie wojownik usłyszał znajomy głos, krzyczący coś na monstrum. Spojrzał jeszcze raz na spanikowany tłum i zobaczył Vaxora i Majandrę. Oboje stali między uciekającymi ludźmi a potworem.

- Gerwyth, musimy coś zrobić, żeby odciągnąć od nich to... coś! - krzyknął Kaerion. Było jasne, że dwoje szlachciców długo już nie wytrzyma. Włosy Majandry sklezione były krwią spływającą z szerokiego rozcięcia na skroni, a lśniący kolczuga kapłana w kilku miejscach popękała.

Elf kiwnął głową i przyklęknął.

- Mam coś, czego nam trzeba, przyjacielu - powiedział, a potem jednym płynnym ruchem wyciągnął z kolczana dwie strzały, przycelował z łuku i wypuścił je jedna po drugiej. Pociski pomknęły do celu i wbiły się między kolce pokrywające kark potwora.

Bez efektu.

Stwór otworzył paszczę, ukazując rzędy ostrych jak szpilki kłów i przeciągle, wysoko zaskowyczał. Kaerion zakrył uszy dłońmi i patrzył z przerażoną fascynacją, jak istota rusza do ataku. Strzały odpadły od niej, jakby wyciągnięte niewidzialnymi dłońmi.

Gerwyth zaklął i wyciągnął następne dwie. Tym razem potarł ramię łuku i wymówił kilka słów w mowie elfów. Srebrne runy zaślniły niebiesko, a tropiciel wycelował i strzelił. Strzały pomknęły przez salę, zostawiając za sobą ogony niebieskiego ognia.

Stwór znów zawył, tym razem jeszcze straszniej, kiedy pociski wbiły się w odsłonięte miejsce pod jego prawą łapą. Zatrzymał się i odwrócił do Kaeriona i Gerwytha. Machnął jednocześnie

ogonem i tylko w porę uniesiona tarcza uratowała Vaxora przed śmiertelnym ciosem w głowę.

Kaerion rzucił się na potwora, tnąc go szeroko przez pierś. Zadzwonila stal, strzeliły iskry, ale monstrum nawet nie zwolniło. Wojownik uchylił się przed machnięciem pazurzastej łapy, która chybiła go o włos. Skoczył w tył, mając nadzieję znaleźć jakiś słaby punkt...

Krzyknął, kiedy ogon bestii trafił go w niechronioną przez tarczę stronę ciała. Ból był niewiarygodny, jakby tysiące igieł przebiło skórę i żyłami ruszyło w stronę serca. Kaerion poczuł się, jakby krew zamieniła mu się w lód, a jego żołądek skurczył się w znajomym odruchu strachu.

Znów krzyknął, kiedy ściany gospody zniknęły, zastąpione białym kamieniem, rzeźbionym i zdobionym jak świątynne mury. Znał to miejsce, a świadomość ta sprawiła, że za-krztusił się w panice. To była sceneria jego hańby.

- Nie! - zawołał i kamienne ściany zniknęły.

Leżał na ziemi, zwinięty w kłębek. Nad sobą widział Majandrę i Vaxora, atakujących kolczastą bestię, odwracających od niego jej uwagę. W potwora wbiły się z głuchym stukiem kolejne trzy strzały. Jedna trafiła w zionące nienawiścią czerwone ślepie i stwór wreszcie się cofnął.

Kaerion przetoczył się i zerwał na nogi. Gniew zastąpił strach i wojownik ryknął z wściekłością, rzucając się do ataku. Bestia machnęła kolczastym ogonem, ale udało mu się odbić cios tarczą. Siła uderzenia prawie złamała mu ramię, nie przestał jednak napierać. Dwa razy dosięgnął potwora z mocą, która powaliłaby niedźwiedzika, ten jednak tylko się otrząsnął. Za trzecim razem Kaerion zablokował cios pazurów mieczem, a potem obrócił się, tnąc z siłą zamachu ramienia i skrętu bioder.

Stal wbiła się głęboko w gardło stwora, który zagulgotał w szoku. Z rany popłynęła wąska strużka parującej, czarnej krwi, a potem rozcięcie się zamknęło, wypychając ostrze.

Kaerion krzyknął z wściekłości. Cofnął się, pozwalając Majandrze i Vaxorowi zająć się potworem. Kolejne dwie strzały zabzyczały ze złością, trafiając bestię w pierś. Potwór ryknął i machnął ogonem, zmiatając Majandrę i Vaxora, a potem odwrócił się błyskawicznie do Gerwytha, wycelował w niego pazur i wycharczał pojedyncze, straszliwe słowo. Z łapy bestii wystrzeliła błyskawica zielonej energii. Kaerion zobaczył że Gerwyth próbuje odskoczyć, ale było za późno. Wokół tropiciela zamknęła się zielonkawa sfera mocy, unieruchamiając go w miejscu.

- Łap! - krzyknęła Majandra, rzucając wojownikowi swój miecz. - Muszę pomóc Vaxorowi! - dodała, wskazując leżącego na ziemi, próbującego się podnieść kapłana.

Kaerion sięgnął w dół i chwycił broń. Zauważył jeszcze srebrzystą poświatę otaczającą ostrze, zanim musiał zrobić unik przed ciosem pazurzastej łapy.

Czas wydawał się zwolnić. Kaerion starł się z bestią, a jego świat zawęził się do szczęki broni i szponów. Dopiero kiedy potwór rzucił się na niego z wyciągniętymi łapami, wojownik dostrzegł szansę. Uchylając się, pozwolił, by rozpęd pchnął go do przodu i trochę na lewo od stwora. Wtedy

zaklął, zakreślił się i z całych sił ciął gruby, mięsisty ogon.

Bestia szarpnęła się, kiedy zakłęte ostrze odrąbało sporą jego część. Kaerion próbował wykorzystać osłabienie potwora, ale miecz wbił się zbyt głęboko w deski podłogi. Nie mógł go uwolnić.

Kolczasty stwór otrząsnął się po krótkiej chwili, a Kaerion musiał pospiesznie zasłonić się tarczą. Jedna ze szponiastych łap rozorała mu ramię, odsłaniając mięśnie i ścięgna. Druga wytrąciła z rąk wojownika tarczę, a potem złapała go wpół.

Oszołomiony utratą krwi i zmęczeniem, Kaerion nie mógł zebrać sił, by się wyrwać. Stwór zachichotał chrapliwie, przy- ciągając go do swej kolczastej piersi. Wojownik wiedział, że nie przeżyje, jeśli pozwoli się nadziać.

W tym momencie usłyszał głos Vaxora, niski i napięty, intonujący coś głośno ponad zgiełkiem walki i krzykami prze- rażonych ludzi. Za stworem pojawił się okrąg białego światła, koło, z każdą chwilą większe i jaśniejsze. Bestia musiała je zauważyć, bo przestała szarpać Kaeriona i obejrzała się.

Krąg płonął jasno niczym miniaturowe słońce. Stwór z piskiem rzucił wojownika na ziemię i zaczął uciekać.

Kaerion rozejrzał się i zobaczył Vaxora, poobijanego i zakrwawionego, który trzyma nad głową odcięty fragment ogona bestii. Drugą ręką kleryk kreślił w powietrzu święte symbole, żarzące się nieziemską mocą.

Nagle krąg światła zawirował i rozszerzył się niczym tęczęwka ludzkiego oka. Do sali runęła moc, rozżarzona do białości i namacalna. Kaerion niemal załkał, czując znajomą obecność. Vaxor przyzwał potęgę Heironeusa, a bóg mu odpowiedział.

Wojownik bez namysłu padł na kolana. Od czasu swej zdrady nigdy nie był tak blisko mocy boga, któremu kiedyś służył. Jego obecność była jak nóż otwierający na poły zaleczoną ranę. Kaerion poczuł tępy ból straty.

Stwór za to wrzasnął przeraźliwie, kiedy z kręgu wystrzeliły w jego stronę macki białej energii, wciągając go do środka. Zaszamotał się słabo, spętany boską potęgą, a Kaerion patrzył zafascynowany, jak bestia wpada w rozwarcie rzeczywistości i znika z przepelnionym skargą wyciem.

Pulsujący krąg unosił się jeszcze przez chwilę. Salę wypełnił huk gromu, a wszyscy, którzy jeszcze żyli, rzucili się na ziemię, osłaniając głowy. Kaerion spojrzał na Vaxora i po wyrazie oddania na jego twarzy domyślił się, że fenomen ten nie miał nic wspólnego ze zwykłym zjawiskiem atmosferycznym. Było dla niego jasne, że Heironeus przemówił; przemówił słowami, które usłyszeć mogli tylko jego wierni.

Krąg zamknął się i zniknął, a w sali zapanowała głucha cisza. Kaerion zobaczył, że Vaxor pada

na kolana. Nie wiedział, czy wyczerpany ranami, czy religijnym uniesieniem. Ciężko dysząc, podniósł miecz Majandry i ruszył do Gerwytha, wciąż unieruchomionego na półpiętrze schodów.

Zanim zdążył mu w jakikolwiek sposób pomóc, cały budynek zadygotał od wybuchu gdzieś na piętrze. Kaerion obrócił się i zobaczył Majandrę, pomagającą wstać kapłanowi Bardka spojrziała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Phathas! - krzyknęła. - Jest na górze!

- Vaxorze, zajmij się Gerwythem. Majandra i ja idziemy na piętro. Dołącz do nas, kiedy będziesz mógł.

W gorączce walki głos Kaeriona nabrał rozkazującego tonu, niosąc się nad przerażonymi krzykami ludzi. W pośpiechu wojownik nie zauważył zdziwionego wyrazu twarzy Vaxora, który ruszył na pomoc uwięzionemu elfowi.

Kaerion pobiegł w górę schodów, słysząc za sobą ciężki oddech Majandry. Kilka chwil później wpadli do swoich komnat, w sam środek chaosu. Wszędzie leżały połamane i poprzewracane stoły i krzesła, ktoś pozrywał gobeliny. Cała jedna ściana zniknęła, zamieniona w poczerniałe rumowisko belek i drzazg. Po komnacie hulał zimny wiatr, który unosił popioły i rozdmuchiwał płomienie trawiące dywan i liżące drewniany sufit.

Phathas opierał się słabo o framugę drzwi, otoczony nimbem czerwonej poświaty. Atakowały go trzy postacie, tnąc i dźgając krótkimi mieczami lśniącymi mistycznym blaskiem. Ostrza odbijały się od czerwonej sfery, ale Kaerion od razu zobaczył, że mag słabnie. Mężczyzna jedną dłoń zaciskał na okutej srebrem drewnianej lasce, drugą chwycił się futryny.

Kawałek dalej stała jeszcze jedna postać, dokładnie naprzeciwko czarodzieja. Z miejsca, w którym stał, Kaerion zobaczył twarz kobiety, równie piękną, co okrutną. Chłodne rysy stężyły w koncentracji, a smukłe ciało kołysało się w niesłyszalnym rytmie. Z lśniących bransolet strzelały pasma srebra. Kobieta uniosła ręce do góry, a między jej dłońmi zaczęła się formować kula trzaskającej wyładowaniami energii. Kaerion nie miał wątpliwości, że wymierzona zostanie ona w słabnącego maga.

W tym momencie usłyszał, że Majandra wykrzykuje jakieś niezrozumiałe słowo. Nad jego ramieniem przemknęły trzy niebieskawe wyładowania, które trafiły gestykulującą czarodziejkę. Kobieta wrzasnęła i szarpnęła się, kiedy pociski rozbryznęły się o jej ciało. Kula energii zniknęła, a nieznajoma z nienawiścią w oczach odwróciła się do Majandry.

- Kaerion, uważaj! - krzyknął jakiś męski głos.

Wojownik obrócił się i dostrzegł Bredetha, broniącego się przed dwoma postaciami w płaszczach. Wtedy z boku skoczył na niego jakiś cień. Kaerion odparł atak tarczą i niemal roztargnionym ruchem nadział przeciwnika pod zebro.

Uwolnił ostrze i pobiegł do Phathasa, którego czar zaczynał zniknąć. Z krzykiem wymierzył

kopnięcie, trafiając jednego z napastników w kolano. Mężczyzna wrzasnął i runął na podłogę. Nie zatrzymując się, Kaerion przeszył mieczem drugiego, uważając, by nie potknąć się o któreś z leżących na podłodze ciał i nie zaplątać w szczątki.

Trzeci zabójca odwrócił się od maga i cisnął w Kaeriona trzy srebrne dyski. Wojownik odbił jeden tarczą, dwa pozostałe wbiły się boleśnie w jego bark i ramię.

Kaerion chrząknął, kiedy mężczyzna wyciągnął krótki miecz i ruszył do ataku. Nie mógł wyrwać dysków, więc każda próba obrony wbijała je głębiej w jego ciało. Zmęczenie sprawiło, że miecz w jego dłoni zdawał się ważyć tyle, co pełna zbroja, unosił go jednak raz za razem i odbijał ciosy zabójcy. Dopiero kiedy nie udało mu się zablokować tarczą prostego pchnięcia, zaczął podejrzewać, że został otruty. Jego członki przestawały reagować z normalną szybkością, czuł się jak zanurzony w wodzie. Poczul narastającą rozpacz, wiedział bowiem, że długo już nie wytrzyma. Podniósł miecz i zdradziecko ciął przeciwnika z boku. Kiedy ten uniósł miecz, by zablokować cios, Kaerion obrócił się i wyrzucił go tarczą w głowę. Ogłuszony mężczyzna nie był w stanie odbić pchnięcia. Ostrze miecza Kaeriona wbiło się głęboko w jego pierś, a zabójca z wilgotnym charkotem osunął się na podłogę.

Kaerion szybko rozejrzał się dookoła, wrywając ostre, metalowe dyski z ramienia i barku. Uwolniony od napastników Phathas stanął pewnie i ciskał teraz czar za czarem w odzianą w skóry czarodziejkę. Wojownik patrzył na niego przez chwilę, podziwiając szybkość i grację ruchów starego maga. Krwawiąca i poobijana czarodziejka zasłoniła się własną magiczną tarczą, a ta iskrzyła i migotała pod naporem czarów Phathasa.

Bredeth z okrzykiem wykończył ostatniego przeciwnika i razem z Majandrą ruszył powoli do przodu. Oboje chcieli zabić przypartą do muru nieznajomą. Dla wyćwiczonego oka Kaeriona bitwa wydawała się już skończona.

Jego uwagę przykuł jakiś dziwny dźwięk. Mężczyzna obejrzał się i zajrzał do ciemnej komnaty Phathasa. Dźwięk rozległ się po raz drugi i Kaerion dostrzegł między cieniami ciemniejszą plamę - skuloną w mroku postać.

- Obcy! - krzyknął i pobiegł najszybciej, jak pozwalały mu na to ociężałe kończyny, do komnat maga.

Umieśniona, przeszukująca zwoje czarodzieja ciemnoskóra postać, spojrzała na niego z nieskrywanym zaskoczeniem. Kaerion uniósł tarczę, spodziewając się ataku, złodziej jednak chwycił garść papierów ze stołu i skoczył do otwartego okna po lewej.

Kaerion pobiegł za nim i ze zdumieniem zobaczył, jak nieznajomy płynnie zeskakuje na ulicę. Nie tracąc czasu, wojownik wybiegł z komnaty, chcąc go ścigać.

- Gdzie czarodziejka? - spytał w przelocie Majandrę prowadzącą zranionego Phathasa do jedyne go ocalałego krzesła.

- Uciekła - odparła bardka. - Przeszła przez portal i zniknęła.

- Biegnę za nimi - zawołał już zza drzwi. - Jak skończysz tutaj, weź Bredetha i sprawdźcie okolicę!

Nie czekając na odpowiedź, zbiegł na dół, przeskakując po dwa stopnie na raz. Przebiegając przez główną salę, dostrzegł Vaxora i Gerwytha. Elf nie był już unieruchomiony, ale wyglądał, jakby potrzebował kilku minut, by dojść do siebie. - Mieliliśmy gości - powiedział Kaerion. - Uciekli, a teraz ja chcę ich odwiedzić. Biegnijcie za mną, kiedy będziecie mogli.

Wybiegł przez główne wejście i rozejrzał się dookoła. Rześkie, nocne powietrze zmywało miedziany zapach krwi i poszarpanego ciała, ale Kaerion nie miał czasu, by się tym cieszyć. Spojrzał w obie strony ulicy, biegnącej równoległe do gospody, mając nadzieję zobaczyć coś, co powie mu, w którą stronę uciekł złodziej.

Tak bardzo skupił się na wypatrywaniu wrogów, że niewiele brakowało, a nie zauważyłby postaci w szkarłatnym płaszczu, wynurzającej się z mroku zaułka. Kaerion zatrzymał się i przyjrzał idącemu bezgłośnie po bruku nieznanemu. Poczul dreszcz niepokoju, kiedy mężczyzna stanął i powoli zdjął płaszcz. Każdy jego ruch wydawał się zamierzony i był pełen wdzięku. Kaerionowi przypomniła się pantera, którą kiedyś widział z ojcem na polowaniu.

Przyjrzał się dokładnie przeciwnikowi, bowiem mężczyzna najwyraźniej zamierzał go powstrzymać. Nieznajomy pod płaszczem nie miał koszuli. W słabym świetle księżyca Kaerion dostrzegł żylaste mięśnie na jego piersi, ramionach i brzuchu.

Obcy nie miał broni w rękach, nie wydawał się też mieć jej gdzieś ukrytej, a mimo to patrzył spokojnie na metrowe ostrze w dłoni Kaeriona. Jego luźne, szkarłatne spodnie falowały miękko przy każdym ruchu, przytrzymywane żółtą szarfą owiniętą dwa razy wokół pasa i zawiązaną misternie z boku. Nieznajomy nie nosił butów ani sandałów. Mimo zimy zrogowaciałe stopy miał bosc.

Kaerion ze zdumieniem patrzył, jak mężczyzna przykłada lewą dłoń pionowo do piersi i kłania się nisko. Wojownik ostrożnie podniósł w salucie miecz.

Skoczył do tyłu, kiedy nieznajomy w mgnieniu oka przebył dzielący ich dystans i trafił go kantem dłoni w bark. Kaerion chrząknął i próbował zasłonić się tarczą. Jego przeciwnik był jednak szybszy. Zawirował na jednej nodze i kopnął go mocno w twarz.

W głowie Kaeriona eksplodował ból, wojownik się zachwiał. Mężczyzna wymierzył drugi cios, tym razem w gardło, i Kaerion poczuł, że cały drętwieje, rozpaczliwie próbując złapać oddech.

Obcy wykrzywił tylko swą dziobatą twarz w upiornym uśmiechu i zaczekał, aż wojownik dojdzie do siebie. Kaerion wykorzystał tę chwilę, by na nowo ocenić przeciwnika. Chociaż w żyłach wciąż miał truciznę spowalniającą jego refleks a rany sprawiały, że szybko tracił siły, nie sądził, by był w stanie dorównać przeciwnikowi szybkością nawet wypoczęty. Dziobaty był szybki

jak piorun.

Ale przeciwnika można pokonać na wiele sposobów, pomyślał Kaerion, rzucając się na uśmiechniętego nieznajomego. Krwawił z ran, ale razem z krwią wypływała z niego trucizna i zaczynał odzyskiwać władzę nad ciałem. Jego miecz świsnął w powietrzu, zmierzając ku brzuchowi dziobatego. Uśmiech zniknął z twarzy mężczyzny, który musiał odskoczyć w tył.

Kaerion naparł na niego najszybciej, jak mógł, nie chcąc pozwolić, by tamten zdążył odzyskać równowagę. Kolejne cięcie wyprułoby dziobatemu wnętrzności, gdyby nie ocaliła go znów jego zręczność. Zamiast śmiertelnego ciosu Kaerion skaleczył go tylko w biodro.

Nacierając, zauważył jednak z satysfakcją, że jego przeciwnik się cofa. Niedługo będzie zepchnięty do zaułka. Nie mając dość miejsca, nie będzie mógł uchylać się przed śmiertelnymi ciosami miecza.

Jeszcze chwila, pomyślał Kaerion, tnąc raz za razem i spychając przeciwnika w tył.

Teraz!

Kaerion uniósł broń, zamierzając rozpołować dziobatego...

I przeszył powietrze.

Mnich wbiegł na ścianę i skoczył z niej w jego stronę, zasypując go gradem kopnięć. Każde z nich wstrząsało już i tak poobijanym ciałem Kaeriona, a ostatnie trafiło go w pierś i wyrzuciło z zaułka.

Zaczął się niezgrabnie podnosić z ziemi, ale czuł nad sobą gotowego zadać śmiertelny cios przeciwnika. Kaerion wiedział, że jest już u kresu sił.

Noc przeciął brzęk cięciwy, a po nim syk lecącej strzały. Jego przeciwnik spojrzał ze złością w stronę, z której dobiegał dźwięk, a Kaerion z niedowierzaniem zobaczył, że ręce dziobatego szybciej niż nadaża wzrok, odbijają pocisk. W ślad za pierwszą strzałą z wizgiem nadleciały dwie następne i Kaerion zrozumiał, że nadszedł Gerwyth. Mężczyzna odbił również te strzały, trzecia jednak trafiła go w bark. Chrząknął z bólu.

W oddali rozległy się nawoływania biegnących w stronę gospody strażników. Dziobaty musiał je usłyszeć, bo skoczył do zaułka, chroniąc się przed strzałami.

- To jeszcze nie koniec! - warknął ochryłym głosem, złożył dłonie i zaczął coś recytować. Powietrze wokół niego zadrżało. Zerknął jeszcze raz na powalonego wojownika i wstąpił w drżące cienie, znikając, jakby przeszedł przez niewidzialne drzwi.

Kaerion jęknął i z wysiłkiem podniósł się na nogi. Kiedy wbiegł do zaułka przekonał się, że jego przeciwnika już tam nie ma.

* * *

Kiedy górne piętro *Platynowej Tarczy* eksplodowało płomieniami, Durgoth domyślił się, że jego ludzie natknęli się na jakieś trudności. Nie wiedział, jak poważne, dopóki nie zobaczył uciekających z gospody Sydry i Eltanela. Na chwilę ośwładnęła nim wściekłość. Miał ochotę zabić ich oboje na miejscu.

Na szczęście chwila ta minęła. Durgoth wiedział, że później będzie mógł ich ukarać za niepowodzenie. Teraz martwił się siłą tych, którzy tak samo jak on szukali grobowca Acereraka. Sprawnie poradzi sobie z przyzwanym przez niego potworem. Obecność innego boga mocno nim wstrząsnęła.

Był zszokowany wiarą i mocą kogoś, kto dysponował taką świętą potęgą. To nie była zbieranina poszukiwaczy przygód. Zaskoczeni i nieprzygotowani zdołali odeprzeć starannie zaplanowany atak.

Być może, pomyślał Durgoth, można wykorzysta ich siłę. W jego umyśle zaczęły pojawiać się różne możliwości - plany i intrygi równie spaczne, jak człowiek, który je knuł.

Jego uwagę przykuły odgłosy walki. Wyjrzał z ciemnego zaułka, w którym się ukrywał i z uśmiechem zadowolenia dostrzegł Jhagrena pojedynkującego się z jakimś potężnym typem z mieczem. Przynajmniej, pomyślał z satysfakcją, mógł jeszcze liczyć na mnicha. Chociaż jego przeciwnik wyglądał groźnie, krwawił z kilku głębokich ran i było oczywiste, że nie może się z Jhagrenem równać.

Durgoth przez chwilę jeszcze przyglądał się walce. Poczł rozczarowanie, kiedy niedaleko rozległy się gwizdki i nawoływania miejskich strażników. Obecność elfiego łuczника sprawiła, że starcie właśnie zrobiło się interesujące.

- Och, cóż - szepnął sam do siebie. - Niedługo znów się spotkamy. Bardzo niedługo.

Zniknął w ciemności zaułka.



- Szkarłatne Bractwo... tutaj? - Bredeth prawie krzyczał.

Majandra skrzywiła się, słysząc jego ton, ale udało jej się szybko odzyskać obojętny wyraz twarzy. Było jasne, że nocne wydarzenia wstrząsnęły młodym szlachcicem, a ona nie chciała jeszcze bardziej wyprowadzać go z równowagi. Na jego jasnej cerze wyraźnie odznaczały się ciemne sińce, a oba ramiona miał pokaleczone.

Wbrew sobie półelfka była pod wrażeniem tego, jak młody wojownik spisał się w walce. Może, pomyślała, nie będzie w podróży tylko obciążeniem.

- Jak ci przekłęci zabójcy dowiedzieli się o naszych planach? - spytał już trochę ciszej szlachcic.

- I dlaczego tak się nami zainteresowali?

- Bractwo ma oczy i uszy we wszystkich większych miastach - odparł Phathas z fotela w kącie pomieszczenia - a my nie robiliśmy tajemnicy z naszej wyprawy. Możliwe, że postąpiliśmy lekkomyślnie. Co do ich zainteresowania... cóż, przypuszczam, że zjednoczony i zdrowy Nyron byłby poważną przeszkodą dla ich podstępnych intryg.

Majandra przysłuchiwała się słowom starego czarodzieja, starając się zachować pozory uwagi, jednak jej myśli przesłoniła troska o nauczyciela. Mimo leczniczych modlitw Vaxora mag miał pod oczami ciemne worki, a jego twarz zdawała się kurczyć. W blasku ognia wyglądał jak upiór - czaszka obciążnięta zeschniętą skórą.

Walka z napastnikami wyczerpała ich wszystkich, ale zdrowie maga wydawała się nadszarpnąć w największym stopniu. Vaxor zajął się strażnikami miejskimi i rozhisteryzowanym właścicielem gospody. Nawet zaprowadziwszy zmęczonych towarzyszy do zabezpieczonych czarami komnat Królewskiego Uniwersytetu, Phathas zachowywał dziwne milczenie, jakby przygięty ciężarem, o którym wiedział tylko on sam. Teraz, siedząc za stosunkowo bezpiecznymi murami uczelni, bardka patrzyła z niepokojem, jak brzemień to coraz bardziej nadwątlą siły jej ukochanego nauczyciela.

- Coś mi tu nie pasuje - przerwał Gerwyth, wychodząc z zasnutego cieniem kąta. Jego śpiewny akcent przykuł uwagę Majandry, odrywając ją od ponurych rozmyślań. Z zaskoczeniem przekonała się, że mimo całego zajścia elf wygląda na nieporuszonego. Choć zrzucił swój płaszcz i otwarcie nosił nabijaną guzami, skórzaną zbroję, nie wywołałby żadnych komentarzy nawet na bankiecie,

taki bowiem efekt wywierały fale jego złotych włosów i nieziemskie piękno, jakie roztaczał. Oczy Gerwytha odbijały złoty blask ognia, lśniąc w półmroku jak dwa szmaragdy i gdyby nie jego ponuro zaciśnięte zęby, nikt by się nie domyślił, że tropiciel dwie godziny wcześniej brał udział w zażartej walce.

- Mimo faktu, że atak był zaplanowany - ciągnął, kiedy Phathas skinął mu przyzwalająco głową - nie wyglądało to na robotę Bractwa. To było... za proste, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- Zgadzam się - odezwał się niskim głosem Vaxor i spojrzał na Kaeriona, wpatzonego w zamyśleniu w ogień. - Jesteś pewien, że potykałeś się z członkiem Szkarłatnego Bractwa? Może to był ktoś inny? Inne ugrupowanie, próbujące zepchnąć odpowiedzialność na Bractwo?

Plomienie strzelały i syczały w palenisku przez kilka długich chwil, zanim wojownik odpowiedział. Majandra słuchała z wielkim zainteresowaniem. W przeciwieństwie do pozostałych Kaerion nie przyjął leczniczych modlitw Vaxora. Napił się tylko kilka łyków czegoś przezroczystego z odpieczętowanej butelki, opatrzył sobie rany i zniknął. Nie licząc sprawozdania z wydarzeń, odkąd wstąpił w mury uniwersytetu prawie się nie odzywał.

- Nie - odparł spokojnym tonem. - Jestem pewien, że to był ktoś z Bractwa. Mam sińce na dowód.

Powiedział to ze smutnym uśmiechem, jednym z niewielu, jakie Majandra u niego widziała. Efekt był niesamowity - i to pomimo głębokich otarć i skaleczeń na twarzy wojownika - i półelfka zaczęła wyobrażać sobie, co mogłaby zrobić, żeby znów się tak uśmiechnął.

- W takim razie, jeśli to Szkarłatne Bractwo stoi za atakiem, co robimy? - spytał Bredeth.

Młody szlachcic krążył niespokojnie po komnacie; z każdego jego ruchu biło zaniepokojenie. Spojrzenia wszystkich zwróciły się ku Phathasowi, ale to Vaxor odpowiedział.

- Najpierw odpoczniemy. Jesteśmy na nogach prawie całą dobę, a mamy dużo do zrobienia w nadchodzących godzinach. Dzisiejsze wydarzenia dowodzą, że w mieście nie jesteśmy już bezpieczni. Musimy przyspieszyć nasze plany. Bredecie, ty i Majandra skontaktujecie się z przewodnikami karawan, kiedy trochę się prześpicie. Powiecie im, żeby szykowali się do wyruszenia jutro rano. Phathas, Gerwyth, Kaerion i ja dopilnujemy, żeby wszystkie nasze zapasy i zaopatrzenie były gotowe do załadunku na wozy. Zgoda?

Majandra wraz z pozostałymi kiwnęła ze zmęczeniem głową. Do głosu zaczynały dochodzić brak snu i zmęczenie. Bardka uśmiechnęła się kwaśno, wyobrażając sobie reakcję przewodników, którzy będą bez wątpienia jęczeć i płakać, dopóki nie dostaną więcej złota. To jednak musiało zaczekać, dopóki ona sama nie prześpi się choć kilka godzin.

Tłumiąc ziewnięcie, minęła Phathasa, lekko ściskając go za ramię. Mag odpowiedział jej zmęczonym uśmiechem. Mimo to zaczęła się zastanawiać, nie po raz pierwszy, czy czarodziej ma dość sił, by dotrzeć do kresu podróży.

Ile będzie nas ta wyprawa kosztować?

* * *

- To niewybaczalne! - krzyczał Durgoth w słabo oświetlonej komnacie, zauważając z satysfakcją, że wśród twarzy, które drgnęły na dźwięk jego głosu, były dwie należące do członków złodziejskiej gildii. Tak naprawdę nie był już zły. Gniew dawno ustąpił miejsca pragmatycznemu wyrachowaniu, mimo to kapłan wciąż gromił zebranych kultystów i ich nowych sprzymierzeńców ognistym spojrzeniem. Strach był użytecznym narzędziem, a on posługiwał się nim po mistrzowsku.

- Ależ panie - odezwała się niepewnie Sydra - nasi przeciwnicy byli potężni. Rzadko kiedy napotykałam na taką moc jak w starciu ze starym magiem. Był wyjątkowo uzdolniony - nawet jak na mistrza.

Durgoth wysłuchał żalonych usprawiedliwień czarodziejki z niewzruszonym wyrazem twarzy. Fakt, że zwróciła się do niego jak do szlachcica, bardzo go ubawił, ale musiała zrozumieć to, co pozostali już wiedzieli - Durgoth nie toleruje porażek.

- Odniosłem wrażenie - powiedział, tnąc głosem jak biczem — że mistrz gildii oddał pod moje rozkazy swoich najlepszych ludzi. Najwyraźniej się myliłem.

- Niezupełnie, błogosławiony - odezwał się jakiś głos z cienia.

Durgoth dopiero po chwili wypatrzył sylwetkę owiniętego w czarny płaszcz Eltanela. Złodziej z pewnością siebie przepchnął się do przodu między kultystami, którzy wielkimi oczami przyglądali się człowiekowi nie lękającemu się przeciwstawić ich panu.

Durgoth nie zdołał powstrzymać uśmiechu, widząc ich reakcję. Złodziej wciąż się przepychał. Z każdego jego ruchu biła urażona godność i kapłan zastanawiał się przez chwilę, czy mężczyzna będzie dość głupi, by spróbować go uderzyć. Już miał dać znak golemowi, jak zawsze stojącemu czujnie za jego plecami, ale ciemnoskóry złodziej zatrzymał się kilka kroków przed nim i założył ręce za plecy.

- To co wydarzyło się dziś w nocy, nie poszło dokładnie tak, jak zamierzaliśmy - powiedział Eltanel, rzucając wymowne spojrzenie swojej towarzyszce, która odpowiedziała takim samym - ale nie było całkowitą porażką. - Wyciągnął rękę, w której trzymał kilka cienkich tub ze zwojami. - Udało mi się je ukraść, zanim nasi przyjaciele opanowali piętro.

Złodziej zerknął jeszcze raz na Sydrę i podał zwoje Durgothowi.

Kapłan przyjął je z zimnym uśmiechem. Ten Eltanel był cwany. W kilka chwil odciął się od

porażki, subtelnie zepchnął winę na swoją towarzyszkę i sprawił, że sam wyglądał na jedyne, który cokolwiek zdziałał. Trzeba będzie mu się przyjrzeć.

- Dziękuję ci, Eltanelu, za twe wysiłki. Być może mówiłem zbyt pochopnie. Wygląda na to, że Reynard miał częściowo rację w swej ocenie. - Durgoth zobaczył, że złote oczy czarodziejki błyskają gniewnie. Proszę, pomyślał z satysfakcją, jednym zdaniem udało mi się pogłębić dystans między złodziejami i upewnić się, że Sydra zrobi wszystko, by udowodnić, że jest lepsza od Eltanela.

Zadowolony odwrócił się do pozostałych.

- To prawda, że nasz wróg posiada wielką siłę - powiedział, podnosząc głos tak, by było go słychać w całej komnacie. - Ale mądry potrafi wykorzystać potęgę wroga z korzyścią dla siebie. To właśnie zrobimy. Posiadając informacje, które dziś zdobyliśmy... - tu spojrzał łaskawie na Eltanela -... będziemy mogli dokładniej określić, dokąd wyruszają nasi nieprzyjaciele.

- A co z przepowiednią? - zawołał ktoś ze środka grupy kultystów, wywołując zgodny pomruk.

- To przepowiednia nas tu przywiodła - warknął Durgoth. Zapamiętał wołającego i zanotował sobie, by kazać mu wyrwać język za jego bezczelność. - Wierzę w wolę Tharizduna, a to ona nas tu przyprowadziła.

Z satysfakcją potoczył wzrokiem po zebranych. Imię Uwięzionego doprowadziło ich do porządku. W ich oczach widział blask wiary. Bez pytania pójdą za nim.

- Nasi wrogowie szukają grobowca Acereraka, tak jak my. Podróż na pewno obfitować będzie w wiele niebezpieczeństw, a my pozwolimy, by nasi nieprzyjaciele wykrwawili się, stawiając im czoła. Zaprowadzą nas do grobowca a kiedy staną zmęczeni u jego wrót, złożymy ich w ofierze, zaspokajając głód naszego boga. Kiedy zostaną pokonani, będziemy mogli zdobyć klucz i uwolnić Tharizduna z jego wiecznego więzienia!

Ostatnie słowa wykrzyczał tryumfalnie, unosząc ręce do góry w geście błogosławieństwa. Kultysty natychmiast zareagowali, recytując osiem mrocznych imion Tharizduna. Durgoth powoli opuścił dłonie, a wierni padli na kolana, oddając cześć mrocznemu bogu.

Eltanel i Sydra wyszli z komnaty, bez wątplenia zamierzając złożyć raport mistrzowi gildii. Było ważne, by Reynard wiedział, z kim zawarł układ. Durgoth będzie wtedy czuł o wiele większą satysfakcję, niszcząc miasto - wraz z szumowinami, które zasiedlały jego mroki - w imię Tharizduna.

Kapłan uśmiechnął się na tę myśl i zamknął oczy. Modły wiernych omywały go niczym fale.

Wszystko toczyło się doskonale.

Część 2

„Ciemność niech będzie twą diecezją,
noc twym ministerstwem... ”

- *Księga dziewięciu cieni*



Nad rozległymi stepami Nyrondu niczym całun wisały szare chmury, okrywając zimnym cieniem pełznącej nierówną drogą szereg wozów i koni. Z nieba padał zacinający na nieprzyjemnym wietrze mokry śnieg z deszczem. Nawet gruboskórne woły, zazwyczaj tępe i spokojne, pochylały łby i protestowały niskim rykiem.

Kaerion owinał się ciasniej zimowym płaszczem, na próżno starając się osłonić przed igielkami lodu boleśnie kłującymi odkrytą skórę. Ze zmierzwionych włosów spływała mu woda i skapywała z przemarzniętego nosa i brody. Mamrocząc gniewnie, otarł twarz ręką, nie mógł jednak powstrzymać wciekających pod kolczugę kropel. Zadrzał i ściągnął wodze wierzchowca, potężnego ogiera, który szarpnął się pod nim, najwyraźniej wyczuwając niepokój jeźdźca.

Wyprawa rozpoczęła się nieciekawie, pomyślał Kaerion i roztargnionym ruchem pomacał juki, sprawdzając zabrane ze sobą bukłaki wina. Grupa zerwała się z łóżek grubo przed świtem, by dotrzeć z uniwersytetu do kwater karawan w dzielnicy handlowej. Większość poranka spędzili sprawdzając jeszcze raz zapasy i dogadując się z agentami przewodnika, którzy próbowali wcisnąć im jeszcze kilka rzeczy za podwójną cenę.

Opuścili Rel Mord, kiedy tylko otworzono bramy, choć pogoda ukazała im swe nieprzyjazne oblicze dopiero przed południem. Teraz wlekli się przed siebie, na sześciu wozach wioząc żywność, ubrania, zapasowe drewno i gwoździe do napraw, oskardy, łopaty i inny sprzęt wydobywczy, puste kufry na skarb Acereraka i wszystko, co mogło się przydać do takiego przedsięwzięcia.

Wyprawie towarzyszył tuzin woźniców i tyłu samo strażników, przeklinających i dogryzających sobie nawzajem. Kaerion przyjrzał się im z zainteresowaniem. Choć większość wojowników wyglądała na typowych najemników, ich kapitan kobieta o stalowym spojrzeniu i w nieokreślonym wieku poruszała się z gracją i pewnością doświadczonego wojaka. Kaerion patrzył, jak Landra - tak bowiem się nazywała - wyszczekuje rozkazy, rozstawiając strażników w szyku. Już po chwili było jasne, że język miała tak samo ostry jak poczucie humoru i Kaerion zanotował sobie w pamięci, by dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Przyjemnie zaskoczył go fakt, że spośród biorących udział w wyprawie szlachciców tylko Phathas podróżował wozem. Wciąż lecząc rany odniesione w starciu w *Platynowej Tarczy*, stary

mag początkowo upierał się, by jechać tak jak pozostali konno i ustąpił dopiero, kiedy Vaxor zagroził mu użyciem siły.

Choć ryzyko ataku tak blisko stolicy Nyrondu było niewielkie, niedawne starcie sprawiło, że wszyscy nabrali podwójnej ostrożności. Nie chcieli pozostawiać niczego przypadkowi. Postanowiono więc, że Gerwyth będzie jechał przodem, wypatrując niebezpieczeństw, a Kaerion i kilku strażników zostaną z tyłu, by powstrzymać ewentualny pościg. Vaxor, Bredeth i Majandra osłaniali wraz z resztą najemników boki karawany. Od opuszczenia Rei Mord do następnej większej osady dzieliło ich kilka tygodni, a taka odległość mogła nieść ze sobą zagrożenia większe niż zwykli zbójcy.

Nad równiną zawył wicher. Kaerion zadygotał, kiedy zimne palce wiatru zatargały jego płaszczem. Zaklął i jeszcze raz dokładnie się opatulił. Nie wiedział, czy przeżyje nadchodzące tygodnie i miesiące. Pogoda i podejrzone milczenie Vaxora sprawiały, że nie potrafił powiedzieć, jak długo wytrzyma.

Starannie unikał heironeusejskiego kapłana od nocy, kiedy nastąpił atak, i było jasne, że Vaxor robi to samo. Kaerion myślał, że kapłan odkrył jego tajemnicę i od tamtej pory nie mógł zasnąć. Podzielił się swoimi podejrzeniami z Gerwythem, lecz elf od razu go zbył. Jeśli to wszystko, co Kaerion opowiadał o kościele Heironeusa, było prawdą, powiedział, Vaxorowi honor nie pozwoliłby zaproponować pomocy, pocieszenia ani wsparcia. Kapłan nie zgodziłby się też, by Kaerion dalej brał udział w ekspedycji. Były to logiczne argumenty, wojownik jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że milczenie Vaxora oznacza potępienie. Ciągłe napięcie i niemal dwie doby bez snu zaczynały odciskać na nim swe piętno. Głowa już go bolała z pragnienia wina, a miało być jeszcze gorzej. Bezsenność przynajmniej nie dopuszczała do niego koszmarów.

Po południu deszcz ze śniegiem zelżał, a wicher chwilowo ucichł. Kaerion westchnął i rozejrzał się. W oddali, niczym skulony olbrzym wciąż majaczyło Rei Mord. Z zaskoczeniem spostrzegł jednak, że mimo fatalnej pogody wyprawa przebyła sporą odległość. Około mili przed sobą zobaczył czarną linię wozów. Z tej odległości wyglądały jak behemoty z Morza Aerdyjskiego, wijące się w odmęcie traw. Krajobraz psuły łąty śniegu, a Kaerion przypominał sobie spienione grzywacze burzliwych wód, nad którymi spędził dzieciństwo.

Zatrzymał konia i wstał w strzemionach, rozprostowując zmęczone nogi. Kilku najemników jadących razem z nim zsiadło z wierzchowców i prowadziło je za uzdy. Mimo spokojnej pogody Kaerion nie mógł pozbyć się chłodu, który czuł od chwili opuszczenia miasta. Z drżącymi rękami przyglądał się jadącej wolno w oddali karawanie, nie wiedząc, czy dygocze z zimna, czy z nagłego pragnienia.

Zeskoczył zgrabnie z siodła i rozwiązał juki. Wyciągnął z nich bukłak pełen słodkiego, nyrondzkiego wina i szybko się napił. Schłodzony trunek wypełnił mu usta cierpkim posmakiem, a

Kaerion chciwie przełknął.

- Trochę za wcześnie na świętowanie, nie sądzisz?

Wojownik prawie się udławił, słysząc ostry ton głosu. Kasz-
ląc, otarł usta przedramieniem i odwrócił się do mówiącego.

Majandra stała, uśmiechając się, obok swojego smukłego wierzchowca, płowej klaczy o wspaniałej grzywie. Miała na sobie gruby, zielony płaszcz, spięty pod szyją złotą klamrą w kształcie harfy. Przed zimnem chronił ją wełniany dublet.

Jeździeckie, skórzane spodnie miała wytarte, ale dobrej jakości, podobnie jak wysokie buty.

Potrząsnęła głową widząc zmieszanie Kaeriona, a wojownik zauważył, że jej splecione w ciasne warkocze ogniście rude włosy otaczają głowę półelfki niczym obręcz z brązu.

- To nie świętowanie, Majandro — powiedział, wskazując odkorkowany bukłak. - To balsam na tę przeklętą pogodę. Alchemicy i czarodzieje nie są jedynymi, którzy warzą magię.

Bardka roześmiała się i sięgnęła po wino.

- A więc może podzielisz się ze mną tym eliksirem. Palce mam tak zlodowaciałe, że chyba by popękały, gdybym dotknęła strun harfy.

Kaerion podał jej bukłak i patrzył zafascynowany, jak półelfka pociąga z niego kilka głębokich łyków, a potem zupełnie niestosownie ociera usta rękawem.

- O co chodzi, Kaerionie? - spytała z uśmiechem. - Nigdy wcześniej nie widziałeś pijącej kobiety?

Wojownik potrząsnął głową mając nadzieję, że rumieniec na jego twarzy zostanie uznany za efekt zimna, a nie zakłopotania, jakie czuł. Co ona w sobie miała, że czuł się tak zmieszany w jej towarzystwie?

- Oczywiście, że widziałem - powiedział. - Nie widziałem tylko nigdy córki jednego z najszlachetniejszych rodów Nyrondu pijącej z czegoś, co nie jest zrobione ze złota.

Jeśli Majandra poczuła się urażona jego słowami, nie okazała tego. Uśmiechnęła się tylko rozbijając.

- Cóż - powiedziała, a jej oczy rozbłyły szelmowsko -chyba zapomniałeś, że już razem piliśmy.

Kaerion zeszywniał na wspomnienie katastrofalnego wieczoru w Rel Mord, odprężył się jednak, kiedy bardka prze- wróciła oczami i wybuchnęła śmiechem. Zaczynało mu się podobać jej poczucie humoru, nawet jeśli jego ostrze było wymierzone w niego samego. Możliwe, pomyślał, że ta podróż nie będzie do końca nudna.

Majandra oddała mu bukłak i stali przez chwilę w milczeniu, słuchając wycia wiatru nad równiną. W oddali widać było karawanę, która zatrzymała się na dzisiejszy ostatni popas. Potem wozy miały jechać aż do zmroku.

- Przyjechałam, żeby ci podziękować za pomoc wczoraj w nocy - powiedziała w końcu

Majandra, przerywając ciszę. - Wiem, że uważasz naszą misję za głupotę, ale to cię nie powstrzymało od ryzykowania życiem za Phathasa i nas wszystkich. Bez ciebie i Gerwytha nie dalibyśmy sobie rady z napastnikami.

- Nie musisz mi dziękować - wymamrotał Kaerion. Myśląc o tamtych wydarzeniach, przypominał sobie tylko, że się obudził i ruszył do walki. Reszty dokonał instynkt. Dopiero kiedy zebrali się w ruinach gospody, zdał sobie dokładnie sprawę z tego, co się stało.

- I nie myślę wcale, że wasze plany, że to wszystko... - ciągnął, wskazując wozy w oddali - że to głupota. Chciałem ci to wtedy powiedzieć, ale byłem chyba za bardzo pijany.

Uśmiechnął się smutno i pociągnął łyk wina.

- Wszyscy bardzo kochacie swój kraj i bardzo mocno wierzycie, że słuszność waszej sprawy zostanie nagrodzona.

- Czy to coś złego? - spytała Majandra.

- Nie, chyba nie - odparł po dłuższej chwili. Przysunął się bliżej do półelfki i położył jej rękę na ramieniu. - Ale nie zawsze wszystko idzie tak, jakbyśmy chcieli. Dobro nie zawsze tryumfuje nad złem. A czasami ścieżki, które wydają się najprostsze, przysparzają najwięcej bólu.

Ostatnie słowa powiedział załamującym się głosem, bez powodzenia próbując ukryć swój żal. Puścił ramię Majandry i odwrócił się gwałtownie do swojego konia, poprawiając popręg i strzemiona.

Znów zapadło milczenie, tym razem pełne napięcia. Majandra stanęła po drugiej stronie wierzchowca i pogładziła go po czole.

- Dlaczego odmówiłeś uzdrowienia po walce? - spytała, zmieniając temat.

Kaerion dalej poprawiał siodło, szukając właściwych słów. Mimo wcześniejszej uwagi pamiętał, jak pił piwo z Majandra. Wtedy, w tawernie, prawie wyznał jej swoją winę, ale przeszkodziło mu w tym przeznaczenie. Teraz miał kolejną szansę, ale choć starał się, jak mógł, nie potrafił wydusić z siebie słowa.

- Chyba chciałem oszczędzić boskiej pomocy dla tych, którzy naprawdę jej potrzebowali - powiedział po chwili, natychmiast przeklinając się w myślach za tchórzostwo. Odrzucił propozycję Vaxora, bo bał się tego, co kapłan mógł odkryć. Wypił więc uzdrawiający eliksir, kiedy pozostali deliberowali na uniwersytecie, co robić dalej.

Po wyrazie twarzy Majandry poznał, że mu nie uwierzyła. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, przerwał jej jednak pospiesznie. Nie podobał mu się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa.

- Doceniam twoje podziękowania, Majandro - powiedział, zaciskając szarpnięciem skórzany pasek - ale jak mówiłem, nie były potrzebne. A teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę zobaczyć, co u Gerwytha.

Z tymi słowami wskoczył na siodło i popędził konia. Wierzchowiec pogalopował przed siebie,

rozbryzgując kopytami lód i śnieg.

* * *

Zesztywniała i zła Majandra patrzyła w milczeniu, jak Kaerion odjeżdża. Kiedy jego postać zamieniła się już w niewyraźną plamkę, bardka zakłęła siarczyście tak, że każdy słyszający ją elf doznałby poważnego szoku. Niewiele brakowało, a wyciągnęłaby wojownika zza muru, którym odgradził się od innych, była tego pewna. Jedno niewłaściwe pytanie zapędziło go z powrotem za swoje umocnienia.

Była naprawdę wdzięczna za jego pomoc. Odwaga Kaeriona, jego władanie mieczem i opanowanie odwróciły bieg starcia w *Platynowej Tarczy*. Majandra była pewna, że Phathas podjął słuszną decyzję, wzywając na pomoc starego przyjaciela. Członkowie wyprawy potrzebowali umiejętności Gerwytha i jego tajemniczego towarzysza, jeśli chcieli odnieść sukces. A od tego sukcesu zależy tak wiele, pomyślała, dygocząc z zimna.

Wciąż patrzyła w kierunku, w którym odjechał Kaerion, przygryzając w zamyśleniu wargę. Co gryzło tego człowieka, co zmuszało do trzymania całego świata na dystans? Przygląda mu się uważnie przez ubiegłe dwa tygodnie, mając nadzieję dostrzec jakieś wskazówki. Jedno nie uległo wątpliwości - coś musiało się wydarzyć podczas walki w gospodzie, coś między Kaerionem a Vaxorem. Nie chodziło tylko o to, że wojownik po cichu zniknął, kiedy kapłan zaproponował mu leczenie. Od tamtego wieczora obaj nie zamienili ze sobą więcej niż kilka słów, a Majandra czuła narastające między nimi napięcie.

O cokolwiek chodziło, była pewna, że ma to związek z uwagami Kaeriona o „najprostszej ścieżce”. Coś przydarzyło mu się w przeszłości, coś naprawdę tragicznego, i mimo największych starań jego ból czasem przebijał się przez maskę obojętności. Głębia tego cierpienia zaskoczyła dziś Majandrę, bardziej jednak nie dawała jej spokoju potrzeba zrozumienia tej tajemnicy.

To, co zaczęło się jako instynktowna chęć odkrycia ciekawej historii, zamieniło się w coś większego. Myśląc o tym, Majandra prawie się roześmiała. Co za ironia: ona, bardka i mistrzyni wielu opowieści, legend i sag została uwięziona we własnej. Prawda była taka, przyznała w końcu bezkresnym równinom i gniewnym, szarym chmurom, że Majandra Damar, córka z nieślubnego łoża jednego z najszlachetniejszych domów królestwa, właśnie się zakochiwała.

Dopiero kiedy jej klacz prychnęła z niezadowoleniem, Majandra zauważyła, że znów zaczęło padać.

* * *

Karawana jechała przez stepy kilka następnych dni, chłostana wichrem i zalewana zimnym deszczem. Mimo dobrze zbudowanych ognisk, osłoniętych od wilgoci czarami Phathaga, Kaerion nie mógł się rozgrzać. Każdy kolejny dzień przynosił mu więcej utrapień niż poprzedni. Choć do Szykowania i wiosennej odwilży zostało jeszcze tylko kilka tygodni zima wciąż trzymała cały kraj w swoim uścisku. Po czwartym dniu nieustannej mżawki i gradu Kaerion zaczął tęsknić do dusznych upałów Przepastnego Bagniska.

Nie tylko jemu doskwierała ponura aura. Od chwili opuszczenia przez wyprawę Rel Mord wszyscy podupadli na duchu. Wieczory upływały w milczeniu, członkowie ekspedycji przytulali się do siebie, żeby się ogrzać. Nawet woźnice i strażnicy, klnący do tej pory z właściwym sobie profesjonalizmem, zaczęli naprawdę narzekać. Cierpliwość wszystkich była na wyczerpaniu.

Późnym popołudniem ósmego dnia, podczas paskudnego gradobicia, Kaerion znalazł się w samym sercu ożywionej dyskusji. Gerwyth właśnie wrócił ze swojej szpicy; jego czarna opończa parowała w ciepłe. Około jednej ligi dalej zauważył na drodze szczątki spalonego wozu, przypuszczalnie dzieło bandytów, i zalecał wyprawie, by ustawiła wozy w koło i rozbiła obóz, wykorzystując resztkę światła dziennego, by umocnić swoje pozycje.

- W żadnym wypadku - powiedział Bredeth. - Do wieczora mamy jeszcze sporo czasu i według mnie powinniśmy jechać dalej. Przed nami długa droga i nie możemy tracić czasu. Poza tym nie mamy się czego obawiać ze strony zgrai bandytów. Nie mogą się z nami równać.

Kiepska pogoda wywołała irytującą zmianę w jego nastawieniu. Podniecenie z początku wyprawy sprawiło, że był znośnym, jeśli nie zupełnie sympatycznym towarzyszem podróży. Wydawał się zostawić większą część swojej arogancji w stolicy i często podejmował się różnych zadań bez kapryszania. Trudy drogi jednak przywołały w nim na powrót starego Bredetha i Kaerion musiał zaciskać pięści, żeby nie huknąć go w pysk. Czy to możliwe, że wielu z tych, których kiedyś nazywał swoimi przyjaciółmi, zachowywało się tak samo w stosunku do ludzi stojących niżej?

- Takiś chętny niepotrzebnie rozlewać krew? - spytał Gerwyth, gładząc pysk swojego wierzchowca. Mimo wyjącego wichru i czasem bolesnych uderzeń gradu, tropiciel wydawał się nieporuszony pogodą. - Jeśli zachowamy ostrożność i rozbijemy tu obóz, zmniejszymy szanse, że zostaniemy zaatakowani. Poza tym... - wskazał na woźniców - ... nasi ludzie są zmęczeni. Potrzebują odpoczynku, zwierzęta też. Goniliśmy je ostro w ciężkich warunkach.

Młody szlachcic zjeżył się na te słowa, ale nic nie odpowiedział. Vaxor kiwnął głową. Skrzywił się na wietrze i gestem przyzywał woźnicę odpowiedzialnego za wszystkie wozy.

- Powiedz swoim ludziom, że zatrzymujemy się tutaj. Przekaż Landrze, żeby wystawiła dziś w

nocy podwójne straże - powiedział, po czym odesłał mężczyznę krótkim skinieniem głowy.

Bredeth westchnął i odszedł, najpewniej gotów wyładować swoją wściekłość na jakimś niczego się niespodziewającym strażniku. Kaerion już miał iść za nim, kiedy zauważył Majandrę żartującą z jednym z woźniców. Nie rozmawiał z nią od tamtego dnia i nie wiedział, co ma o tym myśleć. Odkąd przybył do Rei Mord, półelfka zawsze wydawała się dobrym kompanem, zawsze gotowym podzielić się jakąś opowieścią czy, częściej nawet, zadać jakieś pytanie, na które wolałby nie odpowiadać. Ostatnio jednak bardzo rzadko ją widywał i był zaskoczony tym, jak bardzo mu z tym źle. Przyzwyczyił się do obecności bardki i zastanawiał się, co robi. Będzie musiał przeprosić za swoją nieuprzejmość przy najbliższej okazji i mieć nadzieję, że Majandra mu wybaczy.

Właśnie miał to zrobić, kiedy ktoś klepnął go poufale w ramię.

- No, Kaer - powiedział Gerwyth. - Co ty na to, żebyśmy zajęli się pilnowaniem przygotowań, a potem odpoczęli sobie przy ciepłym ognisku?

Kaerion odwrócił się i uśmiechnął do tropiciela. - Brzmi nieźle, Ger - odparł. - Dość mam już tego śniegu i lodu Zerknął szybko przez ramię na rudowłosą bardkę, elf jednak zdołał zlokalizować cel jego spojrzenia.

- Oho - powiedział, unosząc brwi - wygląda na to, że nasz przyjaciel znalazł sobie zajęcie godne uwagi.

Kaerion zerknął na niego spode łba.

- Odczep się, Ger. Nic sobie nie znalazłem.

Elf pokiwał głową, nie przestając się uśmiechać.

- Jak bardzo uszkodzony był wóz, który znalazłeś? - spytał Kaerion, mając nadzieję zmienić temat.

Grad wreszcie ustał i tropiciel zrzucił z głowy kaptur, by przeczesać dłonią splątane włosy.

- Bardzo - powiedział po chwili. - Ktokolwiek go zaatakował, nic nie zostawił. Dobra wiadomość to to, że chyba nie używali magii. Wóz był potrzaskany, ale nic nie wskazywało na użycie czarów. Dookoła pełno śladów kopyt. Jechałem za nimi przez chwilę, ale zniknęły pod śniegiem. Było ich około dwunastu, do tego sześciu pieszo. Niebezpieczni, ale jak powiedział nasz młodzian, nic, z czym nie dalibyśmy sobie rady.

Kaerion wiedział, że może polegać na osądzie Gerwytha. Elf tropił kiedyś przez dziesięć lig bandę goblinów, która napadła na wieś, i w końcu zaskoczył stwory w ich jaskini. Wojownik doceniał umiejętności i zaciekłość przyjaciela.

- To będzie pierwsze z niebezpieczeństw, jakie napotkamy - powiedział elf. - Będziemy musieli utrzymywać podwójne straże, kiedy zagłębimy się w las Rieu.

Kaerion dostrzegł kątem oka błysk rudych włosów, odwrócił się i zobaczył Majandrę rozmawiającą z drugim woźnicą. Uśmiechnęła się do niego promiennie. To go zaniepokoiło,

Gerwyth miał rację. To dopiero początek. W drodze napotkają wiele niebezpieczeństw. Kaerion chciał tylko wiedzieć, które okaże się najgroźniejsze.



Krew ściekała do srebrnej czarki.

Durgoth westchnął ze zniecierpliwieniem, obserwując przygotowania czarodziejki. Wrózenie nigdy nie było łatwe - zwłaszcza kiedy jego celem był mag większego kalibru. Rozumiał potrzebę odpowiednich preparacji, ale kobieta prawie cały ranek spędziła zamknięta w swojej komnacie. Trzęsący się stary czarodziej i jego lekkomyślni kompani wyruszyli prawie osiem dni temu, uciekając z miasta wcześniej, niż Durgoth się spodziewał. Kapłan zdrzął na myśl o swoich wrogach i ich pospiesznej ewakuacji z Rel Mord, teraz jednak musiał upewnić się co do obranej przez nich drogi.

Ciche pukanie do drzwi zapowiedziało wejście Jhagrena. Mnich skłonił się w swój zwykły, mało uniżony sposób i zaczął, aż Durgoth dostrzeże jego obecność. Kapłan pozwolił sobie na mały uśmiech, obserwując Sydrę i jej obrzędy. Miał zamiar kazać Jhagrenowi poczekać, żeby podkreślić, który z nich ma władzę. Mnich nie odzywał się od czasu starcia w *Platynowej Tarczy*, a Durgoth nie ufał jego milczeniu. Jhagren był niebezpiecznym narzędziem - może nawet zbyt niebezpiecznym. Zbliżał się moment, kiedy trzeba będzie je odrzucić, zanim będzie miało okazję zwrócić się przeciw temu, kto je dzierżył.

Jego rozmyślenia przerwał głos Sydry. Czarodziejka zaczęła nucić zaklęcie, nalewając ofiarną krew do zdobionej czarki zwisającej ze sklepienia na cienkim łańcuchu. Kiedy skończyła, dorzuciła kilka wiązek aromatycznego drewna do ognia płonącego słabo w palenisku około dwóch stóp pod czarką. Ciepło miało nie dopuścić, by krew zakrzepła, pozwalając w ten sposób Sydrze podglądać ich nieprzyjaciół, Durgotha nie interesowały szczegóły. Chciał tylko, żeby ta wiedźma powiedziała mu to, co chciał wiedzieć, i żeby zrobiła to szybko.

Kiedy stało się jasne, że będzie musiał jeszcze poczekać, odwrócił się do Jhagrena i przywołał go gestem.

- Czy wszystko gotowe? - zapytał. Mnich kiwnął lekko głową.

- Tak, błogosławiony. Mamy dość wozów i koni dla wszystkich. Kupiec, z którym prowadziliśmy rozmowy, był szczęśliwy, mogąc nas zaopatrzyć, wyjaśniliśmy mu bowiem, jakie ma alternatywy.

- Doskonale - odparł Durgoth, żałując, że nie było go przy tym i nie mógł widzieć przerażenia w oczach kupca. - Co z Eltanelem?

- Złodziej postarał się o zaopatrzenie, chociaż doniesiono mi, że mistrz gildii nie był szczęśliwy, kiedy dowiedział się, że finansuje naszą wyprawę. - Mnich mówił cicho, ale Durgoth był pewien, że usłyszał w jego głosie lekki ton rozbawienia.

- Ten stary sknera nie powinien narzekać - parsknął śmiechem kapłan. - W końcu to on zgarnie całe bogactwo. - Ale nie zdąży się nim nacieszyć, dodał w myślach, zerkając na Sydrę.

Bez słowa odwrócił się tyłem do Jhagrena i zatarł dłonie, wyobrażając sobie moc, która będzie przez nie przepływać. Kiedy Tharizdun będzie już wolny, nic na całym świecie nie będzie w stanie go powstrzymać.

- Już czas, błogosławiony - powiedziała nagle Sydra i Durgoth na chwilę zapomniał o swoich marzeniach.

Szybko podszedł do czarodziejki i zajrzał do czarki. Kobieta złożyła z kłaśnięciem dłonie i zrobiła długi wydech. Durgoth poczuł, że jeżą mu się włosy na karku. Cokolwiek myślał o Sydrze, musiał przyznać, że jest utalentowana. Komnatę wypełniła magiczna energia.

Z zamkniętymi oczami czarodziejka przesunęła gładkimi dłońmi nad czarą - raz, potem drugi. Za trzecim razem Durgoth zobaczył, że ciemny płyn zaczyna się marszczyć. Po chwili jego drżenie zamieniło się w karmazynowy, pulsujący blask, przypominający bicie serca. Kapłan przyglądał się temu z wielkim zainteresowaniem, a rytm jego własnego serca dostosował się do oglądanego pulsu.

W końcu światło w czarze pojaśniało i w nagłym rozbłysku ukazało przerażająco wyrazisty obraz. Sydra otworzyła oczy i oparła dłonie na biodrach.

- Zrobione - powiedziała tylko i odsunęła się na bok, pozwalając Durgothowi zajrzeć do czary.

Kapłan zobaczył starego człowieka zawiniętego w grube koce. Sądząc po jego otoczeniu, chyba spał we wnętrzu jakiejś niewielkiej, drewnianej konstrukcji. To czarodziej, stwierdził po chwili Durgoth. Stary głupiec spokojnie spał, nie śniąc nawet o niebezpieczeństwie, które śledziło go krok w krok.

- Czy nie można go zniszczyć teraz, kiedy śpi? - spytał kapłan.

Sydra potrząsnęła głową.

- Mogłabym cisnąć kilka zaklęć przez to połączenie, ale mag tak potężny jak Phathas wykryłby ich energię i wzniósł jakąś zasłonę.

- To nic. Stary głupiec przyda się nam, zanim go zabijemy. Kiedy przestanie być użyteczny, jego los pozostawię w twoich rękach.

Czarodziejka uśmiechnęła się ponuro.

- Jak sobie życzysz, błogosławiony. - Durgoth prawie słyszał niecierpliwość w jej głosie.

- Chcę zobaczyć coś więcej - powiedział, przyjrzawszy się już czarodziejowi.

Sydra skinęła głową i podeszła do czary, tym razem szepcząc kilka słów i kreśląc palcem jakieś wzory na powierzchni parującej cieczy. Obraz zmienił się, ukazując tym razem kilka wozów jadących powoli przez spowity śniegiem krajobraz. - Rozpoznajesz, gdzie są? - spytał Durgoth. - Tak - odparła czarodziejka po kilku chwilach przyglądania się. - Na stepach, na południowy wschód od Rel Mord. Jest tak, jak mówiłeś, błogosławiony.

Tak, pomyślał Durgoth. Zwoje, które Eltanel ukradł z ich komnat, wskazywały na tę drogę. Jeśli zmierzali na Przepastne Bagnisko, co było pewne, sądząc z ich zapisków, trzymali się z dala od wybrzeża, gdzie Zatoka Słusznych Wiatrów wzmagala zaciekłość zimy. Najprawdopodobniej zmierzali do zbiegu rzek Harfy i Liry. Tam zamierzali najpewniej skręcić na południe, ominąć Kościany Las i wzdłuż rzeki zagłębić się w puszcę Rieu. Może nie byli takimi głupcami, za jakich ich uważał. To jednak nie miało większego znaczenia - kapłan był pewien, że zginą zanim dotrą do celu.

Durgoth miał już kazać czarodziejce zakończyć wróżenie i przygotować swoich wiernych do podróży, kiedy zauważył błysk czerwieni. Nachylając się nad czarą, odkrył z przyjemnością że nie była to pochodnia ani płomień, lecz rozwiane na wietrze włosy uroczo pięknej kobiety. Eleganckie kości policzkowe i delikatnie nieludzkie rysy świadczyły dobitnie o elfiej krwi w jej żyłach, to jednak podkreślało tylko jej urodę. Durgoth poczuł w łędźwiach nieznane ciepło. Minęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni oddawał się uciechom cielesnym; być może za dużo. Postanowił, że oszczędzi tę kobietę, kiedy będzie rozprawiał się z jej towarzyszami. Wiedział, że po jakimś czasie i ona mu się znudzi, ale do tego momentu noce będzie miał pełne rozkoszy.

Ognistowłosa piękność odwróciła się nagle i uśmiechnęła, jakby witając przyjaciela, ale Durgoth nie widział nikogo w jej pobliżu.

- Co to za sztuczka? - spytał Sydrę.

Czarodziejka podeszła i zajrzała do czary. Wymówiła pojedyncze słowo i obok półelfki zamigotał jakiś szary cień, nie pojawiła się jednak żadna wyraźna postać.

- Nie rozumiem tego, błogosławiony - powiedziała po chwili skupienia. - Coś blokuje moje zaklęcie, ale tylko w tym obszarze. - Znów zamknęła oczy, a na jej czole zaperlił się pot. - To nie czar, błogosławiony, ale cokolwiek to jest, włada wielką mocą. Czuję, jak mi się sprzeciwia.

- Nie interesuje mnie, co czujesz, Sydro - warknął kapłan. - Interesuje mnie tylko i wyłącznie dowiedzenie się, co to za moc i kogo chroni.

Czarodziejka przełknęła ślinę, zamknęła oczy i rzuciła następny czar. Durgoth zniecierpliwionym gestem przeczesał włosy. Nie mogli sobie pozwolić na żadne niespodzianki. Od tego, czy odniosą sukces, zbyt wiele zależy. Przyglądał się przez chwilę, jak Sydra czaruje, a potem odwrócił do Jhagrena. Mnich przez cały czas stał w milczeniu. Może on będzie potrafił rzucić jakieś światło na zaistniałą sytuację.

Zanim jednak Durgoth zdążył otworzyć usta, Sydra wrzasnęła i złapała się za skronie. Wróżebna czara eksplodowała, bryzgając wrzącą krwią i odłamkami srebra. Kapłan zasłonił się odruchowo przed karmazynowym deszczem.

Chwilę później na korytarzu rozległy się ciężkie kroki i wystraszone nawoływania wiernych, którzy gromadzili się za zamkniętymi drzwiami. Durgoth zignorował ból oparzeń i ruszył do wyjścia, by ujrzeć Jhagrena, który cicho otwiera drzwi i mówi coś do kultystów. Kapłan z irytacją zauważył, że mnich uniknął poparzeń i że porusza się z całkowitym spokojem. Nie mając nic innego do roboty, ocenił zniszczenia.

Sydra leżała na środku komnaty, wśród krwi i szczątków srebrnej czary. Trudno było powiedzieć, na ile była to jej własna krew, na ile zaś pozostałości wróżebnego obrzędu. Durgoth nie czuł potrzeby sprawdzania tego. Palenisko jakimś cudem się nie wywróciło, ale ogień został zgaszony przez zawartość czary, spływającą teraz na podłogę.

A więc mamy jeszcze jedną tajemnicę do rozwikłania, pomyślał gorzko kapłan. W głębi serca wiedział, że wszystkie te przeszkody to nic więcej jak testy, którymi sam Mroczny sprawdza siłę i oddanie swoich wiernych. Nie zawiedzie się więc.

Durgoth powoli ruszył do drzwi i otworzył je, wiedząc, co musi zrobić. Ruszą następnego dnia śladem swoich wrogów i nic na świecie nie stanie im na drodze.

* * *

Kaerion ściągnął wodze, zwalniając bieg konia do kłusa, kiedy zbliżył się do rozciągniętej przed nim linii wozów. Nawet z tej odległości słyszał gwar karawany. Woźnice i poganiacze zachęcali zwierzęta do szybszego marszu ostrymi trzaśnięciami batów i równie ostrymi słowami. Tu i ówdzie dawały się słyszeć ich przekomarzania, szczere, prostoduszne i wywołujące rumieniec zażenowania na policzkach Kaeriona.

Pogoda trochę się poprawiła, pozwalając wyprawie odetchnąć po nieustannych atakach zimy. Kaerion z zaskoczeniem zauważył, ile ofiar składano Fharlanghnowi i jego boskim dzieciom każdego ranka przed wyruszeniem. Mimo to wiatr wciąż kąsał, a z boków koni unosiła się para.

Wcześniej tego samego dnia ekspedycja minęła szczątki napadniętego przez bandytów wozu. Gerwyth i Kaerion postanowili wraz z małym oddziałem najemników objechać okolicę. Na szczęście nie znaleźli śladów zbójców ani innych zagrożeń, a wojownik wracał właśnie z dobrymi nowinami do pozostałych.

Kiedy zrównał się z karawaną, zwolnił bieg konia do stępa, kierując nim doświadczoną ręką

między wagonami, wołami i ludźmi. Rumak prychnął i skoczył do przodu, najwyraźniej niezadowolony, że poranna wycieczka tak szybko się skończyła. Kaerion uśmiechnął się, widząc ten pokaz ducha i poklepał konia po grzbiecie.

- Jeszcze się nabiegamy, Jaxer - powiedział do niego po imieniu. - Bez sensu byłoby się tego pozbawić, łamiąc nogę w tym przeklętym śniegu.

Kaerion nie mógł powstrzymać gorzkiego uśmiechu. Jaxer był świetnym koniem, o długich, mocnych nogach i sercu, którego nie powstydziliby się żaden wojownik, jego zalety przywodziły jednak na myśl porównanie z innym rumakiem - jego własnym bojowym wierzchowcem, martwym od dziesięciu lat, zabitym przez to samo tchórzostwo, które strzaskało całe życie Kaeriona. Wspomnienie o złotogrywym rumaku nieproszone pojawiło się w umyśle wojownika, echo jego siły i wdzięku, niemal całkowitego zjednoczenia umysłów i ciał, które pozwalało im obu przewidywać ruchy drugiego. Wszystko to dawno już nie istniało, podobnie jak tyle innych rzeczy.

- Myślałam, że tylko druidzi i elfy są na tyle stuknięci, żeby rozmawiać ze swoimi wierzchowcami - znajomy głos przerwał ponure rozmyślenia Kaeriona. Wojownik podniósł wzrok i ujrzał Majandrę, uśmiechającą się do niego olśniewająco.

- Jak patrole? - spytała, podjeżdżając bliżej.

- Na szczęście nudne, dzięki bogom i wszystkim, którzy chcą mnie wysłuchać - odparł Kaerion.

- W odległości ligi od karawany nie znaleźliśmy żadnych śladów zbójców. Ktokolwiek czy cokolwiek zaatakowało ten wóz, dawno stąd zniknęło.

- To dobra nowina - powiedziała półelfka - choć obawiam się, że Bredeth będzie zawiedziony.

Kaerion miał już odpowiedzieć, kiedy Jaxer dziko wierzgnął kopytami. Wojownik ściągnął wodze. W lewym udzie poczuł nagle palący ból i szarpnął się, prawie spadając przy tym z siodła.

- Kaerionie, co się dzieje? - spytała Majandra, ale on nie mógł jej odpowiedzieć. Całą uwagę i doświadczenie musiał skupić na uspokojeniu rozszalałego wierzchowca.

Ból w jego udzie wzmógł się i wojownik krzyknął. Wystarczyło to, by Jaxer postawił na swoim. Koń stanął dęba na tylnych nogach i zrzucił bezradnego jeźdźcę na ziemię.

Kaerion runął ciężko w śnieg, od uderzenia tracąc dech. Leżał zgięty wpół, walcząc o choćby łyk powietrza. Majandra ruszyła ku niemu biegiem i nagle zatrzymała się, otwierając szeroko ze zdumienia oczy. Dopiero po chwili oszołomiony wojownik skupił wzrok na tym, co ją tak zadziwiło. To, co ujrzał, napełniło go przerażeniem.

Zawartość jego juków leżała porozrzucana na śniegu, włącznie z wysadzaną klejnotami pochwą Galadorna. Miecz wytoczył się z naoliwionej, grubej szmaty, w której Kaerion ukrył go przed pozostałymi. Co gorsza, cenne kamienie lśniły jasnym blaskiem, pierwszym znakiem życia od ponad dziesięciu lat.

Kaerion chciał sięgnąć i przyciągnąć miecz do siebie, owinać go w szmatę i schować, ale ciało

nie słuchało jego poleceń. Usłyszał, że Majandra coś mówi, ale słowa docierały do niego zwolnione i wydłużone, jak słyszane pod wodą, i nie mógł ich zrozumieć.

Próbował spojrzeć na bardkę, ale pulsujące światło pochwy przykuwało jego uwagę jak wahadło hipnotyzera. Z każdym rozbłyskiem było jaśniejsze, a Kaerion nabrał pewności, że patrzy na skupisko spadłych z nieba gwiazd. Otaczający go śnieg wchłaniał iluminację, wzmacniał ją, aż zaczęła świecić jaśniej od słońca. Czysta biel klejnotów paliła w oczy, rozdzierała myśli i wspomnienia jak ogniste ostrze. Kaerion zagubił się w krajobrazie brylantowego lśnienia. Był zagubiony i samotny.

Aż w końcu wszystko zamieniło się w światłość.



Koszmar powrócił, a wraz z nim świątynia - wyniosłe łuki i mury z białego marmuru, strzelające pod samo niebo. Znów słyszał śpiew, ale tym razem nie znajdował w tym przyjemności. Wiedział, co się stanie.

I stało się. O wiele szybciej niż się spodziewał.

Ujrzał odzianą w szarość procesję, maszerującą dostojnie ku ołtarzowi. Ujrzał wychudzoną postać, klęczącą bezradnie na ziemi - wiedział, że to on sam. Kiedy rozejrzał się w poszukiwaniu chłopca, dostrzegł go leżącego twarzą do góry na ołtarzu. Kapłani wokół niego zrzucili swe szare, powłóczyste szaty. Kaerion patrzył z obrzydzeniem na plamistą skórę, ostre łuski i spływającą z ich ciał ropę. Postacie, które przybrały demony, były kpina z człowieczeństwa. Wiele z nich posiadało skórzaste ogony, którymi pieściły swoich piekielnych towarzyszy, inne zaś do wtóru swego grzmiącego śmiechu łopotały ogromnymi skrzydłami. Demoniczni mnisi radowali się wokół ołtarza, pieszcząc na zmianę siebie nawzajem i ofiarę rytuału.

Ze swojego miejsca Kaerion widział twarz chłopca, przerażoną, lecz wyczekującą, pewną, że paladyn wezwie swe święte moce i go ocali. Wojownik sięgnął po Galadorna i drgnął, kiedy jego rękojeść zakłuła go w dłoń niczym gigantyczna osa.

- Heironeusie! - zawołał oskarżycielsko do wyniosłych balustrad świątyni. - Czemuś mnie opuścił?!

Ale nie doczekał się odpowiedzi i właściwie nawet się jej nie spodziewał. Pobiegł ze zduszonym krzykiem w stronę ołtarza, a jeden z demonów uniósł szponiastą łapę i opuścił ją na odsłonięte gardło chłopca. Dziecko nawet nie zakrzyczało, kiedy potwór wyrwał mu krtań.

Kaerion drgnął, kiedy ktoś spryskał mu twarz zimną wodą i uchylił powieki. Dookoła niego płonęło słabo kilka lamp, a choć ich światło raziło go w oczy niczym trzy słońca, rozpoznał znajome wnętrze wozu karawany.

Skrzynie i pakunki rozsunięto na boki, by zrobić miejsce na posłanie, na którym leżał. Choć ociekał potem, drżał z zimna i poczuł wdzięczność za futra i koce, którymi go okryto.

W wozie poruszała się cicho jakaś postać. Kaerion otworzył oczy na tyle, na ile pozwalały mu sklezione powieki. Majandra podeszła bliżej i nachyliła się, by otrzeć jego spocone czoło gałganem.

Próbował złapać ją za rękę, ale czuł się zupełnie odłączony od swojego ciała, jakby unosił się gdzieś nad nim. Sfrustrowany, mógł tylko leżeć bez ruchu, podczas gdy półelfka kontynuowała pielęgnowanie go.

Uśmiechnęła się i powiedziała coś, co przypominało jego imię, ale nie zrozumiał jej. Myśli zaczynała mu spowijać gęsta mgła i opadł z powrotem w wyczekujące objęcia snu.

Ogarnęły go wspomnienia wydarzeń, które zaprowadziły go tutaj. Pomyślał z goryczą o świętym mieczu, który zdradził go tak, jak on jego.

- Sprawiedliwość - próbował powiedzieć, kiedy zapadał w sen, ale nie zdołał wykrztusić słowa.

Czas mijał, a Kaerion na przemian odzyskiwał i tracił przytomność - choć jak długo to trwało, trudno mu było stwierdzić. Bardziej domyślał się, niż czuł poruszenia wozu, gdyż słabość i poczucie bezcielesności wciąż go nie opuściły. Raz zdawało mu się, że słyszy szum bieżącej wody, ale szybko przestał być czegokolwiek pewny, bo wszystko dookoła za- wirowało i rozmyło się, opadając w znajomą ciemność.

Zaskoczyły go regularne odwiedziny prawie wszystkich jego towarzyszy. Nawet Bredeth przychodził przy nim posiedzieć. Młody szlachcic opowiadał mu o swoich nadziejach na pełne chwały bitwy i bohaterskie czyny, których dokonała podczas podróży, a chociaż jego wizyty męczyły Kaeriona, wojownik czuł się dziwnie wzruszony troską Bredetha. Tylko Vaxor ani razu się nie pojawił.

Myślenie o heironeusejskim kapłanie sprawiało, że Kaerion uświadamiał sobie dokładnie swoje położenie. Vaxor na pewno pojął znaczenie miecza, a jeśli nie wyjawiał hańby Kaeriona innym, na pewno sam go osądził. Kiedy tylko wszyscy poznają prawdziwą naturę jego tchórzostwa, będzie miał szczęście, jeśli którykolwiek z nich jeszcze się do niego kiedyś odezwie. Z jakiegoś powodu świadomość ta przysporzyła Kaerionowi więcej smutku, niż się spodziewał, leżał więc na swoim posłaniu, dygocząc z osłabienia i ze strachu.

Któregoś ranka obudziły go promienie słońca wpadające przez rozchylone klapy wozu. Do środka wpadał ciepły powiew wiatru, niosący ze sobą słodki zapach trawy i pąków.

- Tu jest - odezwał się przy wejściu jakiś głos i Kaerion od razu rozpoznał kpiący ton Gerwytha.

- Dobrze, że w końcu obudziłeś się na tyle, żeby nacieszyć się pogodą - powiedział elf, wspinając się do wozu i siadając obok wojownika. - Może byś tak przestał się wylegiwać i wreszcie zarobił na swoje utrzymanie?

Kaerion uśmiechnął się i spojrzał na przyjaciela. Do głowy przyszło mu tysiąc odpowiedzi, ale zeschnięte wargi nie chciały przepuścić żadnej z nich. Jego wysiłki musiały być łatwo zauważalne, bo elf zaśmiał się, wyciągnął bukłak z wodą i przystawił Kaerionowi do ust.

Wojownik napił się chętnie, przytrzymując w ustach zimny płyn. Po kilku długich łykach zdziwił się własnym pragnieniem. Gerwyth znów się roześmiał i zabrał bukłak.

- Spokojnie, Kaer - powiedział, a jego wcześniejsza wesołość zniknęła bez śladu. - Phathas mówi, że nie możesz od razu za dużo pić.

Kaerion pokiwał głową i otarł spękane i suche usta.

- J... jak długo byłem chory? - spytał po chwili ochryplym głosem. - Jakiś czas - odparł elf. - Dziś mamy trzeci dzień Chłodnego Wieczoru. Nieźle nas wszystkich wystraszyłeś. Kaerion gapił się na niego wstrząśnięty. Sześć tygodni. Leżał powalony chorobą przez sześć tygodni. Nic dziwnego, że ciepło wydawało mu się nieznanym. Powinien być jeszcze koniec zimy, tymczasem dawno nastąpiła wiosna. - Jak daleko zajechaliśmy? - spytał. Gerwyth patrzył na niego przez chwilę, a Kaerion zobaczył na jego twarzy troskę.

- Minęliśmy zbieg Harfy i Liry, skręciliśmy na południe, by ominąć Kościany Las i zagłębiliśmy się w las Rieu. Jesteśmy w tej chwili jakiś tydzień drogi od południowego skraju puszczy i Sunndi.

Tyle straconego czasu, tyle mil, a on przeleżał to wszystko jak niedołężny starzec.

- Kaerion - spytał Gerwyth, przerywając jego rozmyślenia - co tam się stało?

Wojownik pokręcił głową.

- Nie wiem. Rozmawiałem z Majandrą, a Galadorn ni z tego, ni z owego nagle się przebudził. - Ściszył głos do szeptu.

- Nie zrobił tego od... od Dorakaa. - Kaerion jęknął i próbował się obrócić; sytuacja przyćmiła jego zdumienie faktem, że ma władzę nad ciałem. - Teraz, kiedy zobaczyli Galadorna, wszyscy na pewno wiedzą już, kim jestem.

- A kim jesteś? - spytał Gerwyth.

- Jestem zdrajcą i tchórzem. Kiedyś umiłował mnie bóg, Ger, byłem wodzem legionów i bohaterem sag. Odrzuciłem to wszystko. Odwróciłem się od boga, któremu służyłem. Jestem niczym.

- Jesteś moim przyjacielem - odparł Gerwyth, ściskając Kaeriona mocno za ramię. - Jesteś odważny, silny i szlachetny, i tylko to się liczy, a ja chętnie oddałbym za ciebie życie.

Kaerion leżał bez ruchu, oszołomiony szczerością w głosie i wyrazie twarzy tropiciela. Mimo że podróżowali ze sobą od dziesięciu lat, rzadko widywał tę stronę beztroskiego zazwyczaj i wesołego elfa.

- To dla mnie znaczy więcej, niż ci się wydaje, Ger - powiedział - ale teraz, kiedy pozostali odkryli mój sekret, będą musieli się ode mnie odwrócić. Wyprawę funduje kościół Heironeusa. Sam rozumiesz.

- Reszta nie odkryła twojego „sekretu”, Kaer - odparł Gerwyth. - Widzieli tylko miecz, nic więcej.

- Ale muszą coś podejrzewać, a Vaxor...

- Podejrzenia są jak gobliny, a przynajmniej tak mi zawsze powtarzała matka - przerwał elf. -

Mnożą się wszędzie, ale padają od jednej strzały. Nie kłopotcz się Vaxorem.

- Nie mógł nie pojąć znaczenia Galadorna - upierał się Kaerion. - Na pewno wie i na pewno powie pozostałym.

- Kapłan nic nie powiedział pozostałym - powiedział elf -a jeśli to zrobi, będziesz miał okazję stawić czoła temu, przed czym dotąd uciekałeś. To będzie prawdziwa miara twojej odwagi.

Kaerion kiwnął głową.

- Może masz rację, Ger. Ale co inni o mnie pomyślą? Przywykłem już do niechęci obcych, ale nie...

- Nie tych, na których ci zależy - dokończył Gerwyth. -Naprawdę chodzi ci o innych? Czy może o poważanie pewnej ognistowłosej bardki?

Kaerion poruszył się na posłaniu, czując, jak twarz zalewa mu fala gorąca. Przeczesał bladymi palcami splątane i przepocone włosy, mając nadzieję, że zamaskuje w ten sposób czerwień policzków i szyi.

- O... o czym ty mówisz, Ger? - wyjąkał.

Elf uśmiechnął się, najwyraźniej rozbawiony zakłopotaniem przyjaciela.

- Daj spokój, Kaer - powiedział. - Potrafię wytropić świstaka na gołej skale. Widzę, co się dzieje między mężczyzną i kobietą.

Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - powiedział Kaerion. -Między mną i Majandrą nic nie zaszło.

- A ja jestem kapłanką Lolth - odparł Gerwyth. - Na bogów, Kaer, ja mam oczy. Widzę wszystko wyraźnie. Zależy wam na sobie nawzajem, chociaż dlaczego Majandra miała- by się interesować takim prostakiem i oprychem jak ty, tego nigdy nie pojmem.

Kaerion złapał bukłak z wodą i napił się, ignorując elfa. Kiedy skończył, cisnął bukłak na bok.

- Nie wtrącaj się, Ger - powiedział szorstko. - Między mną i Majandrą do niczego nie dojdzie, zwłaszcza teraz.

Gerwyth pokręcił głową.

- Ale dlaczego, Kaer? Nie składałeś ślubów czystości. Powiedz jej po prostu, co czujesz. Wiesz przecież, że jej na tobie zależy. Poza tym kiedy ujawnisz wreszcie swoje uczucia, będziecie mogli przestać wpatrywać się w siebie po kryjomu jak para zakochanych...

Kaerion odrzucił z frustracją koce.

- Po prostu... nie mieszaj się w to, Ger - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Elf wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nagle załamał ręce i wstał.

- Widzę, że wracasz do zdrowia — stwierdził.

- Dlaczego? — spytał Kaerion ponuro.

- Bo z każdym dniem robisz się bardziej uparty i głupi -odparł elf. - Jeszcze trochę i znów będziesz tępym, nudnym człowiekiem, którego tak dobrze poznałem.

Słowa przyjaciela przywołały na usta Kaeriona cień uśmiechu.

- I nie zapominaj o tym - powiedział po chwili. - Teraz odejź - machnął władczo ręką - i pozwól mi w spokoju cieszyć się tym wspaniałym porankiem.

- Jak rozkażesz - odparł Gerwyth i skłonił się kpiąco. - Ale jutro idziemy się przejść. Phathas mówi, że powinieneś częściej wstawać, żeby odzyskać siły. Od skraju lasu Rieu do Przepastnego Bagniska nie jest daleko. Będę potrzebował twojej siły i resztek rozumu, jeżeli coś tam ci jeszcze zostało, inaczej nie dotrzemy do tego grobowca.

Kaerion patrzył na elfa, który wyskoczył zręcznie z wozu. Na jego ustach błąkał się jeszcze przez chwilę uśmiech i wojownik zdał sobie sprawę, że od dawna nie czuł się tak lekko. Niedługo wyjdzie na powietrze i znów stanie się przydatnym członkiem wyprawy. Potem... skrzywił się. Co będzie potem, czas pokaże.

* * *

Majandra siedziała przy trzaskającym wesoło na niewielkiej polanie ognisku. Dookoła niej członkowie ekspedycji raczyli się rozmową i ciekim winem, wyjadłszy resztki zupy, która trzymała ich na nogach przez większą część podróży. Cichy gwar przerywał z rzadka wybuch śmiechu poganiacza albo hasło przechodzącego wartownika, przypominające bardce o powadze wyprawy. Była jednak z tego zadowolona. Chociaż elfy regularnie patrolowały puszcę Rieu, w mrokach lasu wciąż czyhały niebezpieczeństwa - niebezpieczeństwa, które mogły przyjść tu za nimi z Rel Mord. Stłumione kroki strażników dodawały jej otuchy.

Lekka bryza wiała między drzewami, szeleszcząc gałęziami i konarami ciężkimi od pąków. Majandra zamknęła oczy i odetchnęła głęboko, wdzięczna za wczesnowiosenny powiew, niosący zapach kwiatów, owoców i rozkwitającego życia. Jakaś część niej czuła się tu w domu. Miała ochotę wyślizgnąć się z obozu i znaleźć jakiś czysty strumień, w którym mogłaby się wykapać, a potem zasnąć na omszałym brzegu w miękkim blasku księżyca.

Otworzyła oczy i westchnęła, rozpoznając znajomą tęsknotę - to odzywała się jej elfia krew. Z dala od ograniczeń miejskiego życia i bezustannego jazgotu cywilizacji łatwo było wyobrazić sobie żywot pod dachem natury. Nie pierwszy raz pozazdrościła swoim krewniakom elfom. Jej pochodzenie często sprawiało, że czuła się obca. Elfy z tego lasu nie przeżywały takich rozterek. Może któregoś dnia usłucha zewu krwi, ale jeszcze nie teraz. Stawką była przyszłość Nyrondu, a ona nie mogła porzucić go w potrzebie.

Majandra sięgnęła po harfę, z przyjemnością czując pod palcami jej znajome krzywizny i fakturę

polerowanego drewna. Połówka twarzy Luni sunęła wolno po niebie, a bardka leniwie trącała struny, przysłuchując się, jak Phathas i Gerwyth raczą pozostałych opowieściami ze swoich awanturniczych lat. Majandra wplatała delikatne melodie w odmierzoną kadencję głosu tropiciela i odpowiedzi Bredetha i Vaxora.

Dopiero kiedy napełniono winem bukłak, podano go dalej i znów napełniono, rozmowa zesłała na temat, który zaprzętał głowę Majandry od wielu tygodni.

- Gerwycie, jak tam twój tajemniczy przyjaciel? - spytał Bredeth głosem chrapliwym od zbyt dużej ilości alkoholu. Młody szlachcic siedział chwiejnie na kłodzie, nachylając się nad przygasającym ogniskiem. W słabej poświacie węgla jego twarz sprawiała wrażenie zaczerwienionej i napuchłej, a cienie dodawały mu lat.

- Kaerion radzi sobie nieźle - odparł z uśmiechem Gerwyth. - Z dnia na dzień jest coraz silniejszy, a niedługo powinien już móc wsiąść na konia.

Majandra przestała grać, słysząc imię ciemnowłosego wojownika. Rozejrzała się szybko dookoła i z zadowoleniem zobaczyła, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Codzienne obowiązki i wycieczki Kaeriona z Gerwythem do lasu nie pozwoliły jej go odwiedzić już od kilku dni. Chociaż starała się panować nad swoimi myślami, była zaskoczona tym, jak często gościł w nich zraniony wojownik. Położyła dłonie na instrumencie i znów zaczęła grać.

- Dobrze to słyszeć - powiedział Bredeth - chociaż będę się cieszył jeszcze bardziej, kiedy uda nam się unieść otaczającą Kaeriona zasłonę tajemnicy. Kim on naprawdę jest, Gerwycie? Zawierzamy wam obu nasze życie i powodzenie wyprawy. Nie sądzisz, że mamy prawo to wiedzieć?

Majandra nuciła cicho, akompaniując sobie na harfie i mając nadzieję, że inni nie dostrzegą jej zainteresowania tematem. Vaxor, zauważyła, siedział sztywno na ziemi, skrzyżowawszy ręce na piersi i z ponurym wyrazem twarzy.

- Znasz mnie, Bredecie - powiedział Gerwyth. - Niczego przed wami nie ukrywałem, ale Kaerion sam musi opowiedzieć swoją historię.

Majandra znów prawie przestała grać, była bowiem pewna, że elf spojrzał znacząco na Vaxora.

- Jak na razie pozostaje jednym z nas, zwykłym towarzyszem, a miejmy nadzieję, że godnym waszego zaufania - ciągnął Gerwyth. - Przetrwaliśmy atak w gospodzie głównie dzięki niemu.

- To dobry wojownik - usłyszała własny głos Majandra i niewiele brakowało, a zakryłaby usta dłonią, kiedy Bredeth Vaxor i Gerwyth na nią spojrzeli. Kim była, pomyślała gorzko, zakochaną dziewczynką służebną?

- I wódz - odezwał się Phathas, nachylony nad ogniskiem i grzejący dłonie w jego ciepłe. - Słysząc to w jego głosie - dodał. - Musiał przewodzić żołnierzom w bitwie.

- Widzieliście ten jego miecz? - spytał Bredeth. - Założę się, że ukradł go jakiemuś szlachcicowi.

Nigdy nie widziałem takiego ostrza, a już na pewno nie w rękach prostego człowieka z ludu.

Majandra prawie prychnęła z oburzenia. Zanim Gerwyth zabrał miecz i na powrót owinał go w szmaty, przyjrzała się dobrze broni i dostrzegła na jej ostrzu runy. Krasnoludzkie runy. Starożytne, pochodzące sprzed Przywołanej Dewastacji. To był miecz wykuty przez mistrza i przeznaczony dla kogoś królewskiej krwi. Takiego miecza nie można po prostu ukraść.

- Kaeriona można różnie nazywać - odparł Gerwyth, wyrażając myśli Majandry - ale na pewno nie złodziejem.

- Nie chciałem go obrazić - zapewnił pospiesznie Bredeth. - Ale nie rozumiem, co ukrywa.

- Widział więcej rzeczy, niż przydarza się zwykłym ludziom przez całe życie - powiedział elf. - Dajcie mu trochę czasu. Poza tym za kilka dni będziemy mieli ważniejsze sprawy na głowie.

Majandra pochwyciła pytające spojrzenie Bredetha.

- Co to ma znaczyć? - spytał szlachcic.

- Chodzi mu o to, że za kilka dni opuścimy las Rieu i ruszymy na Przepastne Bagnisko - powiedział cicho Phathas, wstając. - A wtedy zrobi się naprawdę niebezpiecznie.

Gerwyth podał magowi ramię i ruszył z nim do wozu.

- Na bagnie wszyscy będą musieli skupić się na przeżyciu.

Nie wolno nam się rozpraszać. Dasz radę? - spytał szlachcica.

- Oczywiście - powiedział Bredeth, a Majandrę aż przestraszyła powaga w jego głosie.

- To dobrze - stwierdził elf, zanim zniknął wraz z magiem w ciemności. - Zrób mi przysługę i sprawdź, zanim położysz się spać, czy wartownicy czegoś nie potrzebują.

Majandra uśmiechnęła się, kiedy Bredeth wymamrotał pod nosem przekleństwo i odszedł, zostawiając ją samą z Vaxorem. Bardka skończyła grać i schowała harfę do skórzanego futerału. Miała własne podejrzenia co do Kaeriona, oparte na swoich obserwacjach i zachowaniu kapłana, ale nie była niczego pewna. Historia tajemniczego wojownika zaczyna się odsłaniać, pomyślała, ale do jej końca jeszcze długa droga.

Stłumiła ziewnięcie i przez chwilę przyglądała się Vaxorowi, potem wstała i poszła po plecak. Kiedy wróciła z posłaniem, kapłana już nie było. Leżąc pod gwiazdami i czekając na sen, Majandra myślała o podróży. Nie wiedziała, co znajdą w starożytnych korytarzach grobowca, była jednak zadowolona, że będzie ich bronił pewien ciemnowłosy wojownik.

W oddali zaskrzeczała sowa.

- Dobrych łowów, siostró - szepnęła Majandra, odwracając się do ciepła ogniska.



Durgoth Shem siedział w ciasnym wozie, zapisując uwagi i komentarze na kilku rozłożonych przed sobą zwojach. Od chwili opuszczenia Rel Mord jako przenośne biurko służyła mu drewniana skrzynia. Po prawej stała na niej mosiężna lampa, oświetlając ciasną przestrzeń migotliwą poświatą. Paląca się w niej nafta wydzielala gęsty i gryzący dym. Na zewnątrz padał drobny deszcz. Jego krople stukały równo o pokrywający drewniany dach wozu brezent.

Kapłan odłożył z westchnieniem pióro i rozprostował zdrętwiałe i spocone palce. Odszyfrowywanie przepowiedni nigdy nie było łatwym zadaniem. Bogowie przemawiali zagadkami, pełnymi metafor, znaków i symboli, niemal niezrozumiałymi dla śmiertelnego umysłu. Durgoth patrzył przez chwilę na rozłożone przed sobą zwoje, zawierające słowa ukrzyżowanego proroka. Choć zapisane równym, eleganckim pismem młodego Adrysa, kryły swe znaczenie pod gęstym całunem zagadek. Jedyne wiedza wyrwana *Kodeksowi minteksjańskiemu* pozwoliła Durgothowi unieść go choć na tyle, by poznać położenie grobowca Acereraka. Posługując się starożytną księgą jako przewodnikiem, kapłan zmagął się z pozostałymi sekretami prorocstwa - dokładnym położeniem klucza, czarami, którymi można go wyrwać z grobowca i rytuałem niezbędnym do uwolnienia jego mocy. Wszystko to było tuż poza jego zasięgiem, ukryte bezpiecznie wśród słów, które ukrzyżowany prorok wymówił w klasztorze.

Durgoth uśmiechnął się, wstając i rozprostował grzbiet. Przebyli już kawał drogi, a według zwojów, które ukradli szlachcom, ich przyszłe ofiary kierowały się w to samo miejsce, w które ich prowadziła przepowiednia. Spotkanie było tylko kwestią czasu, a wtedy Durgoth będzie miał przyjemność pozbawienia ich tryumfu w ostatniej chwili. Jego uśmiech się poszerzył. Po katastrofalnie zakończonej próbie wróżenia kilka tygodni temu kapłan oparł się na bardziej przyziemnych metodach tropienia nyrondzkich głupców. Złoto pomyślał, rozwiązuje języki skuteczniej niż jakikolwiek czar. Łatwo rzucić kilka monet nadzieżdżającym z przeciwka podróżnym i wypytać ich o karawanę. Jak dotąd, według zdobytych w ten sposób informacji, zachowywali dystans tygodnia drogi od wozów Nyrondczyków. Po opuszczeniu lasu Rieu będą mogli przyspieszyć i śledzić już każdy krok szlachciców na Przepastnym Bagnisku.

Rozmyślania Durgotha przerwało natarczywe stukanie do drewnianych drzwi wozu. Kapłan

odwrócił się i szorstko kazał pukającemu wejść. Wydał jasne rozkazy, by nie przeszkadzać mu o tej porze dnia i już miał zrugać człowieka, który przerwał jego święte badania, kiedy zobaczył wchodzącego do wozu Adrysa. Jasne włosy ucznia były mokre od deszczu, a po twarzy spływała mu woda i pot. Chłopak skłonił się szybko.

- Wybacz to najście, błogosławiony - powiedział napiętym głosem - ale chyba mamy kłopoty.

- Mówże więc, chłopcze - ponaglił go ostro Durgoth, nie chcąc marnować więcej czasu, niż musiał.

- Panie, drogę przed nami zablokował patrol elfów. Dotrzemy do nich za kilka chwil. Jhagren wysłał mnie, żebym cię zawiadomił. Chociaż twoi wierni próbują udawać zwykłych podróżnych, większość z nich robi wrażenie wystraszonych i niepewnych, co robić. Mój pan przeczuwa, że mogą zadziałać pochopnie.

Durgoth zaklął cicho. Elfy. Tego tylko mu brakowało. Od kilku tygodni jechali przez las Rieu i zaczynał już mieć nadzieję, że uda im się przebyć puszcę bez kłopotów.

- Dobrze zrobiłeś, chłopcze - powiedział po chwili. - Idź do Sydry i Eltanela i każ im się przygotować na atak. Potem otwórz cicho drzwi drugiego wozu.

Chłopak pokiwał głową. Kapłan miał nadzieję, że dwójka złodziei wystarczy do obrony karawany. Jeśli nie, w drugim wozie czeka golem. Nawet w tej chwili Durgoth czuł jego czarną moc, gotową do działania. Jeśli uderzą szybko, zabiją elfy i dotrą do skraju puszczy, zanim znajdą ich inne patrole. Jeśli nie, następne kilka tygodni będzie jedną wielką krwawą bitwą.

- Idź, Adrysie - powiedział, zdając sobie sprawę, że chłopak wciąż przed nim stoi. - Ja pójdę do Jhagrena i zobaczą jak się sprawy mają.

Chłopak zniknął z zaskakującą szybkością. Durgoth schował *Kodeks minteksjański* do skrytki, a potem otulił się płaszczem i wyszedł na deszcz.

Kiedy ruszył rozmokłą drogą na czoło karawany, wozy już się zatrzymały. Na środku traktu stało siedem postaci w ciemnozielonych płaszczach. Rozmawiały w przewodniku. Nawet z daleka widać było, że to elfy. Każdy z nich miał długie, splecione w warkocze włosy, a spod okryć pobłyskiwały wypolerowane kolczugi. Jeden z nich, niemal o głowę wyższy od pozostałych, wyszedł przed drużynę. Płaszcz miał odrzucony na plecy i spięty srebrną klamrą w kształcie liści dębu, a przy pasie zawiesił pięknie wykończoną, skórzaną pochwę z mieczem. Za elfami Durgoth zauważył poruszenia ukrytych między drzewami łuczników. Podeszedł bliżej, by usłyszeć, o czym rozmawia dowódca elfów z przewodnikiem.

- Ależ panie - zaprotestował człowiek - jesteśmy zwykłą karawaną zmierzającą do Sunndi. Mogę okazać ci manifesty handlowe i kupieckie pieczęcie, jeśli chcesz. My tylko...

Elf przerwał tłumaczenia ostrym gestem.

- Oszczędź sobie wyjaśnień, człowieku. Nie mamy czasu na pozory.

Elf miał głos wysoki i czysty jak większość jego pobratymców, ale Durgoth słyszał w nim złowróżbny ton. Raczej nie było wielkich szans, by udało im się dogadać.

- Las od kilku tygodni jest niespokojny - ciągnął dowódca - a my od tamtej pory szukamy tego przyczyny.

Poruszył ręką, a z gęstych zarośli wyszły dwie postacie w białych szatach. Druidzi, pomyślał Durgoth, widząc ich długie, srebrzyste włosy. Obaj nieśli długie, drewniane laski, zakończone wieńcem gałązek ostrokrzewu. Z pasów zwisały im sierpy. - Duch lasu wzdraga się od każdego waszego kroku - oznajmił jeden z druidów. Głos miał cichy niczym wiosenny wiatr, kapłan jednak słyszał wyraźnie każde jego słowo.

- Jakąkolwiek wynaturzoną moc wieziecie przez naszą krainę - powiedział drugi - nie wolno wam jechać dalej. Duch tego miejsca i wola Ehlonny każą wam odejść.

Durgoth podkradł się bliżej, trzymając się poza zasięgiem wzroku elfów. Modlił się bezgłośnie, by kultysta udający przewodnika karawany dał sobie radę jeszcze przez kilka chwil, aż Eltanel i Sydra będą gotowi do ataku.

Dowódca patrolu znów wystąpił do przodu.

- Macie zawrócić wozy i cofnąć się tą samą drogą, którą przybyliście. Odprowadzimy was do skraju lasu Rieu. Jeśli nie będziecie sprawiać kłopotów i nie skrzywdzicie żadnej żywej istoty, pozwolimy wam żyć. Złamcie to prawo, a pozabijamy was i wywlecjemy wasze trupy z lasu, żebyście nie splugawili naszego domu. Czy to jasne?

Przewodnik jękał się przez chwilę, najwyraźniej zbyt przerażony, by odpowiedzieć. Durgoth zaklął, ale umilkł, kiedy dostrzegł Adrysa. Młody mnich szedł wolno na czoło karawany; zobaczył Durgotha i lekko skinął głową. Kapłan odpowiedział mu tym samym, rozumiejąc, że złodzieje są na pozycjach. Ruszył szybkim krokiem do przodu i podszedł do elfów.

- Może uda nam się załatwić to inaczej - powiedział głośno.

Dowódca odwrócił się do niego, najwyraźniej zaskoczony jego nagłym pojawieniem, szybko jednak się otrząsnął, kiedy drugi druid zasyczał mu coś do ucha. Szybciej, niż Durgoth uważał za możliwe, elf wyciągnął z pochwy lśniący miecz.

- Łucznicy na drzewach! - ryknął kapłan, sięgając po obsydianowy buzdygan i ufając, że Sydra zneutralizuje to zagrożenie.

Nie rozczarował się. Kiedy zwarł się z dowódcą elfów, nad głowami patrolu przeleciała ognista kula energii. Chwilę później płomienie eksplodowały w koronach drzew, gdzie kryli się łucznicy. Durgoth słyszał ich wrzaski, parując szybkie jak atak żmii pchnięcia swojego przeciwnika. Miecz i buzdygan huczały mocą przy każdym zetknięciu.

Choć rozmokła ziemia przy każdym kroku usuwała się spod nóg, Durgoth szybko spostrzegł, że elf tego nie doświadcza, poruszając się z doskonałym wyczuciem równowagi i oślepiająco szybko.

Kapłan ledwie zdążył się zasłonić przed kolejnym morderczym ciosem. Krzyknął, kiedy ostrze wbiło się głęboko w jego bark i zdesperowany przywołał moc Tharizduna, chwytając przeciwnika za ramię. Dookoła rozszedł się smród palonego ciała. Elf zatoczył się do tyłu, ściskając rękę i krzycząc z bólu.

Durgoth wykorzystał to, by odskoczyć na kilka stóp i zerknąć na pozostałych. Ranionego przywódcę zaatakował Jhagren. Kapłan z radością zobaczył Adrysa, zasypującego dwa elfy gradem ciosów i kopnięć; obaj wojownicy wyglądali na zdumionych zaciekłością ludzkiego dziecka i żaden z nich nie był w stanie zaatakować.

- Durgocie, uważaj na druidów! - krzyknęła Sydra. Spojrzał na nich. Jeden wyciągnął sierp i rozplątywał nim gardła i piersi kultystów, drugi jednak recytował coś ostrym głosem, a po chwili uderzył w ziemię laską. Przez moment nic się nie działo, potem jednak gałęzie, konary i pnie otaczających drzew i zarośli zaczęły rosnać w oczach. Durgoth zrozumiał, że jeśli szybko czegoś nie zrobi, większość jego sił zostanie uwięziona. Przypomniawszy sobie gesty starego zaklęcia i raz jeszcze przyzwał mroczną moc swego pana. Kiedy klasnął w dłonie, pojawiła się przed nim niewielka kula energii, która rozrosła się szybko, otaczając karawanę i walczących. Dotykające jej gałęzie drzew czerniały i usychały.

Durgoth otarł z czoła pot i deszcz, rozglądając się dookoła. Choć Adrys powalił jednego ze swoich przeciwników, jego miejsce zajął następny i było jasne, że młody mnich długo już nie wytrzyma. Jego mistrz radził sobie niewiele lepiej. Atakował wściekle dowódcę elfów, ten jednak, choć ranny, cały czas unikał ciosów. Pozostali elfi wojownicy szybko wyrzynali kultystów.

Durgoth przyzwał golema, wiedząc, że obecność konstruktów odwróci bieg bitwy. Wyraźnie poczuł jego odpowiedź na chwilę przed tym, jak olbrzym w czarnym płaszczu nadbiegł i wbił się w grupę elfów walczącą z jego wiernymi. Wojownicy cofnęli się przed zaciekłością stwora, a jeden runął na ziemię z czaszką roztrzaskaną uderzeniem jego pięści.

Kapłan kiwnął głową z zadowoleniem i ruszył w stronę druidów, uśmiechając się ponuro na widok tego, co zobaczył. Sydra zasypywała ich gradem magicznych pocisków, Eltanel tymczasem zajął dogodną pozycję do strzału. Pierwszy bełt z jego kuszy trafił jednego z druidów w kark. Durgoth usłyszał wyraźnie trzask pękającego kręgosłupa i elf padł na ziemię. Kiedy drugi odwrócił się zdumiony, Durgoth przyskoczył i rąbnął go w głowę buzdyanem. Krew i szara materia z rozłupanej czaszki obryzgały wszystko dookoła.

Kapłan odwrócił się i zobaczył, jak golem podnosi za gardła dwóch elfów. Konstrukt spojrział na niego, a potem zmiażdżył tchawice obu wojowników i cisnął ich okrwawione ciała na pozostałych dwóch, wciąż walczących z Adrysem.

- Pomóż Jhagrenowi! - krzyknął do niego Durgoth i pobiegł na pomoc młodemu mnichowi. Golem ruszył szybko do Jhagrena, a kapłan dostrzegł jeszcze kątem oka, jak elf tnie desperacko

mieczem potężną masę mięsa.

Wciąż oddalony o kilka jardów od Adrysa, Durgoth zobaczył, że uczeń przypada do ziemi i podcina najbliższego napastnika, przewracając go. Drugi ciął mieczem w dół, mając nadzieję przyszpilić mnicha do ziemi. Adrys zauważył to i kopnął w górę drugą nogą, wytrącając mu miecz. Durgoth dopadł wreszcie walczących i dobił elfa powalonego przed chwilą przez chłopaka.

Pewien, że ten poradzi sobie z jednym, nieuzbrojonym przeciwnikiem, kapłan odwrócił się z powrotem do dowódcy patrolu. Choć poobijany i krwawiący z kilku głębokich ran, dzielny elf odpierał cały czas ataki Jhagrena i golema. Kapłan z zaskoczeniem zobaczył rozcięcia na ciele swojego konstruktu, w miejscach, gdzie magiczny miecz przełamał jego obronę.

Zostawił walczących i rozkazał Eltanelowi zebrać kultystów i dopilnować, żeby żaden z łuczników ani elfów z patrolu nie przeżył. Złodziej pokiwał ponuro głową i odszedł wypełnić jego wolę.

Zduszony krzyk zwrócił uwagę Durgotha z powrotem na dowódcę. Jhagrenowi udało się wreszcie złamać mu rękę, w której trzymał miecz i zepchnąć go prosto w objęcia oczekującego golema. Dzielny elf szamotał się i wyrywał, ale potwór był o wiele za silny. Wojownik szarpnął się jeszcze słabo kilka razy, a potem ramiona golema wydusiły z niego życie. Martwy osunął się bezgłośnie na ziemię.

Durgoth stanął na środku traktu, krwawiąc z rany na ramieniu. Kręciło mu się w głowie i czuł się mocno poobijany. Przez kilka chwil słyszał charkot rannych, dobijanych przez Eltanela i kultystów, a potem nad lasem zapadła cisza. Kapłan rozejrzał się dookoła zmartwionym wzrokiem. Czuł się, jakby cisza ta go przygniatała, a sam las przewiercał wzrokiem.

A potem niespodziewanie się roześmiał. Z początku cicho, później głośniejszymi wybuchami wesołości, które niosły się echem nad traktem. Zobaczył, że kilku wiernych przygląda mu się z wyrazem troski na twarzy i z jakiegoś powodu wydało mu się to jeszcze śmieszniejsze. Rechotał tak przez kilka chwil, aż podszedł do niego Jhagren, najwyraźniej czekając na rozkazy. Durgoth otarł łzy i zaczął się opanowywać.

- Jhagrenie - powiedział, dysząc ciężko. - Zbierzcie wszystkie trupy i załadujcie je na drugi wóz. Dopilnujcie, żeby schować, zebrać albo zatrzeć wszystkie ślady tej bitwy. I zróbcie to szybko.

Mnich kiwnął głową i odbiegł. Durgoth otarł ostatnią łzę i złożył dziękczynną modlitwę Tharizdunowi. Musieli teraz działać szybko. Kiedy elfy odkryją ich podstęp, wyślą pościg. Wyprawa musi tylko wydostać się z tego przeklętego lasu - wtedy nic już nie stanie im na drodze do klucza.

Kapłan odwrócił się do wozów i ruszył przez pobojowisko. Oczy zabitych patrzyły na niego oskarżycielsko.

Zignorował je.



Stała zapłonęła w słońcu srebrnym płomieniem, kiedy Kaerion wznosił ostrze, by sparować nadlatujący cios. Zaklął - siła uderzenia wstrząsnęła jego osłabionymi gorączką mięśniami i ścięgnami. Dał krok do przodu i trochę na prawo od przeciwnika, pozwalając jego mieczowi zepchnąć swój do ziemi. W ostatniej chwili cofnął ostrze i odskoczył, mając nadzieję złapać oddech.

Po twarzy spływał mu pot, szczypiąc w oczy i zostawiając słony posmak na wydętych w grymasie złości ustach. Kaerion zamienił swoją zwykłą koszulkę kolczą na skórzany pancerz, a mimo to czuł się, jakby walczył w pełnej płycie. Jego ramiona i kolana protestowały bólem, a płuca chrapliwie i z wysiłkiem wciągały powietrze. Czuł się, jakby miażdżyła go w uścisku łapa jakiegoś olbrzyma.

Przekłęta choroba, pomyślał, nie spuszczać wzroku z przeciwnika. Odkąd opuścili gęstwinę puszczy Rieu, zaczęły wracać mu siły, z początku powoli, potem coraz szybciej. Przechadzki z Gerwythem przerodziły się w długie, wyczerpujące konne przejażdżki. Skutki blisko dwumiesięcznej choroby poddawały się ciepłemu, wiosennemu wiatrowi i surowemu urokowi krajobrazu Sunndi. Karawana parła przed siebie, w końcu zjeżdżając w dół, w wilgotne objęcia doliny Rzeki Szczęśliwej Łapy i jej gęstych drzew i zarośli. Kaerion zaczął ćwiczenia z bronią, początkowo sam, potem z każdym, kto chciał się z nim spróbować. I tak oto od skraju Przepastnego Bagniska dzieliło ich zaledwie kilka dni podróży, a on wciąż nie był w najlepszej formie.

Chrząknął i poprawił uchwyt dłoni na rękojeści miecza. Nadgarstek pulsował mu bólem, którego nie czuł od czasów nauk pobieranych jako giermek. Miał tylko nadzieję, że wracające siły wystarczą mu do obrony towarzyszy.

- Uważaj! - krzyknął Gerwyth, udając mistrza szermierki besztającego nowego ucznia.

Grupka strażników, zjawiająca się z zaskakującą regularnością na tych codziennych sesjach, wybuchnęła śmiechem i gwizdami. Niektórzy z nich przychodzili zmierzyć się z odzyskującym siły wojownikiem, większość jednak chciała popatrzeć, jak dwóch mistrzów miecza demonstruje swoje zapierające dech w piersiach umiejętności.

Zmęczony Kaerion spojrzął na nich wrogo, strażnicy nie przestali jednak pokrzykiwać.

Niektórzy nawet dawali mu dobre rady, jak ma stać i jak trzymać miecz. Skrzywił się i pokręcił głową. Oficjalne początkowo stosunki między eskortą a resztą wyprawy zamieniły się po przebytych milach i wspólnemu stawianiu czoła niebezpieczeństwom w swobodne koleżeństwo. Czasami jednak Kaerion tęsknił za układem z początku ekspedycji.

- Jesteś wreszcie gotów się poddać, starcze? — zawołał Gerwyth. - Zrozumiem, jeśli ulegniesz swej delikatnej naturze.

Zebrani strażnicy wybuchnęli na te słowa jeszcze głośniejszym śmiechem - śmiechem, który ucichł, kiedy Kaerion zebrał resztki sił i z prędkością błyskawicy zaatakował. Brzęk stali wypełnił niedużą polanę, kiedy przeciwnicy wymieniali ciosy niemal zbyt szybkie, by mogło je śledzić ludzkie oko.

Kaerion napierał, plotąc przed sobą sieć całowanej słońcem stali i próbując wykorzystać przewagę masy. Z czoła lał mu się pot, ale zignorował go, skupiając się tylko i wyłącznie na przeciwniku. Elf bronił się niemal doskonale, odbijając każdy cios wojownika z oszczędnym wdziękiem. Kaerion czuł, że traci siły. Desperacko wypatrywał u Gerwytha jakiegokolwiek słabości, jakiegokolwiek pomyłki - wiedział bowiem że musi zakończyć to starcie w przeciągu najbliższych kilku chwil.

Okazja nadarzyła się, kiedy wymierzył w głowę elfa poziome cięcie. Lata walki u boku tropiciela pozwoliły mu poznać jego styl walki prawie tak samo dobrze jak swój. Łatwo było więc przewidzieć, jak Gerwyth zareaguje na cios w głowę. Elf padł na kolana, skąd zamierzał wyprowadzić śmiertelne pchnięcie w nieosłonięty brzuch przeciwnika.

Kaerion przesunął stopy i zmienił kierunek ataku, kiedy tylko Gerwyth zaczął wykonywać obronny manewr. Jego ostrze cięło w dół, trafiając w miecz elfa i wbijając jego czubek w ziemię. Zanim tropiciel zdążył zareagować, Kaerion kopnął go w pierś. Gerwyth runął na plecy, wypuszczając broń. Wojownik przyskoczył do niego i przyłożył mu miecz do gardła.

Na polanie zapadła cisza, przerywana tylko ciężkim dyszeniem Kaeriona. Obaj zamarli w bezruchu na kilka chwil, mierząc się płomiennym spojrzeniem.

- Dość nieelegancko zrobione - stwierdził Gerwyth - ale skuteczne.

Zebrani strażnicy zaczęli wiwatować, a Kaerion usłyszał dźwięk zmieniających właścicieli monet. Mimo własnej niechęci do hazardu nie mógł powstrzymać się od złośliwego uśmiechu. Nie był zaskoczony widząc, że taki sam uśmiech pojawił się na twarzy Gerwytha, który wyciągnął do niego rękę, chcąc, by pomóc mu wstać.

Uśmiech ten nie zniknął, kiedy przepychali się przez stłoczonych najemników, gratulujących i żartujących zarówno ze zwycięzcy, jak i pokonanego. Kaerion przyjmował wyrazy uznania, wzruszając ramionami i zmagając się z paskami przepoconej zbroi.

- Dobrze walczyłeś - powiedział Gerwyth zupełnie nie zrażony przegraną. Prowadził

zmęczonego wojownika wąską ścieżką odchodzącą od polany. - Myślę, że jesteś już prawie zupełnie zdrow.

Kaerion tylko chrząknął na te słowa, pochłonięty ściąganiem w marszu przekłętego najwyraźniej pancerza.

- Mówię poważnie, Kaer - powiedział Gerwyth, odwracając się, by mu pomóc. - Mogę ci teraz powiedzieć, że bardzo się o ciebie martwiłem. Nigdy nic takiego nie widziałem -nawet magia nie pomagała. A Galadorn... cóż, powiedzmy tylko, że wywołał spore zamieszanie. - Ostatnie słowa zostały wycedzone przez zaciśnięte zęby, elf bowiem szarpał się z ostatnią zapinką.

Kaerion westchnął z ulgą, szczęśliwy, że zrzucił wreszcie z siebie gruby, skórzany pancerz i przeszywanicę, które nosił przez ostatnią godzinę. Chciał również odciągnąć Gerwytha od nieprzyjemnego tematu. Kilka tygodni wysiłku na słońcu pokryło jego pobladłą skórę ciemną, równą opalenizną, od której odcinały się tylko stare blizny. Przeciągnął się, rozkoszując chłodem wiatru na piersi, ramionach i plecach, a potem klepnął elfa poufale w ramię.

- Rozumiem, Ger - powiedział - i doceniam wszystko, co dla mnie zrobiłeś. Ale... - przerwał, nie potrafiąc głośno wyrazić tego, co myślał. Był naprawdę wzruszony i wdzięczny za towarzystwo elfa. Nawet gdyby wcześniej nie domyślał się, co ich łączyło, zachowanie Gerwytha, kiedy on leżał złamany chorobą, dobitnie mu to ukazywało. Jakaś część jego duszy wciąż jednak cierpiała od żalu, który przez ostatnie dziesięć lat próbował utopić w piwie i gorzałce. Chociaż był zaskoczony, że jego pozostali towarzysze jeszcze go nie zdemaskowali, czekał ze strachem na chwilę prawdy - chwilę, kiedy wiadomość o tym, czego się dopuścił, będzie mogła zdruzgotać kruchy spokój, jaki udało mu się osiągnąć, a jego nowi przyjaciele będą mieli okazję się go wyrzec. Nie. Nie był jeszcze gotów stanąć z nimi twarzą w twarz.

Elf zdawał się wyczuwać jego nastrój i uniósł w uśmiechu kąciki ust.

- Nie, to ja rozumiem, Kaerionie - powiedział cicho. Potem dodał głośniejszym głosem - Pójdź, mój nieskomplikowany przyjacielu! Zobaczmy, czy umiesz rozpędzić to swoje cielsko tak samo jak gębę. - Wskazał na ścieżkę. Dochodzący z dala bulgot strumienia obiecywał ulgę od bezlitosnego upału popołudnia. - Pierwszy w strumieniu przynosi obiad przegranemu - zaproponował i zniknął za zakrętem.

Kaerion zaklął i cisnął zbroję na ziemię. Kilka chwil później on i Gerwyth siłowali się na brzegu strumienia, ogłaszając przeciwnika przegranym. Tropiciel podstawił Kaerionowi nogę i popchnął go, mając nadzieję przewrócić mniej zwinnego człowieka, uparty wojownik jednak nie puścił i obaj z pluskiem wpadli do wody.

- To niesprawiedliwe! - zagulgotał Kaerion.

Zatkało go, kiedy chlupnął w lodowatą wodę, odbił to sobie jednak, chlustając nią w twarz elfa. Widok tropiciela, normalnie nieskazitelnego, teraz z włosami przyklejonymi do głowy i wodą

cieknącą z uszu był tak komiczny, że Kaerion nie mógł opanować śmiechu przez kilka dłuższych chwil.

- Wygląda na to - powiedział Gerwyth, po raz trzeci bezskutecznie próbując uciszyć chichoczącego przyjaciela surowym spojrzeniem - że słońce i wiosenny wiatr wyleczyły coś więcej niż tylko twoją chorobę.

Kaerion spowaźniał i spojrzał w zamyśleniu na elfa.

- Daj spokój, Ger — powiedział po chwili, ale uśmiechnął się. Nie był jeszcze gotów o tym rozmawiać, nie sposób jednak było złościć się na elfa, który wyglądał jak zasuszone winogrono. Wkrótce powrócił śmiech, a wraz z nim kolejna runda chlapania. Nadbrzeżne drzewa i krzewy spłynęły wodą.

- No, teraz rozumiem, dlaczego Phathas nalegał, żebyśmy wynajęli was jako przewodników i ochronę - przedał się czyjś głos przez odgłosy bitwy. - Nie mamy się czego obawiać, skoro wy dwaj macie nas bronić.

Kaerion przerwał walkę i odwrócił się z przerażeniem w stronę źródła głosu. Majandra stała oparta swobodnie o drzewo, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami i uniesioną brwią. Wojownik otworzył usta, żeby coś powiedzieć - cokolwiek - i prawie się zakrztusił, kiedy Gerwyth bryznął mu wodą w twarz.

- Czy szlachetna dama życzy sobie przyłączyć się do mych zmaganiań ze złem? - spytał elf, kiedy Kaerion parsknął i kaszłał, próbując pozbyć się wody z gardła i płuc. Wojownik usłyszał w głosie elfa nutkę zazdrości i zwalczył falę rozdrażnienia. Sam był zaskoczony ulgą, którą poczuł, kiedy bardka odmówiła, wymawiając się obowiązkami.

- I was dwóch też się to tyczy - powiedziała, wciąż z wesołością w głosie. - Phathas chce, żebyście obaj sprawdzili jeszcze raz zapasy, które bierzemy ze sobą na bagna. „Nie ma sensu jechać taki kawał tylko po to, żeby zagłębić się w Przepastne Bagnisko bez potrzebnych rzeczy” - bardka idealnie oddała pouczający ton starego maga, a Kaerion uśmiechnął się pomimo spływającej z twarzy wody.

- Za chwilę przyjdziemy, Majandro - powiedział, w końcu przewyciężywszy efekty ostatniego ataku Gerwytha.

- Mam nadzieję - odparła z uśmiechem i ruszyła z powrotem ścieżką w stronę polany. - Nie chciałabym w tej chwili podpaść Phathasowi. Robi się zupełnie niemożliwy, kiedy jest blisko celu.

Kaerion spojrzał za nią, a ona odwróciła się szybko i odwzajemniła spojrzenie, uśmiechając się jeszcze szerzej. Wojownik potrząsnął głową nad swoją nieostrożnością i w końcu wstał. Gerwyth zdążył już wyjść na brzeg i zakładał właśnie swoje miękkie, skórzane buty. Kiedy Kaerion do niego dołączył, tropiciel był całkowicie ubrany - wzruszył przepaszając ramionami i poczekał.

Kaerion machnął ręką.

- Nie czekaj na mnie, Ger - powiedział. - Zaraz przyjdę. Elf kiwnął głową i uśmiechnął się znów złośliwie.

- Tylko nie marudź za długo. Nie uśmiecha mi się przez całe popołudnie ryć w tych cuchnących wozach.

Wojownik uśmiechnął się i popchnął go żartobliwie w stronę ścieżki.

- Mówię ci, zaraz przyjdę - powiedział. - Zresztą i tak sam sobie nie dasz rady, bo nie policzysz do więcej niż dziesięciu.

Elf zaśmiał się i ruszył w stronę polany, zostawiając Kaeriona samego. Wojownik stał przez chwilę w bezruchu, napawając się bogatym aromatem zapachów doliny. Kiedy dotarł do miejsca, w którym porzucił swoją zbroję, słońce go już prawie wysuszyło. Skóra na całym ciele wydawała mu się teraz ściągnięta i lekko swędząca.

Nachylając się i zbierając pospiesznie zrzucone elementy zbroi, zastanowił się nad słowami przyjaciela. Może przyjaźnie, które zawarł i spokój ostatnich kilku tygodni dokonały tego, czego nie potrafiło dokonać dziesięć długich lat? Przed chwilą prawie się przyznał Gerwythowi, że wciąż bardzo żałuje tego, co zrobił. A mimo to odkąd wyzdrowiał, nawet go nie kusiło, by utopić ten żal w tanim winie. Czuł stare rany wyraźnie, ale nie były już tak świeże.

Co więcej, raz odwinął nawet Galadorna i zaczął mu się przyglądać. Chciał, by miecz okazał jakieś oznaki życia, pomógł wyjaśnić to, co zaszło na nyrondzkiej równinie. Starożytne ostrze reprezentowało wszystko, co stracił, a mimo to ostatnio gładził palcem jego rękojeść, marząc, by znów poczuć w rękach jego ciężar.

Kiedy dotarł w końcu do obozu, pogrążony był w rozmyślaniach. Patrzył na witające go twarze i widział przyjaźń, dobry humor, a nawet szacunek - coś, o czym nawet już nie marzył. Może Gerwyth miał rację. Może nadeszła pora, by stawić żalowi czoła raz na zawsze. Elf okazał się prawdziwym przyjacielem i zaakceptował go z wszystkimi jego przywarami. Może nowi towarzysze zrobią to samo. Kaerion ruszył do środka obozu, czując większy spokój, niż zdarzyło mu się to od bardzo dawna...

I zeszywniał, napotykając intensywne spojrzenie Vaxora. Heironeusejski kapłan wyszedł z jednego z wozów i przeszył Kaeriona podejrzliwym wzrokiem. Jego pobrużdżona twarz i zaciśnięte zęby przypominały wojownikowi posąg Heironeusa, czyniącego sprawiedliwość w Wysokiej Świątyni w Critwall. W oczach kapłana widać było potępienie i osąd, i gniew za bezczelność, z którą Kaerion próbował uzurpować sobie równe miejsce wśród tych, których nie był wart.

Wojownik zadrzał pod tym spojrzeniem, jakby polanę owiał najzimniejszy zimowy wiatr. W jednej chwili zrozumiał, że wszystkie jego nadzieje i wyobrażenia są niczym więcej właśnie, jak tylko mrzonkami. Potknął się prawie, kiedy za serce ścisnęły go znajome, zimne ręce rozpacz, a całe ciało rozboleło od mięśni wyczerpanych całodziennym wysiłkiem i zanurzeniem w zimnej

wodzie.

Pospiesznie odwracając wzrok zarzucił na grzbiet starą koszulę i wepchnął ją w spodnie, jakby to była najpewniejsza ze zbroi. Był głupcem, myśląc, że może doczekać się wybaczenia. Przeklętym głupcem. Drugi raz nie zrobi tego samego błędu.



Kaerion otarł z czoła grube krople potu i spojrzał na rozciągający się przed nim bezmiar mokradeł. Błotnisty grunt porastały gęste połacie ostrych traw, a pomiędzy nich strzelały w górę skupiska sosen i cyprysów. Tu i ówdzie dawały się zauważyć jaskrawe, kolorowe liście drzew manga, tak pospolitych na półwyspie Tilvanot. Kaerion kątem oka dostrzegł jakieś poruszenie i zmrużył oczy przed rażącym słońcem odbijającym się od powierzchni słonego bagna.

Nic.

Mokradła spowijała napięta cisza, przerywana tylko dobiegającymi z oddali ostrymi krzykami jakiegoś ptaka. Powietrze ciążyło jak gęsty i cuchnący całun. Gdzieś w czarnym sercu tej strasznej krainy znajdował się starożytny grobowiec jednego z najpotężniejszych i otoczonych najgorszą sławą czarodziejów. Kaerion zadrzał pomimo duszącego upału. Dolina w Sunndi była spokojna, prawie że błoga w swoim wiosennym splendorze. Powolny, równy marsz karawany sprawiał mu wtedy przyjemność, ale to - prawie odżegnał się od uroku - to było coś zupełnie innego.

- Piękny widok, prawda? - usłyszał za sobą głos Majandry.

Odwrócił się do niej, wzruszając ramionami.

- Nie użyłbym tego słowa, pani, ale w końcu nie jestem bardem - powiedział z uśmiechem - a w mych żyłach nie płynie elfia krew.

Majandra parsknęła śmiechem, a Kaerion poczuł, że cały promienieje. Zachwyty półelfki nad pięknem przyrody stały się dyżurnym tematem żartów, podobnie jak jej długie spacerzy z Gerwythem, podczas których rozmawiali ze sobą po elfiemu. Na myśl o tym Kaerion poczuł irracjonalne ukłucie zazdrości. Odetchnął głęboko, by się go pozbyć.

Bezskutecznie.

Półelfka patrzyła na niego przez chwilę, a potem na jej twarzy ponownie pojawił się uśmiech. Kaerion zauważył ze zdumieniem, że jej wystawiona na słońce skóra nabrała złotobrazowej opalenizny, a nos pokrył się piegami. Dlaczego wcześniej tego nie widział?

- Nie, mój drogi Kaerionie, na pewno nie jesteś bardem - powiedziała Majandra, przerywając jego rozmyślenia - ani elfem. - Zaśmiała się. - Ale nawet ludzie mają swoje tajemnice.

Powiedziała to cicho, prawie pytająco, a Kaerion znów patrzył w jej złote oczy, przeszywane

niemal w swojej szczerości, uwięziony między chęcią odsłonięcia przed nią swej prawdziwej twarzy a potrzebą ucieczki.

Rozsądek zwyciężył.

Kaerion kaszlnął i odwrócił wzrok. Miał zbyt wiele do stracenia, by ulegać głupim nastrojom. Wyminał bardkę i wymamrotał coś o wracaniu do Phathasa i pozostałych.

Majandra usunęła mu się z drogi. Jeśli uraziła ją jego nieuprzejmość, nie okazała tego.

- Phathas jest w środku obozu, przy wozach, Gerwyth i reszta razem z nim - powiedziała, ruszając za nim. - Mag wysłał mnie po ciebie - dodała.

Kiedy zbliżyli się do obozu, Kaerion usłyszał gwar prac. Phathas rano wysłał wszystkich do zwalania rosnących gęsto w dolinie grubych drzew. Powiązane ze sobą miały utworzyć prymitywne tratwy. Kaerion uśmiechnął się, przypomniawszy sobie swoje obawy. Tratwy były idealne do podróży przez głębsze partie bagien, ale na nierównym i zarośniętym terenie nie mogły się przydać do niczego. Mag pokazał mu wtedy kilka gładkich, okrągłych kamieni i powiedział, że przymocowane do tratw sprawią, że te będą unosić się kilka stóp nad ziemią.

Dotarwszy do skraju obozowiska, Kaerion zobaczył, że wycinające drzewa ekipy nie próżnowały. Kilka tratw już wykończono, do obozu napływały zaś równomiernie kolejne transporty drewna. Do pracy zagoniono przewodników i poganiaczy; mężczyźni i kobiety działali w wydzielonych grupach. Większość z nich zrzuciła wierzchnie tuniki i koszule oraz owinęła czymś głowy, by chronić je przed słońcem. Nagie plecy i ramiona lśniły od potu.

Gerwyth zauważył Kaeriona z Majandrą i pomachał im spod małego, brezentowego zadaszania między kilkoma ustawionymi w koło wozami. Kiedy oboje podeszli bliżej, zastali Phathasa nachylonego nad solidną, płócienną mapą, którą posługiwali się podczas całej dotychczasowej podróży. Pozostali skinęli im głowami, zachowali jednak milczenie, najwyraźniej czekając, aż stary mag zakończy swoje oględziny. Srebrnowłosa czarodziej mamrotał coś cicho do siebie, przesuwając sękatym palcem po mapie i nie zwracając uwagi na palący upał.

- Jak tratwy, Vaxorze? - spytał, nie odrywając wzroku od przedmiotu swojego zainteresowania.

Kapłan skończył pić wodę z bukłaka, zanim odpowiedział.

- Trzy są już gotowe - zagrzmiął swoim niskim głosem. - Pozostałe powinny być ukończone przed zmrokiem.

Kaerion zerkał na niego ukradkiem. Mimo skwaru Vaxor miał na sobie kolczugę, symbol swojego urzędu taki sam, jak wisząca na jego szyi, lśniącą w słońcu srebrna błyskawica.

- Proponuję wystawić podwójne straże, kiedy zakończymy budowę tratw. Mam złe przeczucia. Nie wiadomo, jaki stwór może się tu błąkać, szukając kłopotów. - Odwrócił się do pozostałych. - Gerwyth, Bredeth, wam dwóm zostawiam przekazanie moich rozkazów Landrze i dopilnowanie, żeby je wykonała.

Elf kiwnął głową, ale Kaerion prawie wybuchnął śmiechem na widok buntowniczego wyrazu twarzy młodego szlachcica. Wychowanie Bredetha najwyraźniej nie przygotowało go do wymogów ich podróży. W przeciwieństwie do reszty grupy jego skóra poczerwieniała i łuszczyła się od słońca i nawet gęsta maść, którą dał mu Vaxor, nie pomagała na jego oparzenia - ani na wybuchowy temperament.

Phathas wstał i potoczył spojrzeniem po zebranych. Jeśli zadowolili go raport Vaxora, nie okazał tego. Potarł kark i powiedział, co myśli.

- Mamy jeszcze dużo do zrobienia, zanim wkroczymy na Przepastne Bagnisko, a zostało nam niewiele czasu. Według moich obliczeń od grobowca Acereraka dzieli nas od dziesięciu do czternastu dni wędrówki, zakładając, że uda nam się ominąć największe niebezpieczeństwa tej przeklętej krainy. - Wskazał palcem Majandrę. - Chcę, żebyś zajęła się rozdzieleniem ładunku na poszczególne tratwy. Nie zapomnij zabrać ziół i maści, które przygotowaliśmy na wypadek zranień. Nie będę marnował modlitw Vaxora na ukąszenia owadów i skręcone kostki tych, którym nie chciało się patrzeć, gdzie stawiają nogi.

Majandra uśmiechnęła się do maga, a Kaerion ku własnej irytacji zaczął się zastanawiać, jak samemu wywołać u niej taki uśmiech. Przerwał te rozmyślania, kiedy czarodziej wymienił jego imię.

- Tak, ty - prychnął Phathas. - Skup się, chłopcze. Nie mam całego dnia, żeby to wszystko powtarzać. Masz wziąć te kamienie - otworzył dłoń, pokazując zaczarowane kamienie, o których mówił wcześniej - i przymocować je porządnie do spodów tratw. Jeśli tratwy od razu nie uniosą się w powietrze... - Ton maga wskazywał jasno, że może się to zdarzyć tylko i wyłącznie z winy jakichś błędów Kaeriona. - ... masz natychmiast mnie odszukać.

- Tak, panie - powiedział wojownik, zastanawiając się, kiedy zaczął się czuć jak giermek - dawno temu, pod czujnym okiem sir Trindana. Zauważył spojrzenie Gerwytha i zdał sobie sprawę, że jego mrugnięcie było wyrazem najwyższego rozbawienia całą sytuacją.

W tym momencie znów odezwał się Vaxor.

- Jutro zagłębimy się w Przepastne Bagnisko. Zostawimy na jego skraju poganiaczy i sześciu najemników na straży wozów. Na bagnach największe zagrożenie będą stanowili dla nas jaszczuroludzie, którzy uważają tę krainę za swoje tereny. Rozmawiałem z Gerwythem i obaj doszliśmy do wniosku, że trzymając się kierunku wytyczonego na mapie, unikniemy większości niebezpieczeństw. Ale bądźcie czujni. I nie udawajcie bohaterów. - Tej ostatniej uwadze towarzyszyło ponure spojrzenie na Bredetha. Zanim jednak szlachcic zdołał wyrazić jakikolwiek protest, kapłan uciszył go gestem, zręcznie kreśląc w powietrzu tradycyjne błogosławieństwo Heironeusa.

- Niech Mężny Rycerz czuwa nad każdym z nas - powiedział dziwnie łagodnym głosem.

Kaerion stał zupełnie nieruchomo, mając nadzieję, że nikt nie zauważy jego braku odpowiedzi na błogosławieństwo. Minęło zbyt wiele lat, odkąd po raz ostatni słyszał słowa rytuału błogosławieństwa, a jeszcze więcej, odkąd w nie wierzył. Kiedy grupa rozeszła się do swoich obowiązków, znów poczuł na sobie spojrzenie kapłana. Czy Vaxor dostrzegł jego reakcję? Kaerion odszedł pospiesznie w przeciwnym kierunku, pragnąc jak najszybciej zejść kapłanowi z oczu.

Przed jutrzejszym dniem faktycznie było bardzo dużo do zrobienia. I wiele do przemyślenia, pomyślał Kaerion, przypominając sobie uśmiechniętą twarz półelfki. Wypchnął z umysłu obraz bardki. Po kolei, nie wszystko na raz, pomyślał i ruszył w stronę pierwszej tratwy.

* * *

Durgoth Shem przeklął upał i elfy - niekoniecznie w tej kolejności - przyglądając się leżącemu przed nim obozowi. Wyglądając zza gęstego krzaka, widział ustawione w okrąg wozy, rozmieszczone tak, by ich mieszkańcy byli jak najbardziej osłonięci, a wokół nich strażę. Nigdzie nie było śladu jego głównej ofiary.

Zaklął raz jeszcze stłumionym głosem i zwalczył chęć, by wysłać do obozu golema i pozabijać wszystkich tych głupców. Ich krew ugasiłaby jego gniew, ale nie pomogłaby nadrobić straconego czasu. Starcie z tymi żalonymi druidami opóźniło jego wyprawę, ale całą sytuację pogorszyła jeszcze pozornie nieskończona liczba elfich patroli, które tropiły ich aż do Sunndi. Może poprosi Mrocznego, by pozwolił mu popatrzeć, kiedy będzie wyrzynał elfy i ich nędznych bożków. Tak, pomyślał, to prawie wynagrodzi mu niedogodności, które sprawiły mu te przeklęte kreatury.

Coś zaszeleściło w zaroślach po lewej, a po chwili wyłonił się z nich Eltanel. Złodziej zdjął czarny kaptur i skłonił się niedbale. Durgoth skrzywił się na tę bezczelność, lecz dał ręką znak, że chce wysłuchać, co mężczyzna ma do powiedzenia.

- Byłem w ich obozie, błogosławiony - powiedział Eltanel. Mówił z lekką intonacją kogoś, kto przywykł do porozumiewania się ukradkiem w ciemnych zaułkach i na dachach Rel Mord. - Wystawili regularne strażę i najprawdopodobniej zamierzają je utrzymywać całą noc.

- Tyle sam widzę, głupcze - syknął Durgoth przez zaciśnięte zęby, żalując nie po raz pierwszy, że będzie musiał polegać na umiejętnościach złodzieja, chcąc ominąć co groźniejsze niespodzianki czyhające w grobowcu Acereraka na nieostrożnych. - Mów, co z tym przeklętym magiem i jego przygłupimi sługusami.

Eltanel drgnął, ale zmierzył kapłana spokojnym wzrokiem.

- Podśledzałem rozmowę dwóch strażników. Ich ekspedycja wyruszyła dwa dni temu, kierując

się na południe, a potem na wschód, w głąb Przepastnego Bagniska. Niewielką grupą powinniśmy bez trudu ich dogonić.

- To dobrze - odparł Durgoth. Ucieszyły go te wieści, ale nie zamierzał zdradzać się z tym przed złodziejem. Niech dalej próbuje zgadywać, kto akurat cieszy się łaską kapłana. Taka taktyka była najskuteczniejsza w przypadku ludzi takich jak Eltanel. — Wróc do naszych wozów i powiedz Jhagrenowi, że chcę z nim pomówić. Dopilnuj, żeby przygotował niewielką grupę wiernych, którzy ruszą z nami dalej. Będziemy musieli się spieszyć, jeśli chcemy dotrzymać kroku tym nyrondzkim głupcom.

Złodziej kiwnął głową i zniknął w zaroślach. Durgoth patrzył za nim przez chwilę, a potem odwrócił się z powrotem do obozowiska. Wzrok miał przeszywający jak śmiertelnie groźne bagienne pantery, polujące ponoć w sercu Przepastnego Bagniska.

Kiedy wrócił do własnego obozu, uspokoił się na tyle że nie traktował już upału jak osobistej zniewagi - choć nie potrafił do końca stłumić rozdrażnienia, widząc, że kłaniający mu się Jhagren wydaje się nieporuszony uciążliwą pogodą.

- Otrzymałeś wieści od Eltanela? - spytał, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę i zdjąć wreszcie przepecone szaty.

- Tak, błogosławiony - odparł mnich - i zająłem do przepowiedni proroka. - Rozwinął cienki pergamin, na którym wyrysowano prymitywną mapę. - Możemy wejść na bagna w miejscu odległym o dzień drogi na wschód - wskazał czarny znaczek na zwoju - a potem ruszyć na południe. Jeśli twoje tłumaczenie słów proroka jest dokładne, powinniśmy spotkać się z nyrondzką ekspedycją za cztery do pięciu dni.

Durgoth pogładził się po brodzie, ignorując uszczypliwą uwagę mnicha. To był dobry plan, oferujący najlepszą szansę nadrobienia straconego czasu. Tym razem bezczelność miała ujść Jhagrenowi na sucho - ale nie zawsze tak będzie. Nie, jego oddanie Szkarłatnemu Bractwu nie uratuje go, kiedy pan Durgotha rzuci cały świat do swych stóp. Kapłan zadrżał niemal z rozkoszy na tę myśl, wiedział jednak, że nie pora teraz myśleć o niedoszłym zwycięstwie. Wciąż pozostawało bardzo dużo do zrobienia. Zabrał mapę mnichowi i ruszył do swojego wozu.

- Dokończ przygotowania do podróży! - krzyknął do Jhagrena, nie oglądając się. - Wyruszamy o brzasku. I przyślij do mojego wozu młodego Adrysa. Muszę odpocząć od tego przeklętego skwaru. Durgothowi było tak pilno ukryć się przed palącym słońcem, że nie dostrzegł grymasu, który wykrzywił twarz Jhagrena i zaraz zniknął. - Będzie tak, jak chcesz, błogosławiony - powiedział mnich, ale Durgoth zatrzasnął już drzwi swojego wozu.



Majandra znów potknęła się o splątaną kępę roślin porastających rozciągające się dookoła bagno. Złapała szybko opancerzone ramię Vaxora, by nie upaść twarzą w błoto, zdążyła jednak nadwreżyć sobie kostkę. Ból wy dobył z jej ust dość nieprzystojne przekleństwo. Uśmiechnęła się ze znużeniem do kapłana i wzruszyła przepraszająco ramionami, kiedy ten spojrział na nią z troską. Heironeusejski kapłan nic nie powiedział, za co Majandra była mu wdzięczna. Nie sądziła, by miała siłę na rozmowę.

Wyprawa już od kilku dni przedzierała się przez zdradliwe Przepastne Bagnisko, uważając na głębiny, ruchome piaski i drapieżne rośliny, najczęściej spotykane elementy miejscowej geografii. Dwa razy walczyli z bezkształtnymi potworami przypominającymi aligatory z grubymi, nietoperzymi skrzydłami, a raz musieli ratować jednego z członków ekspedycji, porwanego przez pnącze-dusiciela. Wszyscy padali ze zmęczenia i mieli czerwone od potu i wyczerpania oczy. Dni spędzone na ciągnięciu kwitujących tratw w pełnym słońcu, unikając jednocześnie patroli jaszczuroludzi, odcisnęły na małej grupie swoje piętno.

Nawet niezmordowany Vaxor zwolnił kroku. Widząc go z bliska, Majandra zauważyła na jego twarzy zmarszczki, które niczym pajęczne sieci otaczały jego oczy i usta. Była mu wdzięczna, że nakłonił Phathasa do odpoczynku na jednej z tratw. Mag powiedział wtedy kilka ostrych słów, w końcu jednak uległ. Majandra miała nadzieję, że jest mu wygodnie. Bagno nie było miejscem dla człowieka, który dobiegał kresu swoich dni - nawet jeśli człowiekiem tym był jeden z najślawniejszych czarodziejów Nyrondu. W oddali rozbrzmiał kaszlący ryk jakiegoś wielkiego drapieżnika i bardka mimowolnie zadrżała. Dla wszystkich było jasne, że nie przetrwaliby na mokradłach nawet dnia, gdyby nie przewodnictwo Gerwytha. Elf posiadał niesamowitą zdolność wybierania najszybszych i najłatwiejszych dróg w labiryncie cuchnących bajor i powykęcanych drzew, a jego doświadczenie pozwoliło im już zgubić jeden patrol jaszczuroludzi. Nawet w tej chwili Majandra widziała w oddali smukłą sylwetkę niezmordowanie prowadzącego wyprawę do celu tropiciela.

Jak zwykle myślenie o Gerwycie przywołało obraz jego czarnowłosego towarzysza, a półelfka poczuła, jak po jej ciele rozchodzi się ciepło zupełnie innego rodzaju. Nie chodziło tylko o

przystojną twarz i muskularne ciało wojownika- chociaż skłamałaby, twierdząc, że nie pociągał jej fizycznie - ani o spowijającą go mgiełkę tajemniczości. Przynajmniej już nie. Majandra zauważyła, że w czasie podróży Kaerion się zmienił. Gniew i pogarda dla samego siebie, które skrywały się tuż pod powierzchnią jego zachowania, przyblakły, wypalone jego tajemniczą chorobą, a może w efekcie zawiązywania coraz bliższych więzów z resztą wyprawy.

Nie znaczyło to, że całkowicie doszedł do zdrowia ani że zniknęły jego gniew i żal, trzymające go w swych szczękach niczym rozwścieczony mastiff. Ludzie zmieniali się tak szybko tylko w marnych, zmyślonych opowieściach. Półelfka wyczuła jednak pod jego gojącymi się ranami iskrę prawdziwej duszy, a w iskrze tej była czystość wabiąca Majandrę jak kryształowe światło Luny świetlika.

Jej rozmyślenia przerwał cichy głos. Bardka odwróciła się i zobaczyła, że jeden z członków eskorty rozmawia z Vaxonem. Po chwili mężczyzna kiwnął głową i wrócił na stanowisko. Półelfka spojrzała pytająco na kapłana.

- Gerwyth dał znak, by się zatrzymać - powiedział Vaxor. - Wygląda na to, że ćwierć mili na południe stąd jest dogodnie do obrony wzniesienie, na którym możemy zatrzymać się na noc.

Majandra westchnęła cicho z ulgą i otarła z twarzy pot.

- Bogowie, ależ jestem zmęczona - powiedziała po chwili. - Przydałby mi się posiłek i kilka godzin snu.

- Jak nam wszystkim. — Vaxor położył jej rękę na ramieniu. - Chyba skorzystam z chwili przerwy i zobaczę, jak się czuje Phathas. Ten stary głupiec na pewno zlekceważył moje rady.

Kapłan uśmiechnął się i odszedł.

Majandra odkorkowała bukłak i wypila kilka łyków jego zawartości. Mimo że nagrany od słońca, cierpki napój splukał pot i metaliczny posmak z jej spieczonych ust. Jeszcze jeden łyk i Majandra przypięła bukłak z powrotem do pasa. Z westchnieniem otarła usta i spojrzała w wieczorne niebo. Słońce wisiało nad horyzontem jak wielka, pomarańczowa kula, a jego słabnące promienie tworzyły kałuże cienia między sękatymi, poskręcany drzewami i gęstą bagienną roślinnością.

Na lewo od Majandry przygięte pnie i poskręcane gałęzie drzew splatały się w ścianę grubą i nieprzebytą niczym forteczny mur, za nią zaś widać było rozciągające się wody jeziora, wzdłuż którego brzegów podróżowali cały dzień. W gasnącym świetle słońca jego nieruchoma powierzchnia płonęła niczym rozżarzone węgle niewiarygodnie olbrzymiego paleniska. Nawet z tej odległości Majandra czuła stęchły zapach zastałych wód, przesiąknięty ciężkim odorem rozkładu.

Pozostali przez cały dzień bez przerwy na to narzekali, bardce jednak prawie wcale nie przeszkadzał. Pod ostrym smrodem zgnilizny jej wyczulone, elfie zmysły wyczuły bogaty bukiet aromatów życia. To, co działo się w i nad brzegami stojącej wody, było kontynuacją cyklu tak

złożonego, delikatnego, a zarazem bezwzględnego, że Majandra czuła wzruszenie. To, co dla ludzi było okropnym smrodem, dla kogoś jej krwi stanowiło drzwi do komunii z czymś o wiele głębszym i bardziej tajemniczym, niż można wyrazić słowami.

Tutaj, nawet w śmiertelnym uścisku jednego z najniebezpieczniejszych miejsc świata, czuła się wolna. Jak będzie wyglądało jej życie, kiedy zakończą swoją misję i powrócą do zimnych, martwych murów Rel Mord? Nie umiała znaleźć odpowiedzi na to pytanie. Wiedziała tylko, że nie zależy jej na szybkim zakończeniu wyprawy.

Słaby szelest w zaroślach po lewej przykuł jej uwagę z powrotem do bieżących spraw. Powtórzył się, kiedy bardka przyjrzała się uważnie gęstej roślinności. Wstrzymała oddech. Mogłaby przysiąc, że pod poskręcanyimi korzeniami drzew manga zobaczyła parę wielkich, okrągłych ślepi, lśniących w świetle zachodzącego słońca. Przyjrzała się badawczo temu miejscu.

Nic.

Zakłęła, powtarzając sobie, że zachowuje się jak lękliwe dziecko. Zrzuciła plecak i ruszyła na przód szeregu. Kilka chwil później Gerwyth dał znak do wymarszu. Myśli o jedzeniu i spaniu pod gwiazdami wypędziły z głowy Majandry wszystko inne. Idąc miarowym, równym krokiem i starając się nie zgubić tempa, zapomniała szybko o przyglądających się jej spod krzaka dziwnych ślepiach.

Nad nią zamigotały gwiazdy, zalewając ziemię swoim zimnym ogniem.

* * *

Durgoth Shem spojrział z obrzydzeniem na siedzącego przy małym ognisku stwora. Jego plamista, żółtawa skóra drżała i pulsowała odrażająco w blasku płomieni. Na szczęście większą część humanoidalnej postaci okrywała przegniła, skórzana zbroja, choć wciąż było wyraźnie widać, że ramiona, nogi i żabi pysk istoty pokrywa warstwa śluzu. Jego pecyny co jakiś czas spływały z ciała bullywuga i z obrzydliwym odgłosem spadały na ziemię.

- Czego od nasz chcecie? - spytał stwór, przypatrując się ponuro kapłanowi swoimi wylupiającymi oczami. - Dlaczego nasz nie zniszczyliście?

Durgoth patrzył z obrzydzeniem i fascynacją na opuchnięty, długi język, wijący się w szerokim pysku bullywuga. Chociaż moc czaru pozwalała mu rozumieć bełkot, mlaski i piski mowy stwora, jego ludzkie ucho z trudem nadażało za niewyraźnie wymawianymi słowami.

W końcu, oderwawszy wzrok od odrażającej postaci, Durgoth rozejrzał się dookoła, spoglądając na zalegające wokół ognia stopy płazich ciał. Wokół kapłana stali Eltanel, Sydra, Jhagren i Adrys

oraz wystraszeni kultysty - ci, którzy pozostali przy życiu. Durgoth zerknął jeszcze w lewo, na golema, wciąż trzymającego w potężnych dłoniach połamany i zakrwawiony kręgosłup bullywuga.

Atak nadszedł niespodziewanie. Durgoth w pierwszej chwili uznał go za napaść wygłodzonego drapieżnika, to bowiem rzuciło się z gąszczu na ich szeregi. Reakcja zajęła obrońcom zaledwie kilka chwil i kudłata bestia była już martwa, kiedy spomiędzy drzew wyskoczyły człekokształtne postacie. W zamięcie starcia pojawiły się kolejne potwory. Kapłan widział, jak jeden z nich rzuca się na bullywugi, zabijając ich prawie tyle samo, co on i jego kultysty. Bitwa szybko się zakończyła i kilka stworów, w tym ten, który teraz kulił się przy ognisku, zostało wziętych żywcem.

- Nie zniszczyłem was - powiedział Durgoth - ponieważ sądzę, że ty i twoi kompani możecie mi się przydać.

Bullywug pokiwał łbem.

- Tak. Powiedz tylko Braggshowi, czego żądasz. Braggsh dopilnuje, żeby bracia Braggsha posłuchali.

Kapłan skrzywił się, słysząc żalosne skamlanie istoty. Obrzydliwe stwory, pomyślał, zastanawiając się, czy nie powinien ich wybić do reszty i mieć sprawę z głowy.

- To dobrze, Braggshu. Widzę, że się rozumiemy. Bardzo dobrze. W waszej krainie są inni obcy, około dnia marszu na wschód. Dopilnujcie, żeby żaden z nich nie uszedł z bagien żywcem.

Braggsh zamrugał powoli oczami.

- Tak. Braggsh wie, o kim mówisz. Prowadzi ich szpiczastouchy. Szprytny. Sztaw posztanowił ich przepuszczic. Za dużo kłopotu z zabijaniem.

- Chcę ich śmierci! - krzyknął Durgoth. - Czy to jasne?! Bullywug znów pokiwał łbem, a kapłan usłyszał wilgotne klaśnięcie, kiedy stwór przelykał ślinę. - Ale sztaw...

- Nic mnie nie obchodzi skamlanie twojego głupiego stawu! - krzyknął Durgoth. - Zrobicie, co wam każę, albo wyślę cały wasz staw na najsuchszy grunt pod południowym słońcem! Czy wyrażam się jasno?

Rozwinął pięść i wyciągnął rękę przed siebie. Szepcząc modlitwę, skierował w nią drobną część mocy swego boga. Prerażonego bullywuga dosięgły fale ciemności. Stwór skulił się w cierpieniu i wydał okropny odgłos, ni to wrzask, ni bulgot.

Durgoth prawie jęknął z rozkoszy, czując, jak przerażające szpony mocy Tharizduna szarpią duszę stwora. Utrzymał kontakt jeszcze przez chwilę, po czym gwałtownym machnięciem ręki uwolnił umęczoną istotę.

Bullywug szamotał się jeszcze przez chwilę, zanim przypełził skulony do jego stóp.

- A więc? - spytał kapłan dygoczącego ze strachu Braggsha. - Zawarliśmy układ?

- Tak. Obczy zosztaną zniszczeni, tak jak chcesz. Durgoth skrzywił się, patrząc na żalosalną istotę. Wiedział, że jej pierwszą myślą będzie zdrada. Takie prymitywne stwory zawsze to robiły.

Pozwolił, by grymas na jego twarzy zamienił się w uśmiech.

- Jeszcze jedno, Braggsh - powiedział najśladszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. - Jeśli choćby pomyślisz o zdradzie, rzucę twoją duszę na pożarcie memu panu, a ból, który przed chwilą poczułeś, będzie jak najśladza rozkosz w po- równaniu z pocałunkiem Mrocznego. Teraz idź precz i zabierz ze sobą swoich żalonych towarzyszy.

Braggsh wydał z siebie kolejny długi, zgrzytliwy bulgot - czy to ze strachu, czy z wściekłości, Durgoth nie wiedział i nie obchodziło go to.

Wiedział, że odrażającym stworom nie uda się zniszczyć nyrondzkiej ekspedycji. Zatrzymają ją jednak na tyle długo, pomyślał, że jego wyprawa zdoła ją dogonić. Odwrócił się tyłem do bullywugów, zamknął oczy i uśmiechnął się.

* * *

Następne pięć dni upłynęło Majandrze pod znakiem upału i prawie bezustannego marszu. Postoje urządzali rzadko i tylko wtedy, kiedy były niezbędne - głównie po to, by posmarować maściami ukąszenia owadów i opatrzyć czyjąś ranę. Mimo ostrożności wyprawa była zmuszona kilka razy walczyć z aligatorami, a raz nawet z pnączem-wampirem. Jaszczuroludzi na szczęście nie spotkali.

Wiele razy podczas tych długich dni i zapadających niespodziewanie nocy Majandrę świerzbily palce, by choć dotknąć strun harfy. Zmęczenie jednak kazało jej rzucać się na posłanie od razu po wieczornym posiłku, a budziła się dopiero, kiedy zaczynali ją szturchać kompani. W rezultacie instrument leżał nie dotykany w wodoodpornym futerale.

Dziewiątego dnia po wejściu na Przepastne Bagnisko świt wstał jasny i czysty. Majandra jęknęła, gramoląc się z posłania - stało się to jej codziennym rytuałem. Po śniadaniu, na które składały się twarde suchary i suszone mięso, zarzuciła plecak i zajęła miejsce w trzecim rzędzie ekspedycji. Przed południem upał stał się nie do zniesienia - skwar uderzał ją jak pięść przy każdym kroku. Mimo tego półelfka nie mogła się pozbyć uśmiechu. W tym rejonie bagien drzewa rosły gęściej, a ich konary porośnięte były grubymi, zielonymi liśćmi i kolorowymi pąkami. Ta obfitość przyciągała ptaki, które przelatywały z gałęzi na gałąź i wypełniały powietrze swoimi melodyjnymi trelami.

Nie minęło wiele czasu i Majandra zaczęła śpiewać wraz z nimi; z początku cicho, potem z coraz większą pewnością wplatała swój wspaniały alt w ćwierkania i gwizdy, tworząc harmoniczną podstawę dodającą pieśni natury głębi. Poczwała, że łatwiej się jej idzie. Przygniatający ciężar

skwaru i duchoty bagna zelżał, a Majandra zobaczyła, że maszerujący blisko niej czują to samo.

Dopiero po południu zauważyła, że coś jest nie tak. Przekrzywiając głowę, nadstawiła uszu, nasłuchując dźwięku, który poruszył jej instynkt. Nic nie usłyszała. Bagno spowiła cisza, zastanawiający brak odgłosów. Majandra rozumiała, że to właśnie owo niezwykle milczenie wydało jej się dziwne. Jeszcze kilka chwil temu wszędzie rozbrzmiewały głosy życia. Teraz mokradło zdawało się znieruchomieć, jakby na coś czekało.

Włoski na karku półelfki zjeżyły się niemal pionowo. Bard-ka nie mogła pozbyć się uczucia, że jest obserwowana. Przyjrzała się dokładnie okolicznym zaroślom, osłaniając oczy dłonią, ale nic nie dostrzegła. W głowie pojawiło jej się nieproszone wspomnienie ślepi, które widziała poprzedniego dnia. Zadrżała mimo upału. A jeśli ktoś - albo coś - obserwuje ich w tej chwili? Bagno skrywało o wiele większe niebezpieczeństwa niż włóczący się jaszczuroludzie czy samotny aligator.

Majandra zatrzymała się, badając wzrokiem gęste poszycie, zdecydowana odkryć owo zagrożenie. Reszta wyprawy mijała ją, przyzwyczajona do tego, że Majandra często staje, by podziwiać przyrodę Przepastnego Bagniska. Ostatni strażnik przedarł się przez gęste, kolczaste krzaki przed nią i zniknął. Mimo to dalej patrzyła i słuchała.

Tam! Usłyszała coś po prawej stronie, jakiś szelest w krzakach. Podkraśla się do nich ostrożnie, lekko stawiając stopy. Prawie bezgłośnie wysunęła z pochwy swój krótki miecz i cięła z całych sił sam środek krzaka. Coś wrzasnęło rozdzierająco. Majandra odskoczyła do tyłu, kiedy z zarośli wystrzelił mały, kolorowy ptak. Bardka zaklęła, schowała miecz i spróbowała uspokoić tłukące się w piersi serce.

Mimo to wrażenie bycia obserwowaną narastało. Obróciła się na pięcie, pewna, że przyglądają się jej z zarośli setki par oczu. Zerknęła jeszcze raz na drzewa i puściła się biegiem.

Czas znaleźć Gerwytha.

* * *

Kiedy Majandra znalazła tropiciela, stał przy ścieżce pogrążony w rozmowie z Kaerionem. Wojownik zrzucił z ramion plecak i zakładał właśnie kolczugę. Spokojną zazwyczaj twarz elfa wykrzywiła troska. Majandra podeszła do obu towarzyszy równie poważna jak oni.

- Gerwycie, mam wrażenie, że coś za nami idzie. Ja... Elf podniósł rękę.

- Wiem - powiedział cicho. - Jesteśmy śledzeni od kilku dni. Nie miałem pewności, bo ktokolwiek czy cokolwiek to jest, bardzo dobrze zna tę okolicę. Dzisiaj rano znalazłem lepki śluz u podnóżu kilku krzaków. - Wskazał w dół na błotnistą ziemię, gdzie z najniższych gałęzi bagiennego

krzewu zwisała ciągnąca się kropla jakiejś gęstej cieczy.

- Ostrzegę Vaxora i Bredetha - powiedział Kaerion zatroskanym głosem. - Co z Phathasem?

- Już wie - odparł tropiciel. - Podzieliłem się z nim moimi obawami dziś rano. Kaerionie, kiedy ostrzeżemy już resztę wyprawy, musimy zachować ostrożność, żeby nasi goście nie dowiedzieli się, że odkryliśmy ich obecność. Około ligi na południe i wschód stąd jest zwałisko wywróconych drzew. Wypatrzyłem je już wcześniej. To najlepsze miejsce do obrony w promieniu dziesięciu mil stąd. Jeśli uda nam się tam dotrzeć, będziemy mieli szansę przeżyć wszelkie niespodzianki.

- Kto może nas śledzić? - spytała Majandra, zaniepokojona jeszcze bardziej troską widoczną na twarzach obu wojowników. Jeśli sytuacja była aż tak poważna, że oni się martwili, była naprawdę poważna. - Myślałam, że zgubiliśmy większość patroli jaszczuroludzi.

Tropiciel wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć, na ile udało się zgubić jaszczuroludzi - powiedział. - Prawdę mówiąc, myślę, że sprawiliśmy im trochę uciechy, pogonili nas i uznali, że pozwolą nam przejść. Nie, stawiałbym na to, że mamy do czynienia z inną rasą bagiennych istot - najprawdopodobniej sivami albo bullywugami. Jeśli to te drugie, módlmy się, żebyśmy zdążyli dotrzeć przed nocą do tamtych drzew.

Majandra odwróciła się do Kaeriona, żeby pomóc mu dopiąć zbroję. Zanim skończyła, Gerwyth poszedł uprzedzić o wszystkim Landrę i pozostałych najemników. Kaerion podziękował bardzo za pomoc i uśmiechnął się do niej krótko, podchodząc do Bredetha, który poprawiał właśnie paski swojego plecaka.

Zdając sobie już dokładnie sprawę z tego, że niewidzialny wróg śledzi ich każdy krok, członkowie ekspedycji ruszyli szybkim marszem. Chociaż nikt nie dawał żadnych znaków mogących świadczyć, że tuż za ścianami zieleni wzdłuż ścieżki może czaić się śmierć, Majandra nie mogła się powstrzymać od zerkania za siebie, pewna, że zobaczy włócznię albo bełt z kuszy, mknący ku jej nieosłoniętym plecocom.

Nic nie zobaczyła.

Wyprawa brnęła przed siebie w milczeniu, komentując tylko od czasu do czasu wolną drogę słońca ku zachodowi. Wraz z gęstniejącymi cieniami wieczoru narastało napięcie. Każdy krok podsuwał wyobraźni obrazy wyskakujących z mroku bagiennych potworów, gotowych rozdzierać ludzi na sztuki. Kiedy Gerwyth wprowadził ekspedycję po stromym zboczu między zwalone drzewa, które miały być ich schronieniem, Majandra rzuciła plecak na ziemię i westchnęła głośno, kucając pod poskręcaną ścianą korzeni, blokującą główne podejście do obozowiska.

Gerwyth kazał strażnikom rozładować tratwy i przywiązać je pionowo do zwalonych pni po bokach polany, tworząc w ten sposób namiastkę fortecy, oferującą dodatkowe zabezpieczenie w razie ataku.

Wszyscy krzętałi się pod rozkazami elfa, a potem i Kaeriona. Nie minęło wiele czasu, kiedy pojawił się Bredeth i wziął Majandrę ze sobą do pomocy w zbieraniu drewna i rozpalaniu wielkiego ogniska na środku obozu. Półelfka zobaczyła rozmawiających cicho Vaxora i Phathasa, nie miała jednak czasu przyglądać się pozostałym przygotowaniom, zajęta zbieraniem gałęzi i układaniem ich na stos w pospiesznie wykopanym dole.

Kilka godzin później Majandra siedziała skąpana w miękkim blasku księżyców zdobiących nocne niebo niczym klejnoty. Kiedy zakończono budowę umocnień i rozstawiono strażę, napięcie trochę opadło, zamieniając się w niespokojną czujność. Kolacja tego wieczora składała się z gęstej zupy z korzeni i suszonej wołowiny. Napelniwszy brzuchy i zdjawszy buty, większość najemników, którzy nie mieli akurat wart, poukładała się do snu na posłaniach.

Bardka ziewnęła, przeciągnęła się i wzięła do rąk skórzany futerał, w którym przechowywała swój instrument. Stłumiła kolejne ziewnięcie. Nie kończące się napięcie i wysiłek całego dnia odcisnęły na niej swoje piętno. Za dużo czasu spędziła już z dala od harfy, która przez tyle lat była jej największą pasją. Ostrożnie, niemal z nabożeństwem rozwiązała rzemienie futerału i wyjęła ze środka instrument. Ciemne drewno niknęło w mroku, ale struny podchwytywały srebrzyste promienie księżyca i odbijały jak łagodne skrzzenie się klejnotów.

Półelfka przebiegła zręcznymi palcami po błyszczących strunach i skrzywiła się. Mistrz Parvus dostałby ataku apopleksji, gdyby usłyszał, co zaniedbanie zrobiło ze strojem jego harfy. Majandra poprawiła naprężenie strun, pokręcając nieznacznie drewnianymi kołkami, aż w końcu zagrała akord tak czysty, że aż chwytający za serce.

Uśmiechnęła się lekko, zauważając kilku ze śpiących dotąd najemników i swoich towarzyszy, którzy z wyczekiwaniem na twarzach przysuwali w jej stronę swoje posłania. Łagodnie przesunęła palcami po strunach, rozluźniając spięte ze zmęczenia i od długiego nieużywania mięśnie. Muzyka niczym deszcz spadła na słuchaczy, a półelfka oczarowała ich, splatając w jedno kilka melodii.

Uśmiechnęła się ponownie, a jej palce coraz szybciej i szybciej przemykały po strunach. Mimo to wciąż wypatrywała tego, dla którego naprawdę chciała zagrać tego wieczora. Odnalazła go; potężny cień patrolował obrzeża obozu, nieprzejednany i niestrudzony. Pod opończą wojownika lśniła jasno kolecza koszulka. Widząc ją, Majandra przypomniała sobie słowa popularnej pieśni z czasów wojen o Greyhawk.

W pancerzu ze światła wykutym Whitehart szeregi utrzymał Choć tysiące padały ścinane Szponem luza i jego demonów Majandra prawie wykrzyknęła głośno, nagle pojmując prawdę. Jak mogła być tak ślepa? Teraz wszystko nabierało sensu: tajemniczy miecz, chłód Vaxora, małomówność samego wojownika. Wszystko doskonale się zgadzało.

Odkrycie wzbudziło w bardce nagłą falę emocji; miała ochotę krzyknąć z radości. Zamiast tego jej palce szybko wygrały otwierające akordy pieśni. Lekko tylko podnosząc głos, wciąż bowiem

znajdowali się w samym środku niebezpiecznego mokradła, być może otoczeni przez wrogów, Majandra zaczęła śpiewać pierwszą zwrotkę „Nadziei Whiteharta”. Znając jej moc i własny talent, nie była zaskoczona, widząc, że cały obóz podchwycił rytm jej muzyki. Tutaj, w niegościnnym kraju, otoczeni ciemnością i niewidzialnym nieprzyjacielem, członkowie ekspedycji mogli czerpać otuchę z odwagi, szlachetności i męstwa Whiteharta, jednego z najslawniejszych paladynów w całych Tarczowych Ziemiach.

Uśmiechnęła się na myśl, że legenda jest bliżej nich, niż sobie nawet wyobrażają, ale uśmiech ten zniknął zastąpiony skupieniem muzyka - głowa przechylona lekko na bok, oczy zamknięte, jakby przysłuchiwała się dźwiękom niesłyszalnym dla zwykłego ucha - kiedy grała jeden z najtrudniejszych pasażów w całej pieśni. Choć całkowicie pochłonięta graniem, Majandra wyczuwała wzbierającą w słuchaczach nadzieję i odwagę, czuła wzajemny przepływ energii, kiedy ona i oni zjednoczyli się, chociaż na krótko, w muzyce kryształowej czystości każdej nuty.

Dopiero kiedy padł na nią jakiś cień, spojrzała do góry i zobaczyła wykrzywioną twarz Kaeriona o oczach białych z bólu i wściekłości. Wtedy zrozumiała swój błąd.

* * *

- Spokojna noc, prawda? - szepnął strażnik na lewo od Kaeriona, nie całkiem udanie maskując niepewność w głosie.

Kaerion chrząknął i zarzucił płaszcz na ramiona, spinając go metalową klamrą. Mimo upału kazał wszystkim wartownikom okryć pancerze. Odbijające się od zbroi światło księżyca czyniło z noszącego ją dogodny cel. Po karku zaczął spływać mu pot i raz jeszcze przeklął tę konieczność. Jeśli to, co ich śledzi, nie da rady ich pozabijać, na pewno zrobi to bezlitosny upał.

- Spokojna - powiedział - ale nie obawiaj się, nasi przyjaciele tam są i czekają na dogodny moment.

- Jak sądzisz, co to jest? - wyszeptał drugi. Ku zaskoczeniu Kaeriona był to Bredeth, który na ochotnika zgłosił się na drugą wartę.

Wojownik wzruszył ramionami i znów chrząknął.

- Gerwyth sądzi, że to bullywugi, jakieś bagienne humanoidy o paskudnym usposobieniu. Ja sam nigdy z nimi nie walczyłem.

- Nie obchodzi mnie, co to jest - powiedział pierwszy strażnik - dopóki krwawi, kiedy to tnę. - Podkreślił swoje słowa machnięciem miecza.

Mimo napięcia Kaerion uśmiechnął się i z zaskoczeniem zauważył, że Bredethowi też udzielił

się ten nastrój. Młody szlachcic również szczerzył się nieustraszenie. To dobrzy wojownicy, pomyślał Kaerion. Nie chciałbym stracić żadnego z nich na tym przeklętym bagnisku.

Nagle ogarnęły go złe myśli, kontrastujące z nastrojem chwili. Otrząsnął się i klepnął lekko w ramiona Bredetha i strażnika.

- Rozdzielcie się obaj - powiedział cicho - ale trzymajcie się w zasięgu głosu. Jeśli któryś z was zobaczy coś podejrzanego, niech ostrzeże drugiego, zanim pójdzie to zbadać. Przekażę to pozostałym.

Z tymi słowami Kaerion zostawił obu mężczyzn, ufając w ich wyszkolenie i umiejętności.

Chodząc od warty do warty, obserwował obóz, zastanawiając się, jak długo wyprawa da radę funkcjonować w stanie ciągłego zagrożenia. Patrząc spoza jego obrębu, widać było wyraźnie, że wszyscy mieli za sobą kilka dni forsownego marszu. Wyczerpanie wreszcie dało się im we znaki i Kaerion widział, że jego towarzysze są u kresu wytrzymałości. Ciągłe niebezpieczeństwo ataku podkopywało morale i zaostrzało temperamenty. Coś musiało wybuchnąć, to była tylko kwestia czasu. Ktoś zrobi w końcu coś głupiego, jakiś błąd, być może grożący śmiercią. Jeśli wrogowie mieli zaatakować, pomyślał wojownik, niech lepiej zrobią to jak najszybciej.

W dusznym, nocnym powietrzu rozbrzmiały zapierające dech w piersiach dźwięki harfy. Kaerion uśmiechnął się, rozpoznając grę Majandry. Przez chwilę jego instynkt wojownika sprzeciwił się hałasowi, który mógł przyciągnąć czyjąś niechcianą uwagę, ale z drugiej strony i tak już ktoś ich śledził. Nieprzyjaciel wiedział, że tu są.

Jakaś zmiana postawiła wszystkie jego zmysły w stan gotowości. Kaerion rozejrzał się szybko w poszukiwaniu źródła niepokoju. Serce biło mu szybciej, niż galopował bojowy rumak na turnieju, a po plecach przebiegły dreszcze. Co go tak zaniepokoiło, na dziewięć piekieł?

A potem zrozumiał.

To nie las się zmienił, lecz muzyka. Słuchając otwierających akordów pieśni, której nie słyszał od ponad dziesięciu lat, poczuł się, jakby w piersi ugrzęzła mu strzała. Ktoś odkrył jego tajemnicę, a teraz bardka ujawniała ją całej wyprawie. Kaeriona ogarnęła panika, a słowa pieśni grzmiały oskarżeniem.

Zdrajca!

Tchórz!

Morderca dzieci!

Z ciemności wychyły szyszczące twarze, demony znajome tak samo jak bezlitosny ciężar nienawiści i żalu za swoje tchórzliwe czyny. Gojące się od kilku miesięcy rany znów się otworzyły, a Kaerion poczuł rozdzierający duszę ból, zalany wspomnieniem własnej hańby. Wiedział, że nie zasługuje na przyjaźń, którą go obdarzono i po raz pierwszy od dziesięciu lat zaczął się modlić, by bóg, którego zdradził, teraz go powalił.

Nawet większy księżyc patrzył na niego oskarżycielsko - w jego obliczu Kaerion ujrzał twarz niewinnego chłopca, uśmiechającego się do niego wyczekująco, chłopca, który teraz martwy gnije gdzieś w przeklętym przez demony lochu.

Pieśń wciąż rozbrzmiewała, nieświadoma jego cierpienia. Każde jej słowo było jak bicz chłostający rany na jego duszy. Kaerion zamknął oczy i zakrył uszy dłońmi, ale nic to nie dało. Kiedy znów je otworzył, z zaskoczeniem ujrzał patrzącą na niego Majandrę. Jego własne nogi go zdradziły, prowadząc do źródła cierpienia jak na ofiarę.

Napotkawszy zaskoczone i przerażone spojrzenie bardki, Kaerion poczuł, że jego gniew zamienia się w ślepią furję. Wściekłości nie wystarczało niszczenie szczątków jego duszy, znalazła sobie ujście - źródło bólu. Nie mogąc się powstrzymać, wojownik poczuł, że jego ręka wysuwa z pochwy miecz i wznosi go do morderczego ciosu.

Majandra przestała grać. Nad obozem zaległa cisza. Spojrzenie szeroko otwartych oczu bardki nawet nie drgnęło, ale Kaerion poczuł się, jakby stał na skraju przepaści. Jeden ruch i runie w dół.

Wzrok półelfki zmiażdżył, zamiast strachu wyrażając teraz znajome współczucie, o którym Kaerion tak często marzył. Mimo to wciąż targała nim wściekłość. Z wysoko uniesionym mieczem walczył o panowanie nad własnym ciałem.

Ostatecznie to bardka sama ocaliła swoje życie. Wstała powoli, pozornie nieświadoma wiszącej nad nią śmierci i łagodnie pogładziła go po twarzy.

- Tak mi przykro, Kaerionie - powiedziała spokojnie i tak cicho, że tylko on mógł to usłyszeć.

Jej głos był ciepły i miękki i wchłonął żar jego furii, odwzajemniając się współczującym uściskiem. Kaerion wiedział teraz, pojmował częścią umysłu, która wciąż zdolna była do racjonalnego myślenia, że bardka nie chciała, by do tego doszło, nie zagrała „Nadziei Whiteharta”, by obnażyć jego hańbę.

Zadrżał i schował miecz do pochwy. Wszyscy jego towarzysze ruszyli w jego stronę, jakby ruchem tym wyzwolił ich spod działania potężnego czaru. Kaerion z zaskoczeniem zobaczył Gerwytha, który wstał gwałtownie i zagroził im drogę.

Wojownik spojrzał na Majandrę, której delikatne palce gładziły go po twarzy. Półelfka wyglądała na równie oszołomioną jak on. Przełknęła ślinę.

- Kaerionie, ja...

- Nie, Majandro - warknął. - Nie tutaj. - Pociągnął ją, o wiele brutalniej niż powinien, na skraj obozu, w cień tratw.

W głowie huczało mu tysiąc rzeczy, które chciał powiedzieć. Patrzył tępo na półelfkę, która odwzajemniała to spojrzenie z lekkim uśmiechem na twarzy. Poruszał ustami, zamykał je i otwierał, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

Ciszę przerwała w końcu Majandra.

- A więc to prawda - powiedziała łagodnie. - Jesteś Whitehartem.

Kaerion chciał zaprzeczyć temu oskarżeniu, poczuł jednak, jak jego ramiona uginają się pod ciężarem prawdy. Pokiwał głową.

- Ale jak to możliwe? - spytała Majandra. - Miałeś zginąć podczas ekspedycji, która wyruszyła uwolnić hrabiego Holmera z Dorakaa. Jest nawet pieśń, która opisuje, jak poświęciłeś życie, by inni mogli uciec z hrabią.

Kaerion pochylił głowę. Kiedy w końcu udało mu się znaleźć właściwe słowa, były gorzkie.

- Od tamtej pory nie było dnia, żebym nie żałował, że nie umarłem - powiedział. - Nie było żadnego bohaterskiego poświęcenia. Ze wszystkich ty powinnaś wiedzieć najlepiej jak mało prawdy jest w opowieściach bardów.

Majandra zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc.

- Nie - powiedział Kaerion, drżąc od przesywających go wspomnień. - Ta wyprawa była skazana na zagładę od samego początku. Zostaliśmy zdradzeni. Iuz wiedział, że nadchodzimy i zastawił na nas pułapkę. Pozostałym pozwolił odejść, a dla mnie... dla mnie przygotował coś specjalnego.

Majandra drgnęła i wzięła go za rękę.

- Ależ Kaerionie, zwyciężyłeś Iuzą. Uciekłeś z jego szponów i żyjesz.

- To nazywasz życiem? - krzyknął Kaerion, strząsając dłoń bardki. - Z początku myślałem, że Heironeus mnie ocali, ale potem ten diabeł zamknął mnie w lochu. Siedziałem tam, w smrodzie i ciemności, tak długo, że straciłem poczucie czasu, a jego sługi szeptały mi do uszu swoje mroczne sekrety. Pamiętam, że próbowałem się modlić, ale słowa modlitwy zaległy mi w ustach jak popiół. Nie byłem pewny, czy Heironeus mnie słucha, a po jakimś czasie, czy w ogóle istnieje. Pamiętałem tylko strach, ciemność i chłód wysysający ze mnie każdą drobinę ciepła. Pierwszy raz w życiu byłem zupełnie sam.

- Już nie jesteś sam, Kaerionie - powiedziała bardka, przysuwając się bliżej. - Masz Gerwytha, Bredetha i innych. I mnie. - Głos jej zadrżał. - Masz mnie.

Wbrew sobie Kaerion parsknął gorzkim śmiechem.

- A kim ja jestem? - spytał. - Kim jestem dla ciebie? Wiesz, co zrobiłem? Nie widzisz, czym jestem? Tyle czasu razem podróżujemy, Majandro, naprawdę jesteś tak ślepa?

Słowa wylewały się z niego, paskudne, przepełnione nienawiścią, a mimo to nie potrafił ich powstrzymać, nie wiedział nawet, czy chciał.

- Nie, niech cię szlag, to nie ja jestem ślepa! — Teraz to Majandra zaczęła krzyżeć i mimo własnego gniewu Kaerion wzdrygnął się, zaskoczony intensywnością jej uczuć. - To nie ja kurczowo trzymam się swojej hańby i odtrącam przyjaźń! Nie wiem, co zrobiłeś, i co z tego? Jeśli chcesz wystawić mnie na próbę, opowiedz mi, co się stało w Dorakaa. Daj mi szansę zdecydować,

co o tym myślę, zamiast bez przerwy robić to za mnie!

Ostatnie słowa wykrzyczała jak wyzwanie i Kaerion je przyjął. Nie dlatego, że chciał podzielić się z kimś swoim brzemieniem. Wiedział, że swoimi czynami zasłużył na pogardę, a nie znał lepszej pogardy, niż pogarda kogoś, na kim mu zależało. Niech Majandra poczuje szok i obrzydzenie, wysłuchując szczegółów jego grzechu. W jakiś perwersyjny sposób Kaerion wiedział, że strzaskanie jej wiary i zaufania sprawi mu przyjemność.

Stali tak przez kilka chwil, oddychając ciężko w gniewie i patrząc sobie w oczy. Kaerion wciąż widział w oczach bardki wyzwanie. Kiedy zaczął mówić, głos miał spokojny i równy, jakby opowiadał zwykłą, karczemną historyjkę.

- W końcu wypuścili mnie z dziury, która stała się całym moim światem. Pamiętam, jak raziło mnie w oczy światło, jakbym widział je po raz pierwszy w życiu. Śmierdziałem strachem i odchodami. Słudzy Iuza zaprowadzili mnie do wielkiej komnaty, jakiejś kaplicy. Nawet teraz nie pamiętam wszystkich szczegółów.

- Kiedy demony mnie do niej prowadziły, znów zaczęły do mnie szeptać, ale tym razem opowiadały mi o tym, co ze mną zrobią i jak będą mnie torturować dla przyjemności Iuza. Nie pamiętałem już o życiu, które prowadziłem przed Dorakaa. Dla mnie istniało już tylko przerażenie i strach. Kiedy doszliśmy do kaplicy, dygotałem. Nie myślałem o ucieczce, ale wiedziałem, że zrobię wszystko, by uniknąć czekającej mnie grozy.

- Kiedy otworzyli drzwi... - Głos Kaeriona się załamał. Majandra bez wahania przyciągnęła go do siebie, a on się nie opierał.

- Kiedy otworzyli drzwi - podjął wojownik trochę pewniej - zobaczyłem stado najpotworniejszych demonów, jakie kiedykolwiek wylęgły się w dziewięciu piekłach. Stały dookoła kamiennej płyty. Wepchnięto mnie do komnaty i potwory się odsunęły, ukazując rozciągniętego na ołtarzu chłopca. Miał najwyżej osiem lat. Jedna z bestii przyskoczyła do mnie, klapiąc skórzastymi skrzydłami, i dała mi wybór. Mogłem oddać życie zamiast chłopca, albo oszczędzić je i pozwolić im go zabić. Ja...

Kaerion zadygotał. Czuł, że po policzkach spływają mu gorące łzy.

- Nie rozumiesz? - prawie wrzasnął, wyszarpując się z objęć Majandry. - Pozwoliłem im zabić chłopca! Patrzyłem, jak demon wyrывa mu gardło, a całe stado spija jego krew. To była moja wina! Moja!

Majandra otworzyła szeroko usta, ale nie zostawiła go.

- To była moja wina! - krzyknął Kaerion i padł na kolana, wstrząsany łkaniem.

Poczuł, że obejmują go ramiona bardki, a jej dłonie delikatnie podnoszą jego mokrą od łez twarz. Zamknął oczy, nie chcąc widzieć potępienia, którego był pewien, ale w końcu zmusił się, by je otworzyć - i ze zdumieniem ujrzał współczucie i wybaczenie.

- Wtedy zrozumiałem, że Heironeus mnie nie opuścił - powiedział, już o wiele ciszej. - To ja od niego odszedłem.

Po jego twarzy wciąż spływały łzy, a on nie potrafił ich powstrzymać. Drzenie powoli ustało, łkanie też, aż poczuł się słaby i pusty. Mimo tego niemal boleśnie zdawał sobie sprawę z obejmujących go ramion Majandry. Serce biło mu nieznanym rytmem.

- Majandro, ja... - zaczął, ale półelfka uciszyła go pocałunkiem. W pierwszej chwili zeszywniał, zaskoczony, potem jednak rozluźnił się. Słony od łez dotyk jej ust rozgrzewał przyjemnie jego wyczerpane ciało. Przez krótką chwilę czuł się lekki, zawieszony w osobistym wszechświecie z dala od własnych demonów, świecie, który zaczynał się i kończył w obejmujących jego szyję ramionach.

Kaerion westchnął i oddał pocałunek. Nagle poderwał go chrapliwy wrzask umierającego wartownika. Wojownik spojrzał na równie oszołomioną co on bardkę, a obóz eksplodował krzykami.

Atak się rozpoczął.



Ciemność ożyła prychającymi, syczącymi wrzaskami. Kaerion zerwał się na równe nogi i wyciągnął miecz. Ostatnie spojrzenie, które rzucił półelfce przed ruszeniem do boju, było krótkie, ale z ulgą dostrzegł na jej twarzy ten sam wyraz. Wydawała się mówić „później” i wojownik z uśmiechem rzucił się na spotkanie wrogom.

Obóz zamienił się w kłębowisko ciał i nagiej stali. Mimo pozornego chaosu wyćwiczone oko Kaeriona szybko dostrzegło solidną taktykę obronną najemników, którzy sformowali krąg wokół Phathasa i Vaxora. Landra zwołała pozostałych wartowników i Kaerionowi ulżyła nieco świadomość, że kapitan umie radzić sobie w bitwie.

W czerwono-złotym blasku ogniska zauważył po raz pierwszy niewidzialnych drapieżców, od kilku dni idących ich tropem. Z trudem powstrzymywał nudności na widok ich płaskich łbów, szerokich pysków i wylupiastych oczu.

Usłyszał krzyk z lewej i przerwał szarżę. W migoczącym świetle zobaczył przygarbionego humanoida, wznoszącego włócznię nad powaloną wartowniczką. Skręcił gwałtownie i całym rozpędem wpadł na bullywuga, który z wściekłym sykiem runął w krzaki. Kaerion szybko pomógł wstać najemniczce i pobiegł w stronę środka obozu.

- Kaerion, do mnie! - zawołał Phathas z kręgu strażników.

Wojownik krzyknął w odpowiedzi, odbijając pchnięcie włóczni i uchylając się przed ciosem miecza drugiego przeciwnika. Zaklął, gdy spostrzegł, że drogę blokują mu trzy obmierzłe stwory. Rzucił się na nie, wznosząc miecz - jednego trafił w oko, drugiego powalił mocnym kopniakiem w zębra. Trzeciemu udało się pchnąć go włócznią w bok. Kaerion krzyknął, kiedy stalowe ostrze przebiło płaszcz i odbiło się od twardej kolczugi. Wiedział, że mu się poszczęściło, ale rano cały bok będzie miał siny - jeżeli przeżyje.

Krąg najemników zacieśniał się, ustępując pod naporem humanoidów. Stojący w środku Vaxor klasnął w ręce, recytując modlitwę do Heironeusa. Z jego złączonych palców zaczęła się sączyć złota poświata, okrywając żołnierzy. Kaerion poczuł zimne ukłucie winy na widok boskiej mocy.

Chwilę później powietrze rozbrzmiało głośnym bzyczeniem. Jeden ze stworów zabulgotał, kiedy w jego plecach utkwiała strzała. Zaraz po niej nadleciały cztery następne. Kaerion domyślił się, że

Gerwyth zaczął się gdzieś w koronach powykręcanych drzew nad obozem i stamtąd sieje śmierć. Sześciu kolejnych napastników padło martwych i umierających, zanim Kaerion przedarł się do wnętrza kręgu. Chwilę później z ulgą zauważył przeciskającą się między żołnierzami Majandrę.

Dyszząc ciężko, spostrzegł dodający otuchy uśmiech Phathasa i kiwnął głową. Mag wyciągnął swoje starcze, zmęczone ręce, oparł je na ramionach Kaeriona i zamknął w skupieniu oczy. Wojownikowi przebiegły po karku ciarki, kiedy usłyszał ciąg niezrozumiałych słów recytowanych przez czarodzieja. Stary mag otworzył szeroko oczy, uniósł dłoń i zaskakująco mocno uderzył Kaeriona w policzek, intonując w tej samej chwili pojedyncze, ostre słowo.

Kaerion zamrugał zdziwiony, a potem poczuł energię rozchodzącą się po jego ciele od miejsca uderzenia.

- Uczyniłem twoje ciało twardsze od najtwardszego kamienia - powiedział Phathas. - Idź teraz i pokonaj naszych wrogów. - Mag uśmiechnął się jeszcze raz i uniósł ręce nad głowę, szykując się do rzucenia następnego czaru.

Wsparci przez grad strzał i boską pomoc najemnicy nie musieli już z całych sił skupiać się na obronie. Kaerion znów z zadowoleniem patrzył na Landrę, która powalając krótkimi, oszczędnymi cięciami dwa bullywugi, wydawała rozkazy swoim ludziom poszerzającym krąg. Widząc, że wszystko jest pod kontrolą, wojownik wyskoczył na zewnątrz koła i z mieczem lśniącym w blasku ognia zaszarżował na atakujące obóz potwory.

Jednym cięciem odrąbał ostrze włóczni od drzewca, zawirował i pozwalając rozpędowi nieść się do przodu, poczuł, że jego miecz wbija się z głuchym młaśnięciem w kark bullywuga, niemal zdejmując z niego łeb. Szybko uwolnił ostrze i przeszył nim pierś następnego syczącego wściekłe stworza. Ten, padając, otworzył następną lukę w zwartej masie napastników i Kaerion cięciem w dół rozplątał brzuch trzeciego.

Z prawej strony dobiegł go znajomy już, syczący bulgot. Obejrzał się i z zaskoczeniem ujrzał Vaxora robiącego mieczem. W lewej dłoni kapłan trzymał tarczę z błyskawicą, symbolem Heironeusa. Jej metaliczna powierzchnia lśniła złotym blaskiem, oślepiając napastników. Kaerion nie mógł poświęcić więcej uwagi obecności Vaxora, sam bowiem znalazł się w kręgu żądnych krwi wrogów.

Uchylając się pospiesznie przed ciosem miecza, machnął pięścią, trafiając bullywuga w bok pokrytej śluzem głowy. Stwór zatoczył się do tyłu, ale zanim Kaerion zdołał go dobić, pozostałe monstra zaczęły go dźgać włóczniami. Zwinął się ostro, prawie skręcając nogę w kolanie i uniknął pierwszego pchnięcia, odbił drugie i trzecie ostrzem miecza, następne dwa przeszły przez jego obronę i trafiły odsłonięte ciało. Odbiły się jednak od cienkiej powłoki magicznej energii spowijającej jego ciało.

Zwycięski wrzask zamarł bullywugom w gardłach, kiedy zobaczyły, że Kaerion stoi między

nimi nietknięty. Wykorzystując ich zaskoczenie, szybko powalił dwa, zanim grad strzał zabił pozostałe.

- Trochę późno, nie sądzisz? - krzyknął Kaerion do Gerwytha, wiedząc doskonale, że tropiciel mu nie odpowie, by nie zdradzać swojej pozycji.

Wojownik rozejrzał się szybko dookoła i zobaczył, że obrońcy mają przewagę, zanim jednak zdołał odetchnąć, z nabrzmiątych gardeł bullywugów wydobył się niesamowity skowyt. Kaerion zakrył jedno ucho dłonią, by ochronić je przed przeszywającym dźwiękiem. Chwilę później jedna z tratw użytych jako prowizoryczne palisady eksplodowała pod straszliwym ciosem. Drzazgi i odłamki poleciały na wszystkie strony jak niesione huraganem. Nad obozem zaległa cisza, kiedy obrońcy i napastnicy spojrzeli w tamtą stronę.

Z wiszącej nad bagnem mgły wyłoniła się gigantyczna bestia. Każdy jej krok sprawiał, że drżała przesiąknięta krwią ziemia. Dwa jaszczurcze łby uniosły się w powietrze, do wtóru przerażającego syku kłapiąc pełnymi kłów paszczami. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, potwór rzucił się do przodu i porwał jednego z najemników.

Majandra pierwsza zaatakowała, kiedy wrzaski nieszczęśnika wzniosły się w ostrym crescendo, a potem nagle ucichły. Z jej dłoni wystrzeliły ładunki niebieskiej energii, trafiając w bestię z magiczną celnością. Olbrzymi jaszczur za-ryczał z bólu, ale nie zatrzymał się.

Ze stłumionym przekleństwem Kaerion rzucił się do ataku.

Wtedy dopiero zauważył, że potwór niesie na grzbiecie jeźdźca. Ten bullywug był prawie o połowę większy od pozostałych; siedział w siodle z czarnej skóry i rogu. Pod jego skórą od błoniastych stóp po szerokie bary prężyły się grube jak powrozy mięśnie, okryte jedynie łuskową zbroją, która zdawała się pochłaniać światło ogniska. Kaerion zobaczył, że w każdej łapie stwór trzyma wielki, czerwony jak krew topór, z karku zaś zwisa mu naszyjnik zwierzęcych i ludzkich czaszek, patrzących przed siebie niewidzącym wzrokiem pustych oczodołów.

Kaerion skoczył między kłapiące paszcze jaszczura, zamierzył się mieczem na jego bark - i musiał się uchylić, kiedy jeden z toporów jeźdźca minął jego głowę o cal. Jaszczur był szybszy - jeden z jego łbów trafił wojownika, wytrącając go z równowagi. Kaerion krzyknął, kiedy drugi topór bullywuga wbił mu się głęboko w bark. Odtoczył się w bok i spojrzął czujnie na przeciwnika. Poczul cios nawet pomimo ochronnego czaru Phathasa!

Kątem oka zauważył Vaxora, szykującego się do rzucenia własnego zaklęcia i miał już osłonić flankę kapłana, kiedy usłyszał krzyk czarodzieja.

- Kaerionie, odsuń się! Szybko!

Bez chwili wahania wojownik rzucił się w lewo i przetoczył po ziemi. Obozowisko rozświetlił jasny błysk, a powietrze zahuczało od napięcia, kiedy w jaszczura i jego jeźdźca trafiła błyskawica. Chociaż bestia wspięła się na tylne łapy, wyraźnie zraniona, Kaerion ze zdumieniem spostrzegł, że

bullywug uniknął obrażeń.

Nie chcąc marnować okazji, wojownik podbiegł i ciął z całych sił przednią łapę jaszczura. Kiedy podniósł miecz do następnego ciosu, Vaxor dokończył rzucanie czaru i z imieniem Heironeusa na ustach podniósł do góry swój święty symbol. Z błyskawicy wystrzelił rażący promień złotego światła. Trafiona nim bestia zaryczała sycząco i zachwiała się. W tym momencie z ciemności wyleciały dwie strzały, obie trafiając potwora w prawe oko. Stwór ryknął jeszcze raz i runął martwy na ziemię.

Bullywug zeskoczył z siodła, zanim potwór upadł. Kaerion patrzył ze zdumieniem, jak stwór przetacza się zręcznie, zrywa na nogi i rzuca na Vaxora. Kapłan ledwie zdążył zasłonić się tarczą. Pierwszy topór odbił się od niej ze szczękiem, drugi zaś przemknął pod zasłoną i wbił się głęboko w udo Vaxora. Kapłan krzyknął głośno, a bullywug, nie dbając o grożące mu z tyłu niebezpieczeństwo, kopnięciem obalił go na ziemię.

Kaerion zaczął biec do Vaxora, kiedy tylko zobaczył, że stwór chce zaatakować kapłana, teraz więc mógł ciąć go w plecy. Prawie dwadzieścia lat nawyków sprawiło jednak, że się zawahał. Cios w plecy nigdy nie wchodził w grę - nawet jeśli przeciwnik właśnie powalił towarzysza.

Wahanie drogo go kosztowało. Uwolnwszy oba topory, bullywug obrócił się i ciął, zanim Kaerion zdążył zareagować. Wojownik skrzywił się, kiedy dwa ostrza trafiły go w bark i pierś. Powtórzył sobie, by po wszystkim podziękować magowi, bowiem gdyby nie jego ochronny czar, zostałby okaleczony.

Odskoczył do tyłu, chcąc zyskać trochę miejsca. Udało mu się kilka razy ciąć nacierającego bullywuga, jednak bez efektu. Spojrzenie w oczy stwora potwierdziło najgorsze obawy Kaeriona - bullywug był w berserku. Wojownik musiał szybko zakończyć to starcie.

Ścisnąwszy rękojeść miecza w obu dłoniach, uchylił się przed ciosem jednego z toporów i ciął znad głowy, rozrabując bark i łopatkę napastnika.

Bullywug się nie zatrzymał.

Kaerion uderzył kilka razy w jego odsłonięty bok, ale ohydna bestia nawet nie zwolniła. Jeszcze dwukrotnie zdołała dosięgnąć go toporem, przebijając się przez magiczną osłonę. Kaerion czuł, że czar Phathasa zaczyna słabnąć.

Wyczerpany i raniony nie zauważył wystającego nad ziemię korzenia. Potknął się i upadł. Jego przeciwnik uniósł wysoko zakrwawiony topór i wydał z siebie ryk czystej nienawiści. Kilka strzał wbiło się w jego pierś, ale bez żadnego widocznego efektu. Kaerion zobaczył spadające ostrze i rzucił się w lewo, ale nie poczuł bólu trafienia.

Spojrzał na swojego przeciwnika i zobaczył błękitną poświatę sterczącego z gardła bullywuga miecza Majandry. Stwór wyglądał na równie zaskoczonego jak on - jego długi, napuchły język zwisał z kąta obrzydliwego pyska. Bardka wyrwała ostrze, a bullywug runął martwy do przodu.

Kaerion z niechętnym podziwem zauważył, że potwór nawet po śmierci nie wypuścił broni z łap.

Widząc śmierć swojego bohatera, pozostałe bullywugi wrzasnęły rozpaczliwie i wycofały się z obozu. Ich płazie postacie rozmyły się w cieniach bagna. Kaerion usłyszał strudzone, ciężkie oddechy obrońców i jęki rannych. Przyjął wyciągniętą dłoń Majandry i wstał, a potem oboje ruszyli na środek obozowiska.

Landra wysłała już kilku swoich najemników, by zajęli się zabitymi i rannymi, w tym Vaxorem, który przykuśtykał do grupki otaczającej Phathasa. Ale uwagę wszystkich przykuła ponura twarz Gerwytha, który wyłonił się z ciemności, trzymając coś w rękach.

- Mamy problem - powiedział elf, wskazując skinieniem głowy niesiony bogato zdobiony miecz.
- Co znowu? - warknął Kaerion, który nie był w nastroju do kolejnych niespodzianek.
- Porwali Bredetha - odparł tropiciel. W jego głosie słychać było gniew i gorycz.

Pozostali zareagowali na to oświadczenie osłupiałą ciszą. Dookoła nich nocna mgła wyciągała swe cuchnące macki.



- Idź do dziewięciu piekieł razem ze swoimi przekłętymi stworami! - wycedził przez opuchnięte wargi arogancki szlachcic.

Durgoth Shem uśmiechnął się okrutnie, widząc, jak trzymany przez bullywugi Nyrondczyk słabo się szamocze. Kapłan zbliżył się do więźnia i przesunął wierzchem dłoni po jego posiniaczonej twarzy - dość mocno, by wywołać mimowolny syk bólu.

Wpadł w szal, kiedy Braggsh i zgraja jego pobratymców wpadli do obozu, wrzeszcząc i sycząc o klęsce, którą ponieśli z rąk szlachciców. Durgoth był już na najlepszej drodze do wypatroszenia ich wszystkich, kiedy dostrzegł jakiegoś człowieka wleczonego przez dwa bullywugi. Nie wszystko było stracone. Teraz, kiedy wydobywał z jeńca informacje, w jego głowie wirowały i układały się najrozmaitsze plany.

- Chłopcze - powiedział w końcu, każdym słowem podkreślając swoją pogardę dla arogancji tego drania - kiedy skończę z tym światem, dziewięć piekieł będzie ci się wydawało osobistym rajem Beory.

Wojownik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wielkie słowa - powiedział - jak na kogoś, kto potrzebuje gadających żab do brudnej roboty.

- Głupcze! - krzyknął Durgoth, natychmiast żalując, że dał się ponieść emocjom. - Ośmielasz się ze mnie drwić, ze mnie, niosącego wolę Tharizduna? - ciągnął spokojniejszym już tonem. - Za to osobiście cisnę cię Mrocznemu na pożarcie... kiedy spełnisz już swoje zadanie.

- To dla twojego żalosego bożka - powiedział jeniec i splunął krwawą śliną w twarz mrocznego kapłana.

Durgoth odskoczył z wściekłością, pospiesznie wycierając czoło. Co za bezczelność! Czując wzbierający gniew, zamierzył się pięścią i zobaczył, że pojmany szlachcic wzdryga się w oczekiwaniu na cios. Twarz kapłana wolno wykrzywiła się w uśmiechu, a on sam wstrzymał rękę.

- Przyjdzie czas - powiedział do patrzącego na niego ponuro jeńca - że przypomnisz sobie moją pięść, a twoje cierpienie będzie tak wielkie, że będziesz gotów oddać duszę, by poczuć jej ciężar na twarzy, zamiast męczyć się choć chwilę dłużej. Kiedy do tego dojdzie, chcę, żebyś pamiętał, że winne temu jest twoje bluźnierstwo.

- Pozwól mi spędzić trochę czasu z tym chłopakiem, Durgocie - odezwał się jakiś ochryply głos z tyłu. - Jestem pewna, że uda mi się... rozwiązać mu język i skłonić go do współpracy.

Kapłan odwrócił się i skinął Sydrze głową. Czarodziejka opierała się leniwie o pochyłe bagienne drzewo. Włosy związała na karku srebrną tasiemką odbijającą promienie wschodzącego słońca.

- Za kilka chwil będziesz miała swoją szansę, moja droga - odparł Durgoth.

- Nie rozumiem, po co tracić na to czas - wtrącił się Eltanel. - To oczywiste, że szlachcice przyjdą mu na ratunek. Dlaczego nie zastawimy na nich pułapki i wszystkich nie pozabijamy?

Durgoth milczał przez chwilę, przyglądając się uważnie obojgu członkom gildii. To, co po porażce w Rel Mord zaczęło się jako zwykła rywalizacja, teraz przekształciło się w jawną niechęć. Kapłana to cieszyło. Kiedy złodzieje tracili energię na zwalczanie się wzajemnie, mieli mniej czasu, by spiskować przeciwko niemu.

- Zapominasz, mój przyjacielu - powiedział tonem nie pozostawiającym Eltanelowi żadnych wątpliwości, że uważa go za kogoś zupełnie przeciwnego - że potrzebuję tych głupców do przejścia pułapek grobowca. Potem się ich pozbędziemy.

Eltanel, najwyraźniej rozzłoszczony publicznym upokorzeniem, nie dał za wygraną.

- Udowodnili, że są przeciwnikiem niełatwym do pokonania... błogosławiony - dodał pospiesznie. - Jawny atak na pewno się nie powiedzie.

Durgoth po raz kolejny przeklął w myślach Reynarda i jego przeklętą gildię. Kiedy tylko klucz zostanie uwolniony z grobowca Acereraka, chwilowi sprzymierzeńcy kapłana zapłacą za każdy złośliwy komentarz i bezczelną uwagę -zwłaszcza Eltanel.

- Choć niepokoi mnie twój brak wiary - powiedział - masz częściowo rację, twierdząc, że jawny atak byłby bardzo ryzykowny. Dlatego właśnie będziemy dysponowali tajną bronią.

Rozejrzał się po zebranych wiernych, aż dostrzegł Jhagren Syna i gestem kazał mu się zbliżyć.

- Nasz młody przyjaciel będzie niewidzialnym nożem, wymierzonym w plecy naszych wrogów.

- Nie zdradzę moich przyjaciół, ty nędzna szumowino! -krzyknął pojmany wojownik. - Prędeż umrę, niż pozwolę ci się użyć przeciw nim.

Durgoth nachylił się do niego.

- To, czego ty chcesz, jest zupełnie nieistotne - powiedział z lekceważącym gestem. - Sydro, już czas. - Wskazał więźnia, który zaszamotał się mocniej w uścisku dwóch bullywugów.

- Z przyjemnością - zamruczała czarodziejka, uklękła przed szlachcicem i położyła dłonie na jego głowie.

- A jeśli mu się nie uda? - spytał Eltanel, słabo skrywając niesmak, jaki budziło w nim to, co miało się stać.

Durgoth zauważył słabość złodzieja i poprzysiągł sobie kiedyś ją wykorzystać.

- Co za pytanie, mój drogi Eltanelu - odparł jedwabnym głosem. - Jeśli jemu się nie uda, uda się

następnemu.

Odwrócił się do Jhagrena Syna. Mnich przyprowadził ze sobą swojego ucznia.

- Czy chłopiec będzie służył? - spytał Durgoth.

- Tak, błogosławiony. Będzie służył.

Kapłan uśmiechnął się do Adrysa, który spojrzał na niego swoimi zagadkowymi, niebieskimi oczami.

- Wiesz, że będziesz musiał wyglądać, jakbyś został pojmany - powiedział. - Jesteś gotów?

- Tak, panie - odparł mnich bezbarwnym głosem.

- A więc do dzieła - rzekł Durgoth i odwrócił się z powrotem do złodzieja. Nawet nie drgnął, kiedy po obozie poniosł się echem trzask pękającej kości.

* * *

Kaerion wyteżył wzrok w zapadających szybko ciemnościach, wypatrując jakichkolwiek znaków, że zbliżają się do celu. Przed nim, schylony nisko przy ziemi, Gerwyth badał rozmiękłą ścieżkę, którą szli przez większość dnia. Dwa razy prawie zgubili trop, bowiem błoniaste stopy bullywugów lekko stapały po ziemi, a obmierzłe bestie zdawały się znać każdy zakamarek mokradel. Kaerion obawiał się najgorszego, ale był zbyt doświadczony, by przeszkadzać przyjacielowi głośnymi uwagami.

Mimo powagi sytuacji pasowało mu znajome milczenie, w jakim pograżyli się na większość dnia. Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatni raz podróżowali razem, mając tylko siebie nawzajem za towarzyszy. Choć Kaerion cenił sobie przyjaźń i zaufanie Nyrondczyków - a zwłaszcza pewnej ogniście rudej bardki - z Gerwythem łączyła go głębsza więź, wykuta przez wiele lat podróżowania i walczenia ramię w ramię. Kaerion aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za tym tęsknił.

Ich obecna wyprawa nie miała jednak służyć jego przyjemności, przypominał sobie. Bullywugi porwały Bredetha. Ich towarzysz był przetrzymywany wbrew swej woli gdzieś w głębi bagna. Ustaleni, kto powinien udać się mu na ratunek, towarzyszyła dość zażarta kłótnia. Kaerion wciąż krzywił się na wspomnienie słów Majandry. Bardka miała język ostry jak nóż, jeśli tylko chciała. Ostatecznie dopiero zdecydowana postawa Phathasa przekonała ją, że po szlachcica mają wyruszyć dwaj przewodnicy. Kaerion uśmiechnął się lekko, przypominając sobie buntowniczy wyraz twarzy, z którym Majandra przyjęła rozkazy maga. Kilka razy spodziewał się, że spotkają ją na skrzyżowaniu ścieżek przed sobą.

- Widzę, że jak zwykle całkowicie skupiłeś się na zadaniu - powiedział Gerwyth.

Kaerion wyciągnął do połowy miecz, przestraszony nagłym odezwaniem się towarzysza, potem jednak zdał sobie sprawę, że od jakiegoś czasu nie zwracał uwagi na to, co dzieje się dookoła. Elf wyprostował się i teraz stał tuż za nim. Zmieszanie szybko przerodziło się w złość i zawstydzenie.

- Co znalazłeś, Ger? - warknął Kaerion do uśmiechniętego tropiciela.

Gerwyth otarł pot z czoła i wskazał ścieżkę.

- Bullywugi, które śledzimy, spotkały się tu niedawno z inną grupą - powiedział.

- A więc jesteśmy blisko - stwierdził Kaerion głosem pobrzmiwającym niecierpliwością.

- Cóż, tak, jesteśmy blisko - powiedział Gerwyth. — Ale jest mała komplikacja. Obie grupy się rozdzieliły. Jedna ruszyła na południe, druga na północ.

Kaerion zmartwił. Nie było sposobu dowiedzieć się, w której grupie jest Bredeth. Wojownik obawiał się, że kończy im się czas. Jeśli szybko nie odnajdą młodego szlachcica, może być już za późno na ratunek. Kiedy podzielił się swoimi przemyśleniami z tropicielem, ten się tylko uśmiechnął.

- Nie powiedziałem, że nie wiem, gdzie jest Bredeth -oznajmił.

Kaerion spojrzał na niego ostro. Zauważył, że oczy elfa błyszczą szelmowsko i szybko odpowiedział uśmiechem. Rzeczywiście, jak za starych czasów.

- Ta grupa - powiedział po chwili Gerwyth, wskazując ścieżkę prowadzącą na północ - niosła coś dosyć ciężkiego, co widać wyraźnie po głębszych śladach stóp w błocie.

- Tak, zupełnie wyraźnie. Zgadza się - stwierdził Kaerion z rozbawieniem, patrząc na prawie niewidoczne - a dla jego oczu zupełnie nieczytelne - wgłębienia w błoku.

- Co więcej - ciągnął Gerwyth, najwyraźniej postanawiając zignorować sarkazm wojownika - nasi przyjaciele coś dla nas zostawili.

Z tymi słowami schylił się i zdjął z krzaka zakrwawiony strzępek ubrania.

Kaerion rozpoznał materiał płaszcza Bredetha.

- Jak dawno temu tędy przeszli, Ger? - spytał.

- Myślę, że niecałą godzinę temu, albo jestem ślepym synem niemytego orka - odparł tropiciel.

Kaerion kiwnął głową i spojrzał na niebo.

- W takim razie musimy się spieszyć - powiedział. - Do zmroku nie zostało nam wiele czasu.

Napiwszy się szybko wody z bukłaków, obaj wojownicy ruszyli biegiem krętą ścieżką. Po twarzy Kaeriona spływał pot. Mężczyzna oddychał głęboko i równo, dotrzymując kroku długonogiemu tropicielowi, który zgrabnymi skokami omijał kępy trawy i ciemne kałuże. Dookoła zapadał zmrok. Nadzieja Kaeriona gasła z każdą minutą. Wraz z nastaniem ciemności śledzenie bullywugów stałoby się niemożliwe. Byli już tak blisko. Trudno byłoby im wytrzymać całą noc, czekając na świt.

Pierwszy wartownik ich zaskoczył. Kaerion zauważył jakieś poruszenie po prawej i gestem kazał towarzyszowi zwolnić. Obaj podkradli się do czujnego stwora. Szybkim ruchem głowy Gerwyth dał znak Kaerionowi, który pobiegł głośno w lewo. Stwór obrócił się, słysząc hałasującego w zaroślach wojownika, zanim jednak zdołał wydać jakikolwiek głos, tropiciel wstał i szybko rzucił dwoma sztyletami. Ich ostrza wbiły się głęboko w gardło bullywuga, który charcząc, padł na ziemię.

Elf wyrwał sztylety i dogonił Kaeriona. Podkradli się bliżej, uważając na następnych wartowników. Było jasne, że są już blisko obozu bullywugów. Jeśli chcą uwolnić Bredetha, muszą jak najszybciej i jak najciszej rozprawić się ze wszystkimi stworami, jakie napotkają na swej drodze.

Na wartowników natknęli się jeszcze dwukrotnie i dwukrotnie Gerwyth rzucał sztyletami, uciszając stwory. Teraz, ukryci w gęstych zaroślach, obaj przyjaciele patrzyli na małe jezioro o nieruchomej powierzchni. Na brzegu leżało kilka bullywugów, jedzących obrzydliwie albo rozmawiających ze sobą w zupełnie niezrozumiałym języku. Kaerion patrzył na nie przez chwilę, aż poczuł na ramieniu dłoń Gerwytha.

- Tam - szepnął cicho elf, wskazując na przeciwległy skraj obozu. - Bredeth jest tam.

Kaerion spojrzał we wskazanym kierunku. W półmroku dostrzegł tylko zarys sylwetki szlachcica przywiązanego do grubego drzewa. Sięgnął do mieszka przy pasie i wyjął z niego niedużą, srebrną fiolkę, którą przed opuszczeniem obozu dostał od Phathasa. Złamał jej grubą, woskową pieczęć, uśmiechnął się do Gerwytha i wypił jednym haustem gęsty płyn. Po chwili dezorientacji wszystko dookoła znów się wyostrzyło. Tropiciel kiwnięciem głowy dał znak, że eliksir zadziałał. Niewidzialny gołym okiem Kaerion miał się wślizgnąć do obozowiska bullywugów i uwolnić Bredetha, podczas gdy Gerwyth odwróci uwagę stworów. Potem obaj mają spotkać się przy ścieżce i wrócić do przyjaciół, którzy nawet w tej chwili podążają w stronę grobowca Acereraka.

Najciszej jak mógł, Kaerion okrążył obóz, z każdym krokiem bliższy uwięzionego szlachcica. Liczył, że będzie miał dość czasu, by go odciąć i wynieść, zanim któryś z wartowników natknie się na trupy swoich pobratymców.

Znieruchomiał, słysząc w ciemności trzask pękającej gałązki. Wstrzymał oddech, kiedy z zarośli wyłonił się bullywug. Stwór zatrzymał się i wbił w gęstniejącą ciemność spojrzenie wylupiastych oczu. Stał zaledwie kilka stóp od Kaeriona. Wojownik był pewien, że zostanie wykryty; zaczął wyciągać miecz, jak najostrożniej, by nie zdradzić swej obecności, zanim jednak zdołał uwolnić go do końca z pochwy, bullywug zamrugał i ruszył w stronę nieruchomych wód jeziora.

Kaerion powoli wypuścił powietrze i zaczął, aż jego serce się uspokoi. Po kilku następnych minutach ostrożnego przekradania znalazł się koło Bredetha. Skrzywił się, widząc głębokie

skaleczenia i siniaki na jego ciele. Młody szlachcic był najwyraźniej przesłuchiwany. Wyglądało jednak na to, że bullywugom niełatwo było wydobyć z niego informacje.

- Uważaj - szepnął Kaerion do Bredetha, zaczynając przepiłowywać grubą linę, którą przywiązano pojmanego wojownika do drzewa.

- C... co? K... kto to? - spytał Bredeth przez spuchnięte usta.

- Ćśśś - ostrzegł go Kaerion. - To ja, Kaerion. Gerwyth i ja przyszliśmy cię uwolnić. - Jego nóż, choć ostry, niełatwo przegryzał się przez pokrytą śluzem linę. Przecięcie jej mogło potrwać kilka minut.

Bredeth wydał z siebie cichy dźwięk, coś pośredniego między jękiem i szlochem.

- Mniejsza ze mną - szepnął ochryple. - Ratujcie chłopca. Kaerion przyjrzał się mu uważnie, pewien, że szlachcic bredzi, ale ten powtórzył znów to samo. Dopiero kiedy miał jedną rękę wolną, wskazał na leżącą nieopodal w błocie niewielką postać. Kaerion zaklął cicho, wsunął delikatnie nóż w spuchniętą dłoń Bredetha i podszedł do chłopca.

Wojownik odwrócił łagodnie na plecy ciało i ku swemu zaskoczeniu ujrzał twarz młodego chłopaka, najwyżej piętnastoletniego. W przeciwieństwie do Bredetha, nieznajomy nie był przywiązany do drzewa, ale Kaerion zauważył, że jego ramię zwisa pod nienaturalnym kątem. Wojownik posadził chłopca ostrożnie na ziemi i nalał mu do ust odrobinę wody.

Młody jeniec połknął ją odruchowo i powoli, mrugając, otworzył oczy. Przez chwilę Kaerionowi zdawało się, że znów jest w pradawnej kaplicy i patrzy w przeszywające, niebieskie oczy ufnego dziecka. Ogarnęło go przerażenie i wyrzuty sumienia, w oddali jednak usłyszał gwizd strzał i znajomy, elfi okrzyk wojenny. Odgłosy były coraz głośniejsze i Kaerion wyczołgał się ze szponów swojej wizji. Zamrugął, jak człowiek, który wychodzi z ciemnego lochu na jasne światło dnia. Chłopak wciąż patrzył na niego nierozumnym wzrokiem, a Kaerion zdał sobie sprawę, że wciąż jest niewidzialny.

- Spokojnie, synu - szepnął. - Jestem przyjacielem. Uciekniemy stąd, tylko bądź cicho.

Chłopiec zamrugął oczami, ale nic nie powiedział. Kaerion podniósł go prawie bez wysiłku i odwrócił się do Bredetha. Szlachcic, choć poraniony i zmaltretowany, zdołał poprzecinać resztę krepujących go więzów. Rozcierając nadgarstki, by przywrócić krążenie krwi, uśmiechnął się do chłopca, który wydawał się płynąć w jego stronę w powietrzu. Dookoła panował chaos.

- Musimy się pospieszyć - powiedział Kaerion. - Gerwyth nie zdoła odwracać ich uwagi dużo dłużej.

Zanurzył się w zarośla, pewien, że Bredeth pójdzie za nim.

Kaerion biegł.

Skąpane w księżycowym świetle Przepastne Bagnisko jarzyło się błędnymi ognikami. Cienie lśniły srebrem, ciemność i blask rozmywały wszystkie krawędzie. Trawa, wiatr, nawet nieruchome

stawy — wszystko to nie robiło Kaerionowi różnicy. Biegł przez nie - a może przez sny o nich. Skąpane w kryształowym świetle księżyców otoczenie stapiało się w jedną rzeczywistość.

A on biegł.

Gdzieś przed nim, wiedział to, Gerwyth prowadzi rannego Bredetha, który mimo własnej słabości parł naprzód i nie pozwolił się nieść. Był odważny, to nie ulegało wątpliwości.

Kaerion wziął głęboki oddech, czując, że jego ciało każdym nerwem domaga się odpoczynku. Obok niego pędził chłopiec, najwyraźniej wolny już od wywołanego ranami otumanienia. Nie zwalniali już od kilku godzin i Kaerion ze zdumieniem przekonał się, że chłopak bardzo szybko biega.

Podczas rzadkich i bardzo krótkich odpoczynków dowiedzieli się trochę więcej o byłym jeńcu. Oddychając ciężko, przedstawił się jako Adrys, syn kupca z Sunndi. Karawana jego ojca została zaatakowana przez bullywugi niedaleko skraju bagien, a jego samego uprowadzono. Nie wiedział, czy jego rodzina przeżyła.

Kaerion potknął się o korzeń i upadłby, gdyby Adrys nie podtrzymał go ramieniem. Nie zatrzymując się, wojownik podziękował mu uśmiechem i skupił się znów na walce ze zmęczeniem i bólem mięśni. Trzy razy prawie dali się złapać patrolom bullywugów, które szukając ich, przetrząsały bagno. Tylko niesamowite umiejętności Gerwytha pozwoliły im uniknąć wykrycia. Nawet w tej chwili Przepastne Bagnisko rozbrzmiewało nawoływaniem i wrzaskami rozwścieczonych stworów. Kaerion wiedział, że pościg jest tuż za nimi i że będą potrzebować każdego okruszka siły i wytrzymałości, by dotrzeć do reszty drużyny.

Mijały godziny, księżycy osunęły się niżej na nocnym niebie, a mrok stał się jeszcze bardziej nieprzenikniony. Kaerion wyczuwał czyhające za każdym drzewem i krzakiem niebezpieczeństwo. Nieustępliwie parł jednak naprzód, myśląc o ustach Majandry i zmuszając do wysiłku mięśnie już i tak działające tylko dzięki sile woli.

Kiedy Gerwyth dał znak do zatrzymania, Kaerion z zaskoczeniem ujrzał rozświetlający horyzont róż wstającego świtu. Oddychał ciężko i szybko, zgięty w pół, opierając się dłońmi o kolana. Obok niego Adrys pił łapczywie wodę z bukłaka, i nawet zazwyczaj niewzruszony elf wyglądał na zmęczonego, nachylając się nad leżącym bezwładnie na ziemi Bredethem.

Kawałek dalej ścieżka rozszerzała się i schodziła w dół pod dość ostrym kątem. Za poszarpaną ścianą drzew i krzaków Kaerion zobaczył szlak opadający ku rozległej, zalanej stojącą wodą równinie. W oddali wyrastało z niej kilka płaskich wzgórków. Zanim jednak zdążył się im dokładniej przyjrzeć, ciszę poranka przerwał tryumfalny bulgot.

Kaerion zaklął, widząc wyskakujące z zarośli cztery bullywugi. Odwrócił się, by ostrzec towarzyszy, z satysfakcją zobaczył jednak, że Gerwyth sam dostrzegł zagrożenie. Elf wyciągnął oba krótkie miecze, choć ręce drżały mu ze zmęczenia. Z Kaerionem wcale nie było lepiej.

Mężczyzna wyciągnął własne ostrze i stłumił kolejne przekleństwo, czując własną słabość. Zapowiadała się niełatwa walka. Muszą przebić się przez te stwory, zanim nadbiegną ich pobratymcy.

Z niezbornym okrzykiem Kaerion rzucił się na bullywugi, a klinga jego miecza rozbłysła w promieniach wschodzącego słońca. Pewien, że Gerwyth biegnie tuż za nim, wpadł na najbliższego przeciwnika, tnąc go w kark. Swoje piętno odcisnęły na nim jednak zmęczenie i brak wody. Bullywug odbił cios włócznią, a potem spuścił jej drzewce na głowę Kaeriona. Wojownikowi wszystko zawirowało przed oczami, kiedy zachwiał się od siły uderzenia. Przeciwnik rąbnął go w brzuch. Kaerion potknął się i stoczył po stromej pochyłości w dół ścieżki. Spadając, kątem oka dostrzegł swoich towarzyszy, którzy przebili się przez bullywugi i biegli w ślad za nim.

Runął twarzą w błoto z siłą, od której zapało mu dech. Rozpaczliwie zaczął gramolić się na nogi i szukać miecza, pewien, że za chwilę umrze. To, co zobaczył, sprawiło, że prawie wypuścił z zaskoczenia broń.

Stojące na szczycie ścieżki bullywugi podniosły broń i za-syczały wściekle na intruzów. Za nimi pokazały się kolejne, całe stado, wzdłuż całego skraju skarpy. Jeden po drugim ohydne stwory unosiły łby i wydawały z siebie przerażające wycie, które niesło się echem po równinie.

Kaerion, wciąż z trudem łapiąc oddech, powłókł się do swoich towarzyszy, którzy stali osłupiali i patrzyli na ścieżkę. Zastanawiał się, dlaczego bullywugi nie zaatakowały. Niemożliwe, żeby ich czterech, zmęczonych i poranionych, mogło poradzić sobie z taką przewagą liczebną.

Potem jednak, kiedy słońce wyjrzało nad horyzont, Kaerion dostrzegł jakiś błysk za plecami. Odwrócił się i przyjrzał widokowi. W oddali, na szczycie jednego z płaskich wzgórz widniało dziwaczne skupisko skał. Czarne głazy strzelały w niebo jak sztylety, układając się w wyszczerzoną czaszkę.

Nagle Kaerion zrozumiał, dlaczego bullywugi nie chciały podejść bliżej, zrozumiał, dlaczego cała równina przed nim spowita jest ciszą. Zadrzał. On i jego towarzysze byli chwilowo bezpieczni.

Znaleźli go.

Przed nimi, oznaczone makabrycznym symbolem, znajdowało się miejsce ostatniego spoczynku Acereraka - Krypta Grozy.

Część 3

„W okrucieństwie jest siła, we władzy rozkosz.
Jedyną prawdziwą słabością jest współczucie.”

- Księga dziewięciu cieni



Grupa najemników zaczęła coś krzyżeć. Majandra odwróciła się od spisywanego inwentarza - piątego, odkąd prawie trzy dni temu przybyli do grobowca - i zaniósła modlitwę do każdego boga, jaki akurat jej słuchał. Spojrzała na żołnierzy kopiających łopatami i kilofami. Było jasne, że znaleźli kolejny zawalony tunel. Majandra miała nadzieję, że ten będzie prowadził do wnętrza krypty.

W ciągu ostatnich dni znaleźli cztery takie korytarze. Po kilku godzinach wyteżonej pracy odkopali wszystkie i wysłali do nich grupy żołnierzy. Trzy okazały się ślepe, zakończone kamiennym murem. Czwarty prowadził do starożytnych, metalowych wrót i pułapki tak przemyślnie skonstruowanej, że trzech najemników prawie zginęło, kiedy zawalił się na nich spory odcinek korytarza. Tylko szybka pomoc pozostałych i mądre wykorzystanie magii Phathasa pozwoliło ich uwolnić wystarczająco szybko, by Vaxor zdążył użyć swych uzdrowicielskich mocy.

Nie tylko ich wyprawa ucierpiała od okrutnych pułapek starożytnego grobowca. Kopiając, żołnierze odkrywali fragmenty pancerzy, odłamki kości i całe pogruchothane szkielety, świadczące o diabelskim sprycie konstruktora podziemi. Majandra nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, ilu odważnych poszukiwaczy przygód pokonało Przepastne Bagnisko tylko po to, by zginąć na progu grobowca Acereraka.

To naprawdę czarne myśli, uświadomiła sobie, jak na kogoś, kto jest bliski wypełnienia zadania, któremu poświęcił trzy ostatnie lata. A mimo to nie mogła się ich pozbyć od chwili gdy Kaerion i Gerwyth wyruszyli po Bredetha.

- Martwisz się czymś, dziecko? - spytał ktoś za jej plecami.

Majandra podskoczyła, przestraszona, zanim rozpoznała głos Vaxora. Odwróciła się i zobaczyła, że kapłan podszedł do niej, pogrążonej w myślach, i patrzył teraz swoim niesamowitym wzrokiem, współczującym, a zarazem przeszywającym na wskroś. Rozmawiając z ludźmi, którzy z uporem uważali ją za młodą - i co za tym idzie, próbowali pouczać - półelfka często musiała zwalczać chęć, by wypomnieć im, że jest od nich starsza.

W jakiś sposób chęć ta nigdy nie odezwała się w rozmowach z Vaxorem. Nie stało się tak i teraz. Coś w sposobie bycia kapłana sprawiło, że taka uwaga zabrzmiałaby małostkowo i głupio.

- Nie ma ich prawie od pięciu dni, Vaxorze - powiedziała Majandra, przełykając ślinę. - Nawet

wrózenie Phathasa nic nie dało. Oczywiście, że się martwię.

Kapłan położył jej dłoń na ramieniu.

- Rozumiem twoją troskę, ale Gerwyth jest najlepszym tropicielem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Niezliczoną ilość razy przeprowadzał nas przez różne niebezpieczeństwa. Martwiłbym się raczej o te nieszczęsne Dullywugi. Pewnie do tej pory zachodzą w głowę, jaka to armia przewaliła się przez ich krainę.

Majandra uśmiechnęła się wbrew sobie. To, co powiedział Vaxor, było najpewniej prawdą. Nie wspomniał jednak o Kaerionie, a dla bardki było jasne, że zrobił to umyślnie. Mimo wszystkiego, co przeżyli razem przez ostatnie kilka miesięcy, upadły paladyn stał między Majandra a kapłanem jak przeszkoda, jakby oczywisty wstręt Vaxora do Kaeriona w jakiś sposób rozciągnął się i na nią. Powinna być zła na bezkompromisową prawość kapłana, na jego bezwzględny osąd. Zamiast tego czuła głęboki smutek. To, że tak dobry i szlachetny człowiek jak Vaxor był do tego stopnia oślepiiony własnym fanatyzmem, było powodem do żalu, a nie wściekłości.

Przestała się uśmiechać i spojrzała w oczy kapłanowi. Stali tak w napiętym milczeniu, dopóki ciszy nie przerwały okrzyki żołnierzy. Do heironeusejskiego kapłana podeszła Landra, spokojna i opanowana jak zwykle.

- Moi ludzie mówią, że skały w zawalonym tunelu są za twarde, żeby przebili się przez nie swoimi narzędziami - powiedziała. - Będą potrzebować pomocy, najlepiej magicznej.

- Już idę - powiedział Vaxor i odszedł w poszukiwaniu Phathasa. Majandra popatrzyła za nim i zauważyła grymas na twarzy Landry.

- Stary maruda - powiedziała konspiracyjnym szeptem wojowniczką. - Przydałby mu się największy bukłak wina, jaki mają Gloriolczycy. Dobrze by mu to zrobiło. - A potem ona też odwróciła się i poszła z powrotem do swoich żołnierzy. Tym razem Majandra uśmiechnęła się szeroko, naprawdę rozbawiona.

Kilka chwil później zobaczyła, że do zawalonego tunelu idzie Phathas. Złani potem mężczyźni i kobiety zebrali się w milczeniu za czarodziejem, który podniósł ręce nad głowę. Nad obozem zaległa cisza, starzec zaś począł kreślić w powietrzu skomplikowane znaki. Półelfka patrzyła na swojego dawnego nauczyciela z dumą i podziwem. Nawet przygięty brzemieniem lat i przeżyć, Phathas każdym gestem i ruchem dawał świadectwo swoich olbrzymich umiejętności. Był czarodziejem, który poświęcił całe życie poszukiwaniom wiedzy i okiełznowaniu magicznych mocy - mocy, które teraz zbierały się w jego dłoniach.

Majandra patrzyła, jak inkantacja zbliża się do końca. Włosy na jej karku zjeżyły się od energii, którą zgromadził Phathas. Zakończywszy recytację, mag krzyknął kilka słów w subtelnym języku magii i wyrzucił przed siebie rękę.

Nic się nie stało.

A potem świat eksplodował chmurą pyłu i kamieni, w którą zamieniły się głązy blokujące tunel. Strażnicy zaczęli wiwatować, kiedy wiatr rozwiął kurz, odsłaniając prowadzący w głąb wzgórze korytarz. Krzyki radości zamieniły się jednak szybko w krzyki obrzydzenia, bowiem z tunelu powiało cuchnącym powietrzem. Wszyscy padli na kolana, charcząc i plując. Nawet stosunkowo bezpieczna między tratwami Majandra zakrzuszyła się, kiedy dotarła do niej fala smrodu. Jeśli ktokolwiek miał jeszcze jakieś wątpliwości, że starożytny grobowiec zamieszkiwało mroczne zło, straszliwy odór na pewno je rozwiął.

Tym razem to Vaxor stanął przed wlotem tunelu. Zasłaniając twarz jedną ręką, uniósł swój święty symbol i przyzwał moc arcypaladyna. Błyskawica rozświetliła się niebiesko-białą poświatą, kiedy wiatr powiał z korytarza kolejną falą smrodu. Majandra myślała przez chwilę, że kapłan się cofnie, Vaxor jednak dał krok naprzód i jeszcze raz wezwał swego boga. Kiedy skończył modlitwę, rozbrzmiał huk gromu, a z nieba zaczął padać drobny deszcz.

Majandra wykrzyknęła ze zdumieniem, kiedy poczuła znajomy zapach. Gdziekolwiek spadała kropla przyzwanego deszczu, tam roznosić się poczynał aromat róż. Pozostali byli równie zdziwieni. Wszyscy unosili twarze do góry, a kilku wybuchnęło śmiechem. Potem, równie niespodziewanie jak się zaczęła, mżawka ustała. Mimo to zapach róż nie zniknął, tłumiąc stęchły smród grobowca.

Półelfka podeszła szybko do kapłana pomagającego wstać Phathasowi.

- To było cudowne, Vaxorze - powiedziała z większym uczuciem, niż zamierzała.

Vaxor skłonił się dwornie.

- Choć Heironeus jest panem wojny, w jego służbie jest też piękno, moja damo - powiedział z lekką tylko przyganą.

Phathas poklepał go po ramieniu.

- Dobra robota, przyjacielu - rzekł. - Bardzo dobra. - Potem odwrócił się do Landry, która tymczasem cicho do nich podeszła. - Zbierz swoich żołnierzy i każ im zgromadzić sprzęt potrzebny do dalszej drogi. Niedługo wejdziemy do grobowca Acereraka.

Majandra odwróciła się i ruszyła z powrotem do tratw, zamierzając pomóc najemnikom w tym zadaniu. Potknęła się jednak, zaskoczona, kiedy usłyszała znajomy głos.

- Jakie to ludzkie - krzyknął Gerwyth - wyjść, zanim zjawią się goście!

Półelfka spojrzała z nadzieją w tamtą stronę i zmartwiała, widząc tylko tropiciela podtrzymującego Bredetha i zmierzającego ścieżką w stronę obozowiska. W gardle zaczęło jej wzbierać łkanie, w tej samej chwili jednak zobaczyła Kaeriona i, ku swemu zdziwieniu, jeszcze jedną postać - młodego człowieka, idących razem za Gerwythem. Gdzieś w głębi duszy wiedziała, że powinna być ciekawa, kto to zacz, ale nogi zaczęły już ją nieść w stronę pewnego czarnowłosego wojownika, a wszystkie pytania zniknęły, kiedy rzuciła mu się na szyję.

Kaerion zaciągnął ostatni pasek zbroi i przypiął do ramienia tarczę. Po raz pierwszy od kilku tygodni czuł się naprawdę chroniony. Chociaż poranne słońce zaczęło już jak co dzień bezlitośnie wypalać ziemię, z wlotu tunelu bił chłód. Przynajmniej będę mógł nosić kolczugę, pomyślał wojownik, nie zalewając się potem po pierwszych trzech krokach.

Wokół niego do wejścia w głąb grobowca szykowali się pozostali. Kaerion wyjął miecz z pochwy i rozgrzał mięśnie prawej ręki kilkoma podstawowymi ćwiczeniami. Czuł się wypoczęty po całej nocy snu i był wdzięczny, że Phathas zdecydował się zaczekać z wejściem do podziemi, aż Bredeth i jego wybawiciele odpoczną.

Kaerion obiecał młodemu szlachcicowi, że będzie uważał na Adrysa. Bredeth uparł się przy tym do tego stopnia, że nie pozwolił Vaxorowi zająć się swoimi ranami, dopóki Kaerion nie przysiągł. Wojownik nigdy by nie przypuszczał, że arogancki szlachcic tak bardzo przejmie się losem zwykłego człowieka, ale bitwy, które stoczyli od chwili opuszczenia Rel Mord, mogły zmienić każdego. Kaerion był tylko wdzięczny, że była to zmiana na dobre.

Rozejrzał się po obozie i zobaczył Adrysa rozmawiającego z Landrą. Kapitan wydawała się pouczać chłopca. Kiedy Kaerion podszedł bliżej, dawała mu właśnie krótki, ćwiczebny miecz.

- Umiesz się tym posługiwać? - spytała poważnym tonem, który Kaerionowi kojarzył się zawsze z doświadczonymi weteranami.

Adrys potrząsnął głową.

- Nie - wykrztusił w końcu. - Tata zawsze trzymał mnie z dala od żołnierzy. Wolał, żebym uczył się prowadzić jego księgi i rachunki, zamiast posługiwać bronią.

Kapitan odchrząknęła powoli, dając do zrozumienia, co sądzi o takim wychowaniu. Kaerion uśmiechnął się lekko, widząc zmieszanie Adrysa.

- Cóż, chłopcze - powiedziała Landra, kończąc wykład. - Oстрыm końcem dźgasz to, co chce cię ugryźć i nie wchodzisz pozostałym w drogę. - Klepnęła chłopca mocno w plecy i odeszła, wykrzykując rozkazy do swoich ludzi.

Adrys niezdarnie trzymał miecz w dłoni. Zobaczywszy Kaeriona, wzruszył ramionami.

- Nie lubi mnie chyba, prawda? - zapytał smutno. Uśmiech wojownika poszerzył się.

- Landra nic do ciebie nie ma, chłopcze. Chce tylko, żebyś wyszedł żywy z tego grobowca - powiedział najłagodniej, jak umiał.

W rzeczy samej temat zabrania Adrysa do podziemi wywołał dość ożywioną dyskusję. Zostawienie go na powierzchni oznaczało osłabienie drużyny, ponieważ musieliby wraz z nim zostawić kilku żołnierzy. Wzięcie go ze sobą z kolei znaczyłoby, że ktoś cały czas będzie musiał go pilnować. Osobiście Kaerion był zadowolony, kiedy Phathas postanowił zabrać chłopca. Przysięga, którą złożył Bredethowi, poważnie by wszystko skomplikowała.

Poza tym chłopiec byłby najbezpieczniejszy, podróżując wraz z całą grupą.

W tym momencie poklepał go po ramieniu Gerwyth.

- Już czas, Kaer - powiedział tropiciel. - Phathas każe wszystkim zebrać się przy wlocie tunelu. Przodem pójdą trzej najemnicy, za nimi ja i ty. Mamy wypatrywać wszelkich niebezpieczeństw. Phathas, Vaxor i Majandra będą szli za nami, a Bredeth, Landra i reszta żołnierzy na końcu.

Odwrócił się do Adrysa.

- Ty, mój młody przyjacielu, będziesz miał zaszczyt iść obok jednego z najmądrzejszych czarodziejów, jakich znałem. Postaraj się nie wpakować w żadne kłopoty.

Tropiciel uśmiechnął się, łagodząc w ten sposób ostre napomnienie i ruszył do grupy zbierającej się przy wlocie tunelu. Kaerion wzruszył przepaszając ramionami, kiedy Adrys skrzywił się do pleców tropiciela, a potem położył mu rękę na ramieniu i poprowadził go do reszty.

Vaxor kończył właśnie swoje błogosławieństwo, kiedy Kaerion ustawił się na swoim miejscu. Lata przyzwyczajenia kazały mu jeszcze raz sprawdzić całe oporządzenie. Zbyt wielu wojowników zginęło przez swoją niedbałość, on nie zamierzał do nich dołączać. Zbroja, tarcza, plecak - wszystko w porządku. Wiedział, że tak jest, ale potrząsnął lewą nogą nienawykły do ciężaru na lewym biodrze. Naprzeklinawszy się w duchu, postanowił zabrać ze sobą Galadorna. Znając kłatwę, która na nim ciążyła, wiedział, że nie ma sensu zostawiać miecza wśród zapasów na tratwach. W ten sposób przynajmniej nie zaskoczy go jego nagłe pojawienie się w najmniej odpowiednim momencie.

Kaerion oparł dłoń na rękojeści drugiej broni i sprawdził, czy lekko wychodzi z pochwy. Phathas dał sygnał wymarszu. Człowiek nie skłócony z bogami poleciłby się ich opiece w krótkiej modlitwie, kiedy najemnicy przed nim zstąpiliby do ciemnego korytarza, bo miał przed sobą jeden z najstraszniejszych grobowców w całym Flanaess. Kaerion splunął tylko i uśmiechnął się do Bredetha, a potem ruszył za innymi.

Chociaż wczorajsze błogosławieństwo Vaxora usunęło odrażający smród podziemi, bijące z ich głębi podmuchy niosły ze sobą jego ślad. Kaerion oddychał ustami. Chłodny powiew grobowca poruszył w nim jakąś strunę. Wyczuwał w nim, jeśli coś takiego było w ogóle możliwe, zapowiedź zła i coś jeszcze głębszego, coś, co mówiło o ciemności i samotności, i potędze większej niż sama śmierć.

Kaerion szedł przed siebie, ignorując zimne ciarki na grzbiecie. Dookoła czaiło się zło, echo obecności tak namacalnie spaczony, że sama ziemia zdawała się krzyczeć w proteście. Kaerion nie był jednak prostym wieśniakiem, który nabrał odwagi po kilku kufiach piwa i ruszył na wyprawę z mieczem równie tępym jak on sam. Paladyn stawiał czoła samemu sercu zła i choć złamał się pod jego naporem, przeżył. A dopóki żył, nie zamierzał drugi raz się poddawać.

Szedł przed siebie, pchany siłą woli, przełamując paraliż, który zdawał się unieruchamiać jego członki. Widział, że najemnicy czują to samo i poklepał każdego z nich po ramieniu, szepcząc im

słowa otuchy i odwagi. Dopiero jednak kiedy Vaxor wymówił imię Heironeusa, a tunel zalało błogosławione światło, cała grupa mogła ruszyć naprzód. Wszyscy odetchnęli, każdy na swój sposób dziękując Najmężniejszemu. Obejrzawszy się szybko za siebie, Kaerion zauważył z zaskoczeniem i pewną dumą, że Adrys nie okazuje strachu. Chłopiec rozglądał się spokojnie i nawet uśmiechnął blado, kiedy dostrzegł spojrzenie wojownika.

Odwracając się z powrotem do idących przodem najemników, Kaerion zobaczył, że tunel rozszerza się, prowadząc coraz głębiej w mrok. W blasku czaru Vaxora widać było gładkie i proste ściany, różne od topornie ciosanych gładów korytarza, którym szli do tej pory. Kaerion wyciągnął ostrożnie rękę i przeciągnął palcem po powierzchni muru. Chociaż nie był ekspertem, domyślił się, że ktokolwiek zbudował to przejście, wygładził ściany tynkiem lub gipsem.

Kiedy drużyna zagłębiła się dalej, Kaerion odkrył, dlaczego tak było - i odkrycie to niemal zaparło mu dech w piersiach. Każdy cal ścian pokryty był skomplikowanymi i misternymi freskami, podobnie jak wysokie na prawie siedem metrów sklepienie. W kręgu iluminacji Vaxora Kaerion zobaczył sarny pasące się leniwie w południowym słońcu, stado wilków wyczerniające z gęstego zagajnika i mnóstwo zwierzolu ludzi igrających i walczących ze sobą w sielankowych sceneriach. Ale to Bredeth odkrył najbardziej niepokojący z wizerunków, przypominający im o prawdziwej naturze miejsca, w którym się znaleźli. Na jednej ze ścian widniał znajomy szereg wozów brnących przez zasypane śniegiem pola Nyrondu.

Mimo tego złowieszczego odkrycia, pierwszą reakcją Kaeriona wywołały kolory. Mimo tego, że grobowiec był starożytny, malowidła wyglądały tak, jakby powstały wczoraj. Magia, czy może raczej klątwa, sprawiła, że oparły się działaniu czasu.

Podłoga również nie była pozbawiona zdobień. Podczas gdy reszta drużyny badała freski na ścianach, Kaerion przykłęknął i dotknął czerwonej mozaiki. Z zaskoczeniem dostrzegł, że czerwone płytki układają się w wąską, wystarczającą dla jednej osoby ścieżkę i wijącą się dalej w głąb pomieszczenia. Wojownik miał właśnie zwrócić na to uwagę pozostałych, kiedy rozległ się stłumiony krzyk.

Kaerion odwrócił się i zobaczył jednego z najemników, mężczyznę imieniem Joran, wpadającego w otwór, który nagle rozwarł się pod jego stopami. Wojownik pobiegł w tamtą stronę, ciągnąc za sobą najbliższego żołnierza. Przyświecając sobie pochodnią zajrzał w dziurę w podłodze. To, co zobaczył, sprawiło, że zamarł. Trzydzieści stóp niżej, na skraju światła pochodni leżał Joran, a z jego piersi i nóg sterczały błyszczące szpikulce. Nawet z tej odległości widać było wyraźnie, że jest martwy. Kaerion zaklął.

Grobowiec pochłoniął swoją pierwszą ofiarę.



Majandra usłyszała krzyk Jorana i przekleństwo Kaeriona jak z oddali, nie dlatego jednak, że obojętna była jej śmierć człowieka. Przeciwnie, wpatrując się w dziwacznie zbudowany korytarz jakąś częścią umysłu wspomniała żołnierza. Krótkie przeblyski jego życia - swoboda, z jaką żartował z kompanami, jego zainteresowanie końmi, to, jak zawsze prosił ją o zwawe piosenki ze wzgórz Nyrondu, skąd pochodził - wszystko to sprawiało, że bolało ją serce.

Jednak druga część, ta, która pożałowała starożytnych tajemnic i dawno zapomnianych opowieści, która kazała jej zapamiętywać każdy wers usłyszanego poematu czy sagi, która zamieniała najmniejszą sugestię tajemnicy w palące dążenie do wiedzy, a każdą nutę zagraną na harfie w kolejny krok tańca mistrzostwa - ta część jej umysłu wpatrywała się osłupiała w malowidło dawno nieżyjącego maga. Wchłaniała je, każde pociągnięcie pędzla, każdy symbol i ręcznie rzeźbioną runę. Wszystko to zlewało się w płótno historii snutej dawno temu, starożytnej już zanim w krwi i pożodze narodziło się królestwo Nyrondu. Na wspomnienie zmarłych będzie jeszcze czas, pomyślała Majandra. Zawsze był.

Rozglądając się dookoła, zauważyła, że Bredeth również patrzy dookoła z pozorną fascynacją. To była kolejna tajemnica. Odkąd go znała, był porywczy i arogancki, tymczasem po uwolnieniu go z rąk bullywugów stał się zamknięty w sobie i pełen wahania. Majandra zastanawiała się, co mogło wywołać w nim tak drastyczną zmianę. Widziała mężczyzn i kobiety wracających z wojny jako wraki, ale to było coś zupełnie innego. Bredeth wydawał się... przytępiony, niczym miecz użyty do kopania dołów, a potem rzucony w kąt.

Bardka miała już go o to zapytać, kiedy poświęta Vaxora oświetliła coś na podłodze - wzór z wijącej się mozaiki, niemal znajomy. Nagle zrozumiała: runy. Ciągnęły się wzdłuż mozaiki, misterne i delikatne, lśniące jak stopione srebro. Zapomniawszy o Bredecie, Majandra przywołała czar, którego nauczył ją sam Phathas. Cichym głosem wyśpiewała słowa, które uwalniały magiczne moce, i uniosła się łagodnie pod sklepienie, potem zaś, odpychając się od niego, poleciała nad mozaikową ścieżkę. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że Vaxor trzyma w ramionach ciało Jorana. Kapłan recytował słowa ostatniego błogosławieństwa, przyspieszając podróż duszy zabitego w objęcia Heironeusa, bardka nie rozumiała jednak, co mówi, tak bardzo pochłaniały ją wypalone

w jej umyśle runy. Kobieta poczuła, że wpada w trans bardów, poprzedzający opowiadanie najdłuższych opowieści. Jej głos rozbrzmiał w korytarzu echem ćwiczonego tembru, który potrafił uciszyć nawet najbardziej niespokojny tłum.

„ Wróc do dręczyciela albo poprzez luk A drugą wielką salę odkryjesz. Unikaj zieleni, ale nocy kolor dobry Jest dla tych, co wielkiego są męstwa. Gdy czerwieni odcienie oznaczają krew Mądry poświęci jedynie Magiczny krążek — dalekość już zaszedł.

Dwie jamy po drodze odkryjesz, co wiodą Do upadku bez celu, wybadaj więc ścianę. Te klucze i one są ze wszech najważniejsze, I strzeż się dłoni drżących i tego, co miażdży. Jeśli znajdziesz fałszywe, znajdziesz i prawdziwe, I do sali kolumn trafisz, a tam tron Co kluczem jest i klucz go otwiera.

Ludzie z żelaza, co wzrok ich ponury Więcej potrafią, niż zdawać się może Szedleś i szedleś i grób mój znalazłeś A dusza twa teraz zgorze. " Ciszę, która ogarnęła całą drużynę, przerwał Gerwyth.

- To - powiedział krytycznie - było naprawdę straszne, Majandro. Mam nadzieję, że sama tego nie wymyśliłaś. Słyszałem lepsze rzeczy od pijanych dokerów w dziesięciodniowym cugu.

Otrząsnąwszy się z dziwnego transu, bardka poczuła, że wzbiera w niej gniew. Wiedziała, że jest irracjonalny. Gerwyth starał się tylko rozwiać ogarniające wszystkich przygnębienie, ale coś w jego głosie ukłuło jej dumę.

- Oczywiście, że tego nie wymyśliłam - warknęła. - Napisał to Acererak, w starożytnym języku. Słowa tracą bardzo dużo w przekładzie - i w interpretacji ciasnych umysłów.

- Spokojnie, Majandro - odezwał się milczący od chwili wejścia do grobowca Phathas. Mag przeczesał brudną dłonią swoją krzaczastą brodę i wydał w zamyśleniu wargi. - Wygląda na to, że Acererak zostawił swego rodzaju przewodnik dla tych, którzy przychodzą łupić jego grobowiec.

- Ale dlaczego miałby to robić, Phathasie? — spytał Kaerion. - Dlaczego czarodziej miałby oferować pomoc złodziejom, którzy chcą splądrować miejsce jego spoczynku? To bez sensu.

Na to pytanie ku zaskoczeniu Majandry odpowiedział Vaxor. Kapłan zamknął delikatnie oczy Jorana i potoczył po drużynie surowym wzrokiem.

- Legendy mówią, że Acererak lubował się w grach, nikt bowiem na całym świecie nie dorównywał mu sprytem. Okrutnymi zagadkami demonstrował swoją wyższość nad tymi, którzy chcieli stawić mu czoła. Bardowie twierdzą - wskazał Majandrę i przepaszająco wzruszył ramionami - że jego największym przeciwnikiem była sama śmierć i nikt nie wie, kto wyszedł zwycięsko z tej ostatniej rozgrywki.

Ciszę znów przerwał gardłowy śmiech Gerwytha. Choć przyjemnie było go słyszeć, Majandrę niezmiernie rozzłościła ta wesołość.

- Co cię tak rozbawiło, na dziewięć piekieł? - spytała ostrym głosem.

Elf chichotał tylko dalej, wydając się nieporuszony jej zmieszaniem. Majandrę zeźliło to jeszcze bardziej i już miała go zwymyślać, kiedy podniósł pojednawczo rękę.

- Proszę, moja damo - powiedział na tyle poważnie, na ile pozwalało mu rozbawienie. - Nie rani mnie więcej. Pomyślałem tylko, że jeśli to, co powiedział Vaxor to prawda, Acererak zbudował ten grobowiec z myślą o lekkomyślnych poszukiwaczach przygód, którzy przyjdą zbezcześcić go w poszukiwaniu skarbów. Jeśli to gra, to zagraliśmy dokładnie tak, jak tego chciał.

Na te słowa Majandra poczuła, że gniew wylewa się z niej jak woda przez przerwana zapora. Zdała sobie sprawę, że tropiciel ma rację. Grobowiec nie był jedynie skarbnicą starożytnej wiedzy, czekającą, aż ktoś do niej dotrze. Myliła się, myśląc o nim w ten sposób. Ona i jej towarzysze byli pionkami na olbrzymiej planszy zbudowanej przez martwego od dawna czarodzieja. Już stracili jednego ze swoich ludzi. Popatrzyła na twarze pozostałych i z ich zaszczutych spojrzeń domyśliła się, że w ich głowach kołatały się podobne myśli.

Phathas odchrząknął.

- W twoich słowach jest mądrość, Gerwycie - powiedział cicho - choć skrywa się za gorzką zasłoną rozbawienia. Mimo to wierzę, że odwaga, spryt i odrobina szczęścia pozwolą nam wygrać. Jeśli to gra, to właśnie poznaliśmy część zasad. - Wskazał runy na mozaice. - Przygotujmy się więc na to wyzwanie i idźmy dalej. Być może okaże się, że nasza siła i szlachetność naszej sprawy dorównują piekielnemu sprytowi Acereraka.

To była dobra mowa, pomyślała Majandra - inspirująca, pełna wiary i wygłoszona ze wszystkimi właściwymi niuansami. Drużyna zebrała się szybko na nowo, a Kaerion zaczął wydawać rozkazy - Landro, każ swoim ludziom wyjąć tyczki - powiedział wojownik znajomym już tonem człowieka nawykłego do wydawania rozkazów. - Pójdziemy ścieżką na mozaice, ale musimy bardzo uważać, inaczej znów ktoś wpadnie w pułapkę.

Kilka chwil później drużyna ruszyła wzdłuż czerwonego szlaku. Żołnierze trzykrotnie uruchamiali pułapki swoimi dziesięciostopowymi tyczkami - za każdym razem w podłodze otwierała się trzydziestostopowej głębokości jama z ostrymi szpikulcami na dnie. W końcu dotarli do końca przejścia. Przed nimi ukazała się wprawiona w gładką, kamienną ścianę kpiąca twarz demona. Ktoś, kto ją wyrzeźbił, musiał mieć osobiste doświadczenie z tymi obmierzłymi stworami, każdy bowiem szczegół został oddany z przerażającą wiernością. Z pokrytego łuskami czoła sterczały zakrzywione rogi, a odrażająca paszcza była szeroko rozwarta, jakby wyrzaskiwała całemu światu w twarz jakiegoś straszliwego kłątwy. Z tej odległości Majandra widziała, że rzeźba zajmowała prawie cały, dziesięciostopowy odcinek ściany, a sam rozwarty pysk miał niemal trzy stopy średnicy.

Kiedy drużyna zbliżyła się do kamiennego pyska, bardka dostrzegła z lewej strony łukowato sklepione przejście, całkowicie pokryte gęstym oparem. W słabym świetle widać było niewyraźnie

wijące się w nim ciemne kształty. Majandra zadrżała, podchodząc bliżej do dziwacznej rzeźby, zastanawiając się, czy inni też zauważyli bijący z niej chłód. Phathas, otoczony przez kilku żołnierzy, stanął przed rozwartym pyskiem. Wyciągnął różdżkę z polerowanej kości i przesunął ją przed obliczem demona. Kamień zaczął pulsować czerwienią.

Phathas kiwnął głową.

- Jest w tym jakaś magia - powiedział.

Gerwyth wskazał rzeźbę i łukowate przejście.

- Wygląda na to, że mamy wybór. Otwór w pysku demona może prowadzić do kolejnego korytarza, możemy też spróbować przejść przez mgłę i tamten łuk.

Majandra skubnęła dolną wargę, patrząc na naradzających się najemników. Bredeth, zauważyła z zainteresowaniem podszedł bliżej do łuku i uważnie mu się przyglądał.

- Jeśli wierzyć słowom Acereraka - powiedziała po chwili - powinniśmy wybrać łuk.

Kaerion spojrział na nią pytająco, marszcząc czoło w zmieszaniu, a półelfka przypomniała sobie, że nie każdy spędza całe życie, ucząc się zapamiętywać duże ilości informacji.

- „Wróć do dręczyciela albo poprzez łuk, a drugą wielką salę odkryjesz” - zacytowała.

- Tak jak powiedziałaś, Majandro, sęk w tym, czy powinniśmy wierzyć słowom Acereraka - powiedział stojący obok starego maga Vaxor. - Być może same w sobie są one pułapką, a my pójdziemy za nimi na własną zagładę.

- Może więc powinniśmy rozdzielić się na dwie grupy i sprawdzić oba przejścia - powiedział Bredeth, zbliżając się do oparów kłębiących się w łuku. - W ten sposób zbadalibyśmy większą część grobowca w tym samym czasie.

Najemnicy krzyknęli zaskoczeni i nawet Majandra zareagowała instynktownie na tę uwagę. Gerwyth jednak podszedł szybko do młodego szlachcica i położył mu dłoń na ramieniu.

- Przebyłem w życiu wiele szlaków, Bredecie - powiedział stanowczo - i jeśli czegoś się nauczyłem, to nigdy, przenigdy się nie rozdzielać, badając podziemia. To najkrótsza droga do śmierci i szaleństwa, albo czegoś jeszcze gorszego.

Majandra zobaczyła z niedowierzaniem, że Bredeth, zawsze wyczulony na najłżejszą krytykę, wzrusza ramionami.

- To była tylko propozycja - powiedział spokojnie.

Ostatecznie to Adrys zdecydował, co mają zrobić. Podszedł szybko do jednej z najemniczek, wyrwał jej z rąk tyczkę i wsunął ją w rozdziawioną paszczę demona, przytrzymał tam chwilę, a potem wyjął.

Cała drużyna westchnęła ze zdumieniem, bowiem ta część tyczki, która została wsunięta w otwór, po prostu znikła. Majandra podeszła bliżej, by samemu obejrzeć drąg i zobaczyła, że miejsce przecięcia jest zupełnie gładkie, jakby brakującego odcinka nigdy nie było. Taki los czekał

każdego, kto chciałby sprawdzić, co znajduje się po drugiej stronie. Bardka odetchnęła głęboko, próbując zapanować nad tłukącym się w piersi sercem. Niewiele brakowało, a wszyscy by zginęli. Gdyby Adrys nie zbadał przejścia tyczką, znikliby bez śladu. A Nyron, jej ojczyzna, nigdy nie uwolniłby się od trawiącej go zgnilizny.

Jeszcze raz spojrzała na chłopca. Kilku strażników klepało go po plecach, nawet Kaerion przyklęknął przed nim i dziękował. Zamiast okazać zmieszanie, którego Majandra spodziewałaby się po chłopcu w jego wieku, Adrys przyjął gratulacje z krótkim skinieniem głowy i bladym uśmiechem. On coś ukrywa, pomyślała, i obiecała sobie dokładniej go obserwować.

Mając do wyboru już tylko jedną drogę, drużyna zebrała się przez spowitym mgłą łukiem. Majandra zauważyła, że Gerwyth i Kaerion wyciągnęli miecze i kazali Landrze postawić strażę z tyłu. Od chwili wejścia do grobowca tyle się wydarzyło, że bardka zapomniała o potencjalnym zagrożeniu ze strony istot, które mogły się tu zadomowić. Ucieszył ją fakt, że jej towarzysze nie tracili głowy. Może Phathas miał rację, a ich poświęcenie i siła pozwolą im zwyciężyć czające się w tych lochach zło.

Mag jeszcze raz wysunął się na czoło grupy. Tym razem jednak uniósł obie ręce do oczu, podwijając lekko palce, i wymówił słowa mocy. Kamienne podpory po prawej i lewej stronie łuku załśniły żółtym i pomarańczowym światłem, zwieńczenie zaś zamigotało na niebiesko.

Majandra patrzyła na czarodzieja, stojącego w milczeniu przed łukiem i przyglądającemu się mu swoimi wszystkowidzącymi oczami.

- W rdzeń tego kamienia wpleciona została bardzo silna magia - powiedział. - Myślę, że łuk jest urządzeniem teleportującym. Świeące kamienie to część klucza, który zmienia koordynaty celu.

- Sądząc po tym, czego doświadczyliśmy do tej pory - zauważył Vaxor - łuk jest pewnie nastawiony tak, by wysłać tego, kto przez niego przejdzie do jakiegoś wyjątkowo zabójczego miejsca. Cała sztuczka polega na tym, by odnaleźć właściwą, bezpieczną kombinację.

- Kto chce spróbować? - spytał Gerwyth. - W łuk mogą być wbudowane jakieś pułapki, których Phathas nie wykrył.

Podjęcie decyzji zajęło Majandrze tylko chwilę.

- Ja - powiedziała z całą pewnością siebie, jaką zdołała zebrać. - Znam się trochę na magii. - Uśmiechnęła się do Phathasa. - A jeśli są tam jakieś zwykłe pułapki... cóż, w rozbieraniu ich też mam pewne doświadczenie.

Powiedziała to nonszalancko, mając nadzieję, że jej towarzysze nie zwrócą na to uwagi.

Daremnie.

Wśród zdumionych szeptów rozbrzmiał głośno głos Vaxora. Kapłan zadał pytanie, którego chciała uniknąć najbardziej.

- A gdzie, moja droga - spytał najgorszym z ojcowskich tonów - miałaś okazję się tego nauczyć?

Półelfka zaczerwieniła się. Miała nadzieję, że pulsujące światło łuku ukryje jej zmieszanie.

- Cóż - odparła spokojnym tonem - nie sądzicie chyba, że w Rel Mord cały czas ślęczałam tylko nad starymi pergaminami i wkuwałam pieśni, co? Powiedzmy po prostu, że miałam barwnych przyjaciół.

Z tymi słowami wyjęła z sekretnej kieszeni płaszcza małą sakiewkę z narzędziami i zaczęła badać kamienny łuk. Kilka minut później, ostukawszy i obadawszy go dokładnie, odwróciła się do pozostałych.

- Wygląda bezpiecznie - powiedziała. - Sprawdzę górę. Pojedynczym słowem uruchomiła wciąż aktywny czar lewitacji, rzucony przy runicznej mozaice, i uniosła się łagodnie w powietrze. Z wahaniem przytknęła dłoń do pulsującego, niebieskiego kamienia. Jego blask się wzmógł. Wróciła powoli na podłogę i dotknęła najpierw pomarańczowego, potem żółtego. Każdy z nich zapłonął pod jej palcami jasnym, równym światłem.

Przez kilka chwil nic się nie działo, a potem wszystkie znów zaczęły pulsować.

- Nie wyczuwam żadnej zmiany w magicznej konstrukcji - powiedział Phathas.

Majandra westchnęła i szybko wypróbowała następną sekwencję. Znów nic się nie stało. Zdecydowana odkryć właściwą kombinację, nie marnując czasu próbowała dalej. Dopiero przy ostatnim podejściu, kiedy dotknęła żółtego, niebieskiego i pomarańczowego kamienia, łuk wydał pojedynczy, ostry dźwięk. Wirująca mgła się rozwiła, ukazując prowadzący w mrok korytarz.

Wszyscy westchnęli chóralnie, jakby wstrzymywali dotąd oddech w oczekiwaniu na wynik prób Majandry. Bardka odwróciła się i ujrzała promienny uśmiech Phathasa.

- Dobra robota, moje dziecko - powiedział czarodziej, a ona usłyszała w jego cienkim głosie wyraźną dumę.

Drużyna ustawiła się w szyku i ruszyła przez przejście. Fakt, że półelfka nie widziała nic przed sobą, powinien był ją ostrzec, jednak ucieszona sukcesem nie zwróciła na to uwagi. Zdażyła tylko krzyknąć, kiedy poczuła, że podłoga, ściany, a potem cały grobowiec umykają gdzieś w nicość, zastąpione przez mrok tak nieprzenikniony, że musiał nie mieć końca.



Kaerion poczuł chwilową dezorientację, kiedy ciemność ustąpiła. Krzyk bardki ostrzegł go przed zupełną anihilacją światła, dlatego nie został całkowicie zaskoczony. Stopniowo przestawało mu się kręcić w głowie. Zamrugał, próbując ogarnąć i zrozumieć to, co przekazywały mu oczy. Długa sala zniknęła. Członkowie ekspedycji stali teraz stłoczeni w niedużym pomieszczeniu i trzymali się za głowy, jakby dręczył ich kac, z którym Kaerion budził się codziennie przez ponad dziesięć lat. Gdziekolwiek się znajdowali, teleport zadziałał najwyraźniej tak, jak powinien.

Kaerion raz jeszcze spojrzął na towarzyszy. Upewniwszy się, że nikt nie doznał krzywdy, dokładniej zbadał otoczenie. Pomieszczenie miało nie więcej jak dziesięć stóp szerokości i dwadzieścia długości, sądząc po tym, że światło Vaxora oświetlało wszystkie ściany. Na środku, wyszczerzony w kamiennym, nienawistnym grymasie stał posąg gargulca. Kaerion w pierwszym odruchu wyciągnął miecz, potem jednak uspokoił się, widząc jedno z czterech potężnych ramion stwora odłamane i leżące na podłodze u jego szponiastych stóp.

- Ostrożnie, Kaerionie - powiedział Gerwyth, kiedy wojownik zbliżył się do posągu. - Krzyknij, jeśli zaczniesz się ruszać.

Kaerion chrząknął potakująco, podkradając się cicho do gargulca z wyciągniętym mieczem i nadstawioną na wypadek nagłego ataku tarczą. Elf miał rację, ostrzegając go. Obaj natknęli się już na wystarczająco dużo ożywających posągów, by nigdy więcej nie ufać kamieniowi.

Światło Vaxora rozbłysło jaśniej, kiedy kapłan wraz z jednym z żołnierzy podszedł bliżej do statuy. Upewniwszy się, że bryła kamienia przed nim to zwykły posąg, Kaerion schylił się i podniósł odłamaną łapę gargulca. Podobnie jak trzy pozostałe, kamienne ramię miało nieduże wgłębienie na środku dłoni i lekko zgięte palce. Kiedy Kaerion zawołał do siebie pozostałych, chcąc podzielić się z nimi swoim odkryciem, jedna z najemniczek obwieściła własne - znalazła wąski tunel, opadający pod kątem w dół.

- Landra - powiedział kapłan Heironeusa - postaw trzech ludzi przy tym korytarzu. Nie chcę żadnych niespodzianek.

- Straszna bestia - zauważył Gerwyth, kiedy kapitan wydawała rozkazy. - Cieszę się, że nie musimy mierzyć się z tymi szponami w walce.

Elf ma rację, pomyślał Kaerion, badając stwardniałym palcem wgłębienie dłoni gargulca. Posąg mierzył ponad osiem stóp wysokości, a jego kły wyglądały na dość ostre, by przebić najgrubszy pancerz.

- To wgłębienie pasuje w sam raz na duży kamień - powiedział do pozostałych, ostukujących i macających statwę.

- Kamień - odparła Majandra, przesuując zręcznie dłońmi po gargulcu - albo, duży klejnot.

Przeszukała skórzane mieszki zawieszane u pasa i wyjęła kilka czerwonych gemów. Klejnoty zalśniły w świetle.

- Może lepiej wszyscy się cofnijcie - powiedziała bardka, kładąc pierwszy w dłoni posągu.

Kaerion odskoczył w tył, zasłaniając się mieczem. Przez myśl przeszło mu pytanie, skąd Majandra ma takie duże klejnoty. Same niespodzianki, pomyślał i uśmiechnął się przelotnie. Zaraz się jednak skrzywił, przypomniawszy sobie, gdzie są. Na takie próżne spekulacje będzie czas później.

Nic się nie stało.

Kaerion wypuścił wstrzymywany oddech i zobaczył, że pozostali robią to samo. Gotowa w każdej chwili do ucieczki Majandra rozluźniła się i wyciągnęła drugi klejnot, również kładąc go na jednej z dłoni gargulca.

Znów nic się nie stało.

Kaerion zobaczył, że bardka uśmiecha się z zakłopotaniem do Phathasa, opartego na swojej lasce i z zainteresowaniem przyglądającego się kamiennemu monstrum. Kobieta położyła trzeci klejnot na dłoni gargulca i Kaerion krzyknął ostrzegawczo, widząc, że palce posągu zadrżały. Chwilę później zacisnęły się na kamieniach. Biegąc do Majandry, wojownik usłyszał głośny chrzęst i zobaczył czerwony, migoczący pył, który posypał się z dłoni gargulca.

Odciągając od niego Majandrę, nie wierzył własnym uszom, słysząc potok przekleństw płynący z jej ust. Kaerion był pewien, że wyłapał w nim przynajmniej cztery znane mu języki i co najmniej drugie tyle, których nigdy nie słyszał.

W komnacie zapadła cisza, kiedy Majandra wreszcie się opanowała. Kilku strażników przestąpiło z nogi na nogę, najwyraźniej rozbawionych wściekłością półelfki, żaden z nich jednak tego nie skomentował.

- Moje drogie dziecko - powiedział w końcu Phathas. - Mam nadzieję, że rozumiesz, że przyszedliśmy tu zabrać skarby tego okropnego grobowca do Rei Mord, a nie na odwrót?

Nawet w słabym świetle pochodni Kaerion dostrzegł, że czubki uszu Majandry robią się czerwone. Napięcie przerwała salwa śmiechu. Chichotał nawet ponury zazwyczaj kapłan Heironeusa. Kaerion odwrócił się od zawstydzonej półelfki, która przestała starać się ratować dumę i sama ocierała łzy wesołości, i rozejrzał się za Adrysem.

Chłopca nie było.

Całe rozbawienie natychmiast opuściło wojownika, który zaczął przeszukiwać wzrokiem komnatę, mając nadzieję, że syn kupca po prostu zniknął w tłumie. Nadzieja ta jednak okazała się płonna.

- Czy ktoś widział Adrysa? - spytał, ucinając śmiechy.

- Był tu jeszcze chwilę temu - odparł jeden z najemników.

- Chodźcie! - zawołał Kaerion do towarzyszy. - Musimy go znaleźć!

Wypadł z komnaty, oświetlając sobie drogę pochodnią i przepychając się obok strażników pilnujących wlotu tunelu. Gdyby chłopcu coś się stało, jego krew splamiłaby ręce Kaeriona - ręce i tak już splamione krwią niewinnych.

Tunel opadał pod kątem, potem się prostował. Kaerion zaklął, gdy korytarz się zwęził; musiał opaść na kolana. Chwilę później znalazł się w komnacie podobnej wielkością do tej, z której weszli do grobowca. Jej gładkie ściany pokryte były malowidłami. Jaskrawe kolory spletały się ze sobą niczym pulsująca tęcza. Choć różne od tych, które pokrywały ściany komnaty wejściowej, obrazy namalowane szalonym pędzlem dawno nieżyjącego artysty również zawierały znajome zwierzęco-ludzkie postacie. Tym razem jednak niektóre z nich trzymały w dłoniach jaskrawe, kolorowe kule.

Ku swej uldze Kaerion znalazł Adrysa stojącego na środku pomieszczenia i trzymającego w ręku pochodnię. Podbiegł do niego, by sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Widząc, że chłopiec jest cały, przyklęknął przed nim i wziął go pod brodę.

- Adrysie, dlaczego się oddaliłeś? - spytał, starając się nie okazywać gniewu. Teraz, kiedy znalazł już chłopaka, ulga zaczęła ustępować miejsca irytacji.

Adrys skrzywił się. W oczach zakręciły mu się łzy, a usta zaczęły drżeć.

- Przepraszam. Zdawało mi się, że ktoś mnie wołał po imieniu - powiedział. - Myślałem, że to mój ojciec.

Kaeriona ogarnęła fala czułości, studząc wzbierający gniew. Chłopiec wiele przeszedł i wiele stracił. Możliwe, że przekłete moce grobowca sięgnęły po jego żal. Nie można było się na niego złościć. Adrys był zwykłym dzieckiem i nie chciał zrobić nic złego.

- Już dobrze - powiedział łagodnie Kaerion. - Już dobrze, ale masz mi obiecać, że więcej się nie oddalisz bez pytania. Jeśli usłyszysz, że ktoś cię woła, powiedz mi. Sprawdzimy to razem. Zgoda?

Chłopiec kiwnął głową i uśmiechnął się blado, ocierając łzy.

- Obiecuję. Jeśli coś znów się stanie, przyjdę do ciebie. Kaerion odwrócił się do pozostałych, którzy wpadli właśnie do komnaty z okrzykami niepokoju i zatrzymali się, widząc jaskrawe, znajome obrazy. Mieli już przeszukać pomieszczenie, kiedy zagrzmiął głos Vaxora: - Stać! Pamiętajcie o pułapkach. Zanim ktokolwiek się poruszy, powinniśmy zbadać komnatę.

To była dobra rada i Kaerion był zły na siebie, że bez zastanowienia wpadł do pomieszczenia. W

nieostrożnym pośpiechu, chcąc znaleźć chłopca, mógł narazić ich obu na śmiertelne niebezpieczeństwo. Strażnicy dość długo badali podłogę, dźgając ją długimi tyczkami, w końcu jednak oznajmili że nie znaleźli żadnych pułapek. Ich poszukiwania jednak ujawniły jedno tylko wyjście z pomieszczenia - kolejny spowity mgłą łuk na środku południowej ściany.

- Mogą być inne - powiedział Gerwyth, kiedy wszyscy zebrali się u wlotu tunelu. - Proponuję rozdzielić się w pary, trzymać w zasięgu wzroku i sprawdzić, czy w ścianach nie ma ukrytych przejść.

Drużyna się rozdzieliła, a Kaerion szczęśliwie dla siebie znalazł się w parze z Majandrą. Mimo tego, że byli sobie coraz bliżsi, tok wydarzeń uniemożliwił im pogłębienie znajomości. Choć sytuacja nie sprzyjała intymności, Kaerion musiał przyznać sam przed sobą że czuł przypływ uczuć - samych dobrych - kiedy płomiennowłosa bardka była blisko niego.

Nie minęło wiele czasu, kiedy jedna z najemniczek przy zachodniej ścianie krzyknęła, że znalazła obrys drzwi. Kaerion odwrócił się do niej, ale słowa „nie dotykaj!” zamaryły mu na ustach, kiedy usłyszał głośnie kliknięcie. Rzucił się w stronę żołnierzy, szczupakiem pokonując ostatnie kilka stop.

Za późno.

Na ułamek chwili, zanim dosięgnął kobiety, z jej pleców wystrzeliły dwa zakrzywione ostrza włócznie. Strażniczka padła na kolana i z bulgotem osunęła się na podłogę. Kiedy Kaerion jej dopadł, spod ciała wypływała już strużka krwi.

Vaxor natychmiast znalazł się u boku najemniczki i położył dłoń na jej szyi. Niemal niedostrzegalnie pokręcił głową, potwierdzając obawy Kaeriona - kobiecie nie można już było pomóc. Wojownik wstał, kiedy kapłan zaczął szeptać modlitwę, polecając duszę zabitej arcypaladynowi. Kaerion zastanawiał się, czy ktokolwiek odmówiłby taką modlitwę za niego - chociaż ktoś, kto w taki sposób zdradził swego boga, i tak nie powinien oczekiwać łaski ani nagrody po śmierci.

Kapłan skłonił się i powstał.

- Musimy znaleźć miejsce dla jej ciała - powiedział do Phathasa, który podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu. - Potem, opuszczając to przeklęte miejsce, zabierzemy poległych do świątyni Heironeusa i zobaczymy, co się da dla nich zrobić.

- Jesteś bardzo wspaniałomyślny — odrzekł mag, gestem każąc dwóm strażnikom wykonać polecenie kapłana. Kiedy makabryczne zadanie zostało wykonane, drużyna wróciła do badania ścian.

- Mam nadzieję, że coś tu jeszcze znajdziemy, Kaerionie - powiedziała bardka, kiedy przyklękli przed wizerunkiem dwojga ludzi z głowami jastrzębi. - Nie mam ochoty przechodzić przez następny teleport. Jeszcze nie doszłam do siebie po poprzednim.

Kaerion próbował uśmiechnąć się na te słowa, ale udało mu się tylko wykrzywić.

- Rozumiem cię doskonale - powiedział - chociaż bez wahania zgodziłbym się na teleportację, gdyby miało to oznaczać, że ominiemy wszystkie pułapki tego grobowca.

Półelfka mruknęła potakująco i wróciła do badania ściany. Tkwili tak bez ruchu jeszcze chwilę. Kaerion skończył właśnie ostukiwać blok kamienia ręką i sztyletu, kiedy Majandra znów się odezwała.

- Zauważyłeś, że ostatnio coś dziwnego dzieje się z Bredethem? - spytała.

Kaerion odwrócił się od ściany i spojrzał na swoją towarzyszkę. Nawet teraz, setki stóp pod ziemią, brudny i spocony, nie mógł się powstrzymać od podziwiania tego, jak światło pochodni odbija się w jej oczach i włosach. Dopiero po chwili dotarło do niego, że powtórzyła pytanie.

- Hmm? Och, przepraszam - powiedział, czując, że się czerwieni. Próbował uniknąć spojrzenia bardki, ale mimo to zauważył w jej oczach isierki wesołości.

- Coś dziwnego z Bredethem? - podjął. - Cóż, odkąd porwały go bullywugi, jest trochę cichy, ale takie przeżycia często powodują coś takiego. Nie nazwałbym tego dziwnym.

- Masz rację, oczywiście - powiedziała półelfka. - Jest cichy, ale chodzi mi o coś więcej. Ostatnio był... zbyt zgodny. To do niego niepodobne.

Kaerion kiwnął głową i spojrzał na obiekt ich rozmowy. Bredeth stał przed swoim odcinkiem ściany, posłusznie go badając. Wojownik otworzył usta, by uspokoić Majandrę, ale przerwał mu głos Gerwytha.

- Chyba coś znalazłem! — zawołał podekscytowany elf. - Wygląda mi to na jakąś iluzję.

Kaerion podszedł do przyjaciela. Na ścianie namalowany był muskularny mężczyzna z głową szakala, trzymający na wysokości pasa kolorową kulę. Gerwyth wyjął strzałę i jej drzewcem ostrożnie szturchnął malunek. Ku zaskoczeniu Kaeriona strzała zagłębiła się w ścianę. Było oczywiste, że Gerwyth zapamiętał sobie wcześniejsze doświadczenie z demonicznym pyskiem, bowiem szybko ją wyciągnął.

Była nienaruszona.

Dookoła nich zebrała się reszta drużyny. Phathas przecisnął się do przodu i przyjrzał się dokładnie iluzji. Po kilku chwilach mamrotania wycelował palec w malowidło. Nagły błysk prawie oślepił Kaeriona. Wojownik krzyknął, zasłaniając twarz przedramieniem. Pozostali nie byli chyba tak szybcy, ponieważ zaczęli siarczyć się kłąć.

Mrugając, by pozbyć się latających przed oczami powidoków, Kaerion ponownie spojrzał na ścianę i zobaczył, że szakalogłowy mężczyzna zniknął, odsłaniając tunel o chropowatych ścianach. Korytarz zwężał się gwałtownie, podobnie jak ten, który wychodził z komnaty gargulca.

Kaerion przymocował mocno tarczę do pleców i kazał sobie podać pochodnię.

- Gerwyth i ja pójdziemy pierwsi - powiedział. - Zawołamy was, jeśli wszystko będzie w

porządku.

Kiwnął głową elfowi i zagłębił się w tunel.

Ściany były tu chropawe i niczym nie ozdobione. W świetle pochodni widać było spływające po nich strużki wody. Musimy być pod dnem bagna, pomyślał Kaerion, zastanawiając się, jak długo już kamienna konstrukcja wytrzyma napór błota i wody. Przerwał te ponure rozmyślenia, kiedy niespodziewanie wyrosła przed nimi ściana.

- Ślepy zaulek - powiedział niepotrzebnie i zaklął. - Musimy zawrócić i powiedzieć o tym reszcie.

- Nie tak szybko, Kaer. Spójrz tutaj - powstrzymał go Gerwyth, wskazując na lewą stronę ściany.

Kaerion spojrział w róg i zobaczył niewyraźny zarys sprytnie ukrytych w kamieniu drzwi. Zapomniał już, ile mogą wypatrzeć bystre oczy tropiciela.

- Powinny się łatwo dać otworzyć — powiedział Gerwyth. - Wystarczy tylko tu nacisnąć i...

Podłoga, na której klęczał, przechyliła się gwałtownie do przodu, wrzucając go w otwarte nagle przejście.

- Ger! - wrzasnął Kaerion, kiedy jego przyjaciel zniknął. Podpełznawszy ostrożnie do skraju pochylni, wojownik zajrzał w otwór i poczuł ogromną ulgę, widząc, jak elf podnosi się z podłogi.

- Nic mi nie jest - powiedział tropiciel, poprawiając szelki paska. Chwilę później zagwizdał. - Chyba powinienes sprowadzić resztę, Kaer. Powinni to zobaczyć.

Kaerion kiwnął głową.

- Zaraz wracam, Ger. Uważaj na siebie.

- Nie planuję nigdzie się stąd ruszać - odparł tropiciel, wykrzywiając się w uśmiechu. - A teraz zrób pożytek ze swojej typowo ludzkiej skłonności do pośpiechu i biegnij po resztę, ty orczy łbie.

Kiedy Kaerion przyprowadził pozostałych, elf zdążył już pozapalać pochodnie i umieścić je w kilku żelaznych uchwytach na ścianach. Nie one jednak przykuły uwagę wszystkich Kaerion przecisnął się przez stłoczoną na środku pomieszczenia drużynę. W jasnym świetle zobaczył trzy duże skrzynie, jedną ze złota, drugą ze srebra, a trzecią z okutego żelazem dębu. Majandra oznajmiła, że podłoga dookoła nich jest wolna od pułapek i kilku żołnierzy próbowało je podnieść, lecz bezskutecznie. Każda ze skrzyń była na stałe przymocowana do podłogi.

Kaerion patrzył, jak półelfka podchodzi do złotej szkatuły zamierzając otworzyć jej zamek. Jakieś przecucie, a może tylko nadopiekuńczość, zaalarmowało wojownika. Szybko kazał dwóm żołnierzom stanąć obok zmagającej się z zamknięciem skrzyni Majandry. Zasłonił też sobą Adrysa, który stanął zdecydowanie za blisko.

- Jeszcze chwila - powiedziała bardka, manipulując wytrychem w zamku. Zgodnie z jej słowami chwilę później dał się słyszeć trzask.

Majandra odwróciła się i mrugnęła.

- Widzicie? - powiedziała, chowając narzędzie do sekretnej kieszeni płaszcza. - Zrobione. Teraz musimy tylko podnieść wieko i zobaczyć, co się kryje...

Jej słowa przerwał ostry syk. Skrzynia otworzyła się z impetem, a ze środka wysypały się czarne, wijące się kształty.

- Wężę! - krzyknął Vaxor.

Kaerion patrzył ze zgrozą, jak wijąca się masa atakuje Majandrę i dwóch żołnierzy. Jeden z nich desperacko zaczął siec mieczem, drugi padł na podłogę, z ręką czarną już i opuchniętą od jadu; Wojownik skoczył do przodu, ściągając z pleców tarczę i dobywając miecza. Zobaczył, że Gerwyth napiął już łuk. Linie strzału zasłaniali mu jednak uciekający w panice członkowie drużyny.

- Kaerionie! - krzyknął Phathas. - Zabierz Majandrę i pozostałych! Sam zajmę się wężami!

Słowa maga były wszystkim, czego Kaerion potrzebował. Troska o najemników i obawa o Majandrę przyciągnęły go już blisko do skrzyń. Chowając miecz do pochwy, skoczył na bardkę, odepchnął ją w bok i wbił tarczę w masę syczących gadów. Zerwał się przewrotem na nogi i zaczął odbijać ich ataki - wężę rzucały się na niego, celując w miękkie ciało ramienia. Jeden przemknął się pod tarczą. Kaerion poczuł lekkie uderzenie w brzuch, kiedy zęby gada napotkały stalowe kółka kolczugi. Zdając sobie sprawę, że teraz sam stoi na drodze czaru Phathasa, Kaerion kopnął węża i barkiem odepchnął stojącego jeszcze na nogach żołnierza.

Padając razem z nim na ziemię, zobaczył, że czarodziej podchodzi bliżej i wyciąga przed siebie ręce, splatając kciuki obu dłoni. Mag krzyknął coś w języku magii, a z jego palców wystrzeliły ryczące płomienie. Syki ogarniętych ogniem węży zlały się w jedno ze skwierczeniem palonego mięsa. Kiedy Phathas opuścił ręce, z gadów zostały tylko popioły.

Kaerion stoczył się ze strażnika i pomógł mu wstać. Z ulgą zobaczył, że Landra i kilku jej podkomendnych odciągnęli ukąszonego najemnika i zanieśli go do Vaxora. Kapłan klęczał teraz obok mężczyzny, obie ręce przykładając do jego spuchniętego ramienia. Z dłoni uzdrowiciela zaczęła emanować błękitna poświata, a czarne, nabrzmiące ciało wracało do swoich normalnych rozmiarów i koloru. Po chwili żołnierz był uzdrowiony. Kaerion cieszył się z tego, ale czuł się nieswojo, widząc taką demonstrację mocy Heironeusa.

- Grzeczność nakazuje ostrzec damę, zanim się ją przewróci - przerwała jego rozmyślenia Majandra.

- Proszę o wybaczenie, pani - odparł swoim najbardziej rycerskim tonem. - Postaram się ostrzec waszą miłość, jeśli znów zajdzie potrzeba przewrócić ją na siedzenie.

Kaerion poczuł, że nastrój mu się poprawia, kiedy bardka się uśmiechnęła, a jej oczy zalśniły wesołością i czymś jeszcze, o wiele głębszym i słodszy niż śmiech. Nagle zrozumiał coś, co Gerwyth starał się mu przekazać przez wszystkie lata wspólnych podróży. Chociaż cierpiał z powodu własnej niedoskonałości i słabości, wciąż były rzeczy, dla których warto żyć. Nigdy by się

nie spodziewał, że jedną z nich będzie piękna córka jednego ze szlacheckich domów Nyrondu.

Satysfakcja z tej myśli trwała zaledwie kilka chwil, bowiem kiedy drużyna przegrupowała się po ataku żmij, bardka wróciła do złotej skrzyni. Obadała ją dokładnie, opukała ściany a potem pokręciła głową.

- Nic tu nie ma - oznajmiła - za wyjątkiem starych łusek węży.

Kaerion usłyszał rozczarowanie w chóralnym westchnieniu zebranych. Wiedział jednak, że napotkane dotąd przeszkody nie wystarczą, by zawrócić Nyrondczyków z drogi do celu. Zbyt długo planowali tę wyprawę i zbyt wiele dla niej poświęcili. Wojownik widział w ich postawie, że poddanie się nie wchodzi w grę. Chciał czy nie chciał, musiał ich za to podziwiać.

Chociaż po drodze zaczął traktować szlachciców jako towarzyszy, a nie tylko zleceniodawców, wciąż uważał, że ich ekspedycja jest głupim pomysłem. Początkowo ryzykował życie dla pieniędzy, potem dlatego, że człowiek jest to winien swoim towarzyszom - nawet, jeśli czuł się jak zupełny odszczepieniec, obawiający się, że tajemnica jego hańby zostanie odkryta. Kaerion wiedział teraz, że prawdopodobnie za wyjątkiem heironeusejskiego kapłana, którego wiara i oddanie swojemu bogu nie pozwalały na takie słabości, pozostali zaakceptowali go jako równego sobie, cennego towarzysza, mimo tego, kim był.

Kaerion prawie już uwierzył w ich misję - wskreszenie jedności królestwa - nie tylko dzięki wzbierającej miłości do Majandry (tak, musiał się przed sobą do tego przyznać), lecz dlatego, że na świecie było już zbyt wiele zła i zniszczenia, by Nyron, niegdyś potężny i światły, mógł zginąć bez walki.

Trzask kolejnego otwieranego zamka przywrócił go obecnej sytuacji. Majandra podeszła do srebrnej skrzyni i otworzyła ją z równą łatwością, co pierwszą. Kaerion z zadowoleniem zobaczył jednak, że szybko się od niej odsunęła. Wzięła od jednego z żołnierzy tyczkę i zręcznym ruchem nadgarstka podniosła nią wieko pudła.

Nic się nie stało.

Półelfka zbliżyła się powoli do skrzyni, a za nią kilku strażników, w tym Landra z wyciągniętym mieczem.

- Nie ma tu nic, oprócz kryształowej szkatułki - powiedziała jedna z najemniczek, chowając broń i sięgając do środka.

- Nie! - krzyknęła Majandra i rzuciła się na kobietę, ale było już za późno. Kiedy ta wyjęła ze skrzyni kryształową szkatułkę, rozległ się trzask zwalnianej zapadki, a ze skrzyni na wszystkie strony wystrzeliły nieduże strzałki. Kaerion usłyszał okrzyki bólu. Sam w ostatniej chwili zasłonił się tarczą...

I prawie ją upuścił, widząc strzałkę mknącą wprost ku odsłoniętej szyi Adrysa. Chłopiec dał krok do przodu i machnął przed twarzą lewą ręką, trafiając drzewce pocisku i odbijając go w bok.

- Adrys, jak ty to zrobiłeś? - spytał wojownik, podbiegając do jego boku.

- Co zrobiłem, panie? - spytał Adrys, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

Kaerion przyjrzał mu się, czując rosnące zmieszanie. Może nagle niebezpieczeństwo sprawiło, że coś mu się przywidziało. Z całą pewnością syn kupca nie potrafiłby odbijać strzał gołymi rękami. Umieli to tylko niezwykle nieliczni, doświadczeni wojownicy, chyba że...

Nagle w głowie Kaeriona pojawił się, nie wiadomo skąd, obraz dziobatego mężczyzny w czerwonej szacie, zataczającego ramionami śmiertcionośne łuki... Szybko jednak o nim zapomniał, kiedy usłyszał, że Majandra woła jego imię.

Biegając do niej, nie zauważył uśmiechu okrutnej satysfakcji, który przemknął po twarzy Adrysa.



Majandra podniosła pierścień do światła. Klejnot wprawiony w onyksową obrączkę zalśnił, a na ścianach zatańczyły iskierki odbitego blasku. Bardka skupiła się i zanuciła pojedynczy dźwięk. Wyostrzonymi magicznie zmysłami dostrzegła teraz otaczającą pierścień słabą, złotawą aureolkę mocy. W jednej chwili powróciły do niej lata wykładów Phathasa i szybko zidentyfikowała rodzaj magii. Pierścień nosił wprawiony czar ochronny.

Majandra ciągle trzymała go w górze, kiedy przez otaczający skrzynię tłumek przecisnął się Kaerion.

- Majandro, co się stało? - spytał, rozglądając się podejrzliwie dookoła wzrokiem, który półelfka rozpoznała jako spojrzenie zawodowego żołnierza. Nigdy przedtem nie przysłoby jej do głowy, że coś takiego może jej się podobać, ale musiała przyznać, że troska Kaeriona sprawiała jej przyjemność.

- Nic się nie stało, Kaerionie - odparła. - Chciałam tylko ci pokazać, co znalazłam w skrzyni. To coś naprawdę wspaniałego. - Podniosła pierścień, żeby mógł mu się lepiej przyjrzeć.

Wojownik odprężył się, spojrzał na klejnot i zagwizdał.

- Nie jestem szlifierzem, ale powiedziałbym, że to niespotykanej wartości diament.

- Tak - zgodziła się Majandra. - Jest też magiczny i chroni właściciela przed krzywdą... - przerwała, rozglądając się dookoła. - Gdzie jest Adrys? To coś akurat dla niego.

Zaintrygowani pierścieniem pozostali wyciągali szyje, chcąc go obejrzyć. Dlatego też znalezienie chłopca w zamieszaniu chwilę potrwało. - Adrys! - zawołała Majandra do chłopca, który oparty o ścianę rozmawiał z Bredethem. - Podejdź tu.

- Majandro - wtrącił się Kaerion. - Chyba powinniśmy porozmawiać o Adrysie. Martwię się.

- Zgadzam się z tobą - odparła, opędzając się od ciekawskich. - Dlatego właśnie myślę, że w tych okolicznościach najlepiej dać pierścień właśnie jemu.

- Tak, ale może powinniśmy najpierw porozmawiać z pozostałymi? - zaproponował Kaerion.

- Nonsens - stwierdziła Majandra, odwracając się do Adrysa, stojącego obok z pytającym wyrazem twarzy. Chociaż prawie pięć razy starsza od niego, przewyższała chłopca zaledwie o szerokość dłoni. Uśmiechnęła się i wyciągnęła dłoń z pierścieniem.

- To dla ciebie - powiedziała. - Będzie cię chronić.

Po krótkich namowach Adrys wziął pierścień. Powoli założył go na palec, poruszył dłonią i w końcu się uśmiechnął.

- Dziękuję - powiedział, a Majandra była pewna, że dostrzegła w jego oczach kręcące się łzy. - Ojciec miał mi dać prezent na dzień życia, kiedy wrócimy do Czarnego Pola, tylko... - przerwał. - Tylko nie udało nam się wrócić.

Majandra potargała czule jego czuprynę. To, co spotkało chłopca, było prawdziwą tragedią i budka przeklinała pecha, który kazał mu się teraz przekradać zakurzonymi tunelami grobowca złego czarnoksiężnika.

Bardka ścisnęła Adrysa za ramię i pozwoliła mu odejść z powrotem do bezpiecznego miejsca w kące. Popatrzyła, jak odchodzi, a potem odwróciła się do Kaeriona. Wojownik miał zmartwiony wyraz twarzy.

- O co ci chodzi z Adrysem? - spytała, nie rozumiejąc jego zatroskania. W końcu to on głosował za zabraniem chłopca ze sobą. - Nie widzisz, że to dziecko przeszło już dość, by jeszcze znosić twoją dezaprobatę?

- To nie o to chodzi, Majandro - odparł Kaerion. - Naprawdę nie o to.

- Więc o co? Powiedz mi! - Była zirytowana i dało się to słyszeć w jej głosie.

Kaerion otworzył usta do odpowiedzi, ale przerwało mu czyjeś donośne odchrząknięcie.

- Nie możemy się dłużej ociągać, Majandro. Pozostała nam jeszcze jedna skrzynia i musimy ruszać dalej.

Bardka rozpoznała niski głos Vaxora. Mimo rozkazującego tonu jego słów, dało się w nich słyszeć zatroskanie. Odwróciła się twarzą do kapłana.

- Chłód tych zawilgłych podziemi daje się we znaki Phathasowi - rzekł Vaxor, wskazując maga, który pokasływał w kące pomieszczenia wsparty na swej lasce. - Chciałbym zbadać jeszcze kawałek grobowca, zanim zatrzymamy się na odpoczynek.

Majandrę przepełniła troska o starego nauczyciela, a wraz z nią poczucie winy, że zapomniała o jego zdrowiu.

- Odsuńcie się od ostatniej skrzyni - powiedziała - i przygotujcie do powrotu tunelem na górę.

Nie czekając, aż wszyscy wykonają jej polecenia, podeszła do skrzyni i zaczęła ją badać, szukając pułapek.

Upewniwszy się, że takowych nie ma, wyjęła wytrychy i zajęła się stalową kłódką. Zanim policzyła do stu, zamek szczęknął i otworzył się. Nie marnując czasu na chełpienie się sukcesem, Majandra sięgnęła po tyczkę, którą otworzyła poprzednią skrzynię. Cofnęła się pod przeciwległą ścianę i ostrożnie uchyliła wieko.

Nagły rozbłysk czerwonego światła prawie ją oślepił, zanim jednak zdążyła osłonić oczy ręką,

podłoga zakołysała się gwałtownie i znieruchomiła.

Wtedy Majandra usłyszała pierwszy krzyk.

Przed nią, pośród szczątków skrzyni stała pozbawiona ciała, straszliwa istota. Niemal dwa razy większy od Kaeriona, potworny szkielet dzierzył w każdej z kościstych dłoni olbrzymi seymitar. Puste oczodoły patrzyły na Majandrę z niesamowitą uwagą, śledząc jej każdy ruch. Półelfka dostrzegła, że jeden z seymitarów jest już zbryzgany krwią i zdrętwiała tak, że jej serce niemal przestało bić. Pod ramieniem bestii kołysał się niepewnie miecz Kaeriona, a wojownik desperacko starał się dojść do siebie po sile pierwszego ciosu potwora.

Majandra złożyła ręce i zaczęła intonować czar. Kątem oka zauważyła, że Phathas robi to samo. Dlatego nie zdziwiła się, kiedy pulsujący, niebieski błysk jej magicznych pocisków spotkał się z oślepiającą błyskawicą maga, równocześnie trafiając stwora...

By spłynąć po nim, jakby nigdy nie istniał.

- Strzeżcie się potwora! - krzyknął Phathas. - Jest odporny na magię!

Majandra zaklęła, arcymag potwierdził bowiem jej obawy. Coś chroniło bestię przed magicznymi atakami. Najpewniej był to kolejny test Acereraka.

- Brońcie chłopca! - krzyknął Kaerion do trzech najemników, którzy skoczyli mu na pomoc. - Ja odwrócę uwagę tego stwora!

Majandra podbiegła do Phathasa, pomagając mu usunąć się z pola walki. Zauważyła, że żołnierze posłuchali rozkazu Kaeriona i otoczyli Adrysa kręgiem stali.

Dwaj inni zaatakowali szkielet z lewej i kiedy potwór ciął z góry jednym ze swoich seymitarów, Kaerion przyskoczył i ściskając miecz w obu dłoniach, uderzył go w odsłonięty nadgarstek. Na wszystkie strony prysnęły odłamki kości, cios jednak nie wywarł na stworze większego wrażenia. Szkielet machnął drugim seymitem z szybkością, która nie wydawała się możliwa przy jego wielkości i Kaerion ledwie zdążył się uchylić. Ostrze uderzyło o kamienną podłogę, krzesząc skry.

Wtedy właśnie do przodu wystąpił Vaxor, niczym tarczę wznosząc nad głowę swój święty symbol. Idąc w stronę szkieletu, grzmiał swym niskim głosem, przyzywając moc Heironeusa. Błyskawica zaśniła złotym blaskiem, wypełniona boską energią.

Szkielet zatrzymał się i odwrócił do kapłana. Majandrze zdało się, że Vaxor rośnie z każdym krokiem. Potwór cofnął się i zasłonił ramieniem.

Nagle w pomieszczeniu z siłą burzy ryknął zimny wiatr. Bardka poczuła mróz, przesączający się przez jej skórzaną zbroję niczym igły lodu. Nie wierząc własnym oczom, zobaczyła, że blask symbolu Vaxora zamigotał i zgasł, a słowa modlitwy zamarły na jego ustach.

Szkielet opuścił ramię i znów zaatakował, otwierając i zamykając paszczkę. Potwór śmiał się bezgłośnie!

Nie chcąc przeszkadzać w obronie organizowanej przez jej towarzyszy, Majandra wyciągnęła

skórzany futerał z harfą, szybko go otworzyła i wyjęła instrument. Nie tracąc czasu na strojenie, uderzyła durowy akord i zaczęła śpiewać starożytną elfią pieśń wojenną, każdym słowem i nutą starając się dodać odwagi i sił członkom drużyny.

Dwaj najemnicy padli szybko pod ciosami potwora, zostawiając na polu walki tylko Bredetha, Kaeriona i Vaxora. Kiedy Majandra zaczęła się zastanawiać, gdzie może być tropiciel, z tunelu nad nią wyleciała strzała. Pomknęła nieco chwiejnie do celu i trafiła szkielet, gruchocząc mu kilka żeber. W ślad za nią poleciała następna i Majandra zobaczyła, że zamiast grotu strzała ma metalową kulę, czyniącą z niej latający buzdygan. Ta trafiła stwora w bark, roztrzaskując cienki obojczyk. Podniesiona na duchu sukcesami Gerwytha bardka przeszła do durowej tonacji i wplotła w pieśń uczucia, których nie miała okazji wyznać Kaerionowi.

Kilko kroków dalej wojownik zasłonił się tarczą i odbijając nią szybki cios szkieletu, pochwycił z podłogi upuszczony przez jednego z powalonych najemników młot. Bredeth i Vaxor podwoili wysiłki, osłaniając Kaeriona, który poprawił uchwyt na nowej broni i dwoma potężnymi ciosami zdruzgotał grubą jak pień drzewa goleń potwora, który opadł na kolano.

W tym momencie Gerwyth wypuścił kolejne dwie strzały. Jedna oderwała lewe ramię bestii, druga zaś trafiła ją prosto w szczękę, z obrzydliwym chrzęstem zdejmując czaszkę z ramion. Potwór machnął kilka razy pozostałą mu ręką i runął na podłogę, rozsypując się z głośnym trzaskiem na kawałki.

Majandra przestała grać i przysunęła do ust piekące palce. Ze zdumieniem poczuła na wargach miedziany smak krwi.

- Dobra robota, przyjaciele! - powiedział Phathas, badając uważnie rozrzucone po komnacie szczątki szkieletu. - Bardzo dobra, w rzeczy samej.

Vaxor i Landra zajęli się rannymi, a Majandra z ulgą zobaczyła, że żaden z powalonych żołnierzy nie jest martwy. Ulżyło jej jeszcze bardziej, kiedy okazało się, że rany Kaeriona, choć obficie krwawiące, nie zagrażają jego życiu.

- To był prawdziwy popis strzelania, Gerwycie - powiedziała, widząc, że jeden z najemników opatruje rozdarcie na ramieniu Kaeriona.

- Dziękuję - odparł tropiciel, zeskakując lekko z otworu tunelu. - Te strzały zrobił dla mnie pewien stary przyjaciel. Latają fatalnie, ale po trafieniu sięją spustoszenie.

Elf odwrócił się do Phathasa i Vaxora.

- Mam już dość tej komnaty - powiedział głośno. - Chyba czas wracać.

Majandra zgadzała się z nim całym sercem i zaczęła zbierać swój ekwipunek, kiedy usłyszała cienki głos.

- Zaczekajcie. Chyba coś znalazłem. Wygląda jak jakaś kłapa w podłodze.

Bardka obejrzała się i zobaczyła Adrysa, stojącego obok olbrzymiej czaszki szkieletu. Podeszła

do niego szybko i zbadła fragment podłogi, na który wskazywał. Faktycznie, kamienna płyta zapadła się na kilka cali.

- To na pewno kłapa - powiedziała Majandra. - Wygląda na to, że siła upadającej na podłogę czaszki jakoś ją otworzyła. Masz dobre oko, Adrysie.

Odsunięcie czaszki i dokończenie tego, co zaczęła, zajęło tylko kilka chwil. W otworze ukazały się nierówne, kamienne ściany kolejnego tunelu.

- Znowu kolej na nas, Gerwycie - powiedział Kaerion, kiedy wszyscy zaczęli szykować się do zejścia.

- Ja też chcę iść - oznajmił Bredeth. - Zawsze przyda wam się jeszcze jeden miecz.

Majandra usłyszała w jego głosie znajomą ochoczość i zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzą dwaj towarzysze. Miała nadzieję, że Kaerion zgodzi się na tę propozycję. Szlachcic zawsze był znośniejszy, kiedy było tak, jak chciał.

- Nie ma sprawy - powiedział w końcu Gerwyth, klepiąc go po ramieniu. - Jeszcze jeden miecz na pewno się przyda zwłaszcza, że Kaerion wymachuje swoim jak uczeń rzeźnika ganiający indyki z tasakiem do mięsa.

Śmiech Majandry zagłuszył odpowiedź czarnowłosego wojownika, po jego uśmiechu poznała jednak, że się nie obraził. Chwilę później wszyscy trzej zniknęli w tunelu.

To najtrudniejsza część poszukiwania przygód, pomyślała Majandra - patrzenie, jak robi to ktoś inny. Fakt, że tym kimś była osoba, na której jej zależało, tylko pogarszał sprawę. Bardziej wydawało się, że minęły wieki, zanim zobaczyła w otworze zbliżające się światło. Chwilę później usłyszała głos Kaeriona.

- Przejście jest bezpieczne - powiedział. Jego głos odbijał się echem od ścian tunelu. - Ale prowadzi z powrotem do pierwszej komnaty, w której byliśmy.

Wszyscy zaklęli, słysząc tę nowinę i zaczęli wciągać ekwipunek do pierwszego korytarza, Majandra jednak się nie ruszyła. Dlatego też tylko ona usłyszała krzyki dobiegające z głębi tunelu.

- Biegnij po Vaxora i resztę! - zawołał chwilę później Kaerion. - Gerwyth i Bredeth mają kłopoty!

Majandra nie zdążyła odpowiedzieć, kiedy światło w tunelu zgasło, pogrążając go w całkowitych ciemnościach.

* * *

Oddech Kaeriona niósł się echem po korytarzu, kiedy wojownik pelzł przed siebie najszybciej, jak pozwalała mu na to zbroja i oporządzenie. Wyobraźnię przepęłniały mu obrazy straszliwych potworów i makabrycznych pułapek. Zaklął, kiedy korytarz zakręcił ostro, a on zdarł sobie skórę z dłoni o szorstkie kamienie. Jeszcze kilka stóp i mógł się wyprostować. Nie zważając na obolałe mięśnie, dobył miecza i wpadł do komnaty.

Z ciemnego otworu we wschodniej ścianie - otworu, którego wcześniej tam nie było - błyskało migoczące światło pochodni. Słyszając dobiegający stamtąd okrzyk bólu, Kaerion zapomniał o wszystkim i puścił się biegiem. Przyspieszył jeszcze, kiedy dobiegły go odgłosy walki. Nie zwalniając, przeskoczył przez porwane szczątki makabrycznego malowidła i wpadł do komnaty.

Łopot skrzydeł ostrzegł go na ułamek chwili przed tym, jak spadł na niego jakiś czarny cień. Kaerion krzyknął i rzucił się szczupakiem do przodu, urażając boleśnie zranione ramię. Z kąta pomieszczenia z sykiem pomknęły trzy strzały, trafiając jego tajemniczego przeciwnika. Wojownik uniósł miecz, a czerwone jak krew światło pochodni ukazało mu znajomy kształt. Nad nim, machając niezgrabnie kamiennymi skrzydłami, wisiał gargulec, którego posąg napotkali w innej części grobowca. Tym razem jednak czterołape monstrum nie było tworem wyobraźni rzeźbiarza. Było prawdziwe.

Trzymając tarczę pod kątem, by osłonić lewy bok, Kaerion ciął szybko mieczem. Jego przeciwnik rozwarł szeroko kamienną paszczę, odsłaniając rzędy ostrych jak igły kłów, i zasłonił się lewą nogą. Kaerion odskoczył pospiesznie do tyłu, kiedy potwór rzucił się na niego, wymachując wszystkimi czterema ramionami. Wojownik odbił dwa ciosy tarczą, trzeci jednak drasnął go w szyję, wytrącając z równowagi. Kaerion zawirował, pozwalając, by impet uderzenia odrzucił go od istoty, której czwarte ramię rozorałoby mu pierś.

Krzyk z kąta odwrócił uwagę gargulca na dość długo, by wojownik jeszcze powiększył dystans. Sekundę później nadleciała stamtąd strzała, tym razem o grocie pulsującym czerwonym światłem. Magiczny pocisk trafił potwora w czubek skrzydła. Bestia ryknęła głucho i uciekła w ciemność okrywającą sklepienie komnaty.

- Gerwyth! - krzyknął Kaerion, sapiąc ciężko. - Co tu się stało?! - Cały czas patrzył w górę, spodziewając się kolejnego ataku.

- Nie jestem pewien - usłyszał odpowiedź tropiciela. - Czekałem na Bredetha u wlotu tunelu, kiedy nagle usłyszałem trzask. Kiedy zobaczyłem kawały tynku przy wejściu do grobowca, nasz młody przyjaciel zdążył już otworzyć drzwi. Kilka sekund później usłyszałem jego wołanie o pomoc i krzyknąłem jeszcze do ciebie, zanim pobiegłem.

Kaerion kiwnął głową.

- Gdzie jest nasz szlachetny wojownik? - spytał, dostrzegłszy elfa zakładającego właśnie kolejną strzałę na cięciwę.

- Tutaj - odezwał się zduszony z bólu głos.

Kaerion odwrócił się i zobaczył potykającego się Bredetha. Pancierz szlachcica był poszczerbiony i porozdzierany w kilku miejscach, a z jego otwartych ran lała się krew. Podbiegając do niego, Kaerion zauważył jakiś błysk. Ze zdziwieniem spostrzegł, że w lewej dłoni Bredeth ściska grubą, skórzaną obrożę, wysadzaną błękitnymi klejnotami.

- Zerwałem to stworowi z karku, zanim mnie poszatkował - powiedział szlachcic, opadając bezwładnie na ręce wojownika. - Myślisz, że Majandrze się to spodoba?

Kaerion nie zdążył odpowiedzieć. Nad jego głową rozległ się znów łopot kamiennych skrzydeł.

- Leci! - krzyknął Gerwyth na ułamek chwili przed tym, jak gargulec wypadł z mroku pod sklepieniem niczym jakiś straszliwy pocisk. Bardziej martwiąc się o bezpieczeństwo Bredetha niż jego wygodę, Kaerion pchnął szlachcica na podłogę i odskoczył w tył. Ostre jak brzytwy szpony przeorały powietrze zaledwie kilka cali przed jego twarzą, strzała Gerwytha zdążyła jednak trafić potwora w plecy.

Wykorzystując jego chwilowe zdezorientowanie, Kaerion stanął mocno na szeroko rozstawionych nogach i ciął z rozmachem, skrętem bioder dodając ciosowi impetu. Ostrze jego miecza trafiło kamienną skórę potwora z siłą młota spadającego na kowadło, a wojownik prawie wypuścił broń z ręki. Z gargulca posypały się odłamki kamienia, a on sam zaryczał z bólu. Kaerion podziękował w duchu Phathasowi, który po potyczce w Rel Mord umagicznił jego miecz.

Choć ranny, potwór wciąż był bardzo groźny. Machnął górnymi łapami, trafiając Kaeriona w twarz i miejsce złączenia barku z szyją. Najgroźniejsze rany zadały jednak szpony jego dolnych ramion. Zmuszony podnieść tarczę, by zasłonić się przed ciosem pazurzastej nogi, Kaerion nie był przygotowany na podwójne uderzenie, które przeorało mu pierś. Jego zbroja podarła się jak papier. Runął w tył, nie mogąc równać się z niesamowitą siłą i szybkością potwora.

W tym momencie z wejścia strzeliły dwa ładunki energii, trafiając gargulca prosto w pysk. Bestia zaskrzeczała i odwróciła się, by stawić czoła nowemu zagrożeniu. Ciężko poraniony Kaerion odczołgał się, wiedząc, że rozbłyski magii odwrócą od niego uwagę potwora na dość długo. Sięgnął do mieszka przy pasie i wyjął stamtąd fiołkę z zielonkawym płynem. Odkorkował ją i jednym haustem wypił jej zawartość, połykając słodkawy eliksir. Ból ran natychmiast ustąpił, a mięśniom wróciło trochę sił. Kaerion wyciągnął następną fiołkę.

Jego uwagę przyciągnęła stłumiona eksplozja. Stojący na lewo od wejścia Vaxor wezwał na pomoc Heironeusa - a bóg odpowiedział. W rozbłysku światła pojawiły się trzy grotostrzębie, które zaczęły okrążać gargulca. Ich potężne skrzydła i smukłe ciała sprawiały, że były od niego o wiele

zwinniejsze. Dwa otworzyły zakrzywione dzioby i wystrzeliły w potwora promieniami energii. Bestia uskoczyła przed jednym, wpadając jednak wprost pod drugi. Trzeci grot ostrzab źle ocenił odległość i podleciał za blisko. Rozwścieczony ranami, kamienny stwór skoncentrował swoje ataki na bezradnej istocie. Ptak zniknął w błysku światła, krzyknąwszy jeszcze rozdzierająco.

Odzyskawszy siły dzięki chwili odpoczynku i leczniczemu eliksirowi, Kaerion uniósł miecz i wypił zawartość drugiej fiołki.

Działanie magicznego płynu sprawiło, że czas wydawał się zwolnić, a wojownik poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć. Krzyknął i rzucił się do walki, rozkoszując się szybkością, z jaką niosły go stopy. W ułamku chwili zdołał zadać dwa ciosy w bok gargulca. Bestia machnęła jeszcze łapami, opędzając się od pozostałych dwóch grot ostrzabi, po czym odwróciła się do wojownika, chcąc go wypatroszyć.

Poprawiony magicznie refleks Kaeriona pozwolił mu dostrzec niebezpieczeństwo i skutecznie się przed nim obronić. Ostrze jego miecza zamigotało w świetle pochodni, odbijając wszystkie ciosy gargulca. Rozwścieczony tym, że wojownik może go zranić, potwór zignorował atakujące go ptaki i skupił się tylko na Kaerionie. Pewny, że jest w stanie sparować wszystkie jego ciosy, wojownik został chwycony z zaskoczenia i uniesiony w powietrze. Dostrzegł jeszcze swoich towarzyszy trzydzieści stóp pod sobą, samemu mknąc ku najbliższej ścianie. Kiedy wydawało się już, że gargulec się o nią roztrzaska, bestia ryknęła ogłuszająco i wypuściła wojownika z łap. Kaerion runął w dół, uderzając z gruchoczącą kości siłą o mur i zsuwając się po nim na ziemię. Miecz wypadł mu z bezwładnej nagle dłoni.

Gargulec nawrócił i pędził teraz wprost na niego, wyciągając szpony do śmiertelnego ciosu. Kątem oka Kaerion zauważył Adrysa, skulonego za wąskim, kamiennym filarem. Zdziwił się, jakim cudem chłopiec ominął strażę i dostał do komnaty. Myśl jednak przerwał rosnący w oczach cień gargulca.

- Adrys! - krzyknął Kaerion tak głośno, jak pozwalało mu obite ciało. - Rzuć mi mój miecz, chłopcze, szybko!

Adrys podbiegł do miecza i spojrział na powalonego wojownika.

- Szybciej! - krzyknął znów Kaerion. - Nie ma czasu! - Rzut oka na gargulca potwierdził jego obawy. Potwór dosięgnie go za kilka sekund.

Twarz Adrysa wykrzywił zły uśmiech. Chłopiec pochylił się, wziął miecz...

I odrzucił go jeszcze dalej.

- Czas umierać - powiedział głosem zbyt niewinnym na takie słowa i zniknął w ciemnościach.

W sercu Kaeriona zmagaly się szok i rozpacz. Wiedział, że umrze, zdradzony przez dziecko tak samo, jak on kiedyś zdradził. Była w tym jakaś sprawiedliwość, prosta i brutalna sprawiedliwość Heironeusa.

Ostre jak brzytwy szpony gargulca spadły na niego jak katowski topór...

I wbiły się w ciało Vaxora, który zasłonił sobą powalonego wojownika. Kaerion patrzył ze zgrozą, jak diamentowe pazury rozdzierają pancerz i ciało, rozpruwając brzuch kapłana. Vaxor ciął potwora w kark, ruch ten jednak rozerwał ostatnie mięśnie, które utrzymywały na miejscu wnętrzności. Krew i jelita wylały się na podłogę, jednocześnie jednak miecz kapłana ściał łeb gargulca. Potwór rozprysnął się na kawałki.

W zapadłej ciszy Vaxor spojrzał na Kaeriona, kaszlnął krwią i osunął się na ziemię.

- Nie! - krzyknął wojownik, zataczając się do kapłana. Vaxor leżał na plecach w rosnącej szybko kałuży krwi.

Wciąż kurczowo trzymał się życia. Oddychał szybko i płytko, krztusząc się i charcząc. Nie bacząc na nic, Kaerion padł na kolana i podniósł głowę kapłana. Vaxor patrzył niewidzącym wzrokiem w sklepienie.

- W... wybac mi - powiedział chrapliwie, a na usta wystąpiła mu krew i ślina.

- Wybaczyć ci? — powtórzył z niedowierzaniem Kaerion. - Ocaliłeś mi życie, Vaxorze. Co mam ci wybaczyć?

Usłyszał, że za nim zbierają się pozostali. Czuł ich żal, rozdzierający mu serce. Miał łzy w oczach. Kapłan zakaszlał słabo.

- Zawiodłem - powiedział cichnącym głosem. - W Rel Mord... w gospodzie. Bóg... do mnie... przemówił.

- Heironeus do ciebie przemówił - powtórzył Kaerion, czując wzbierającą grozę.

Vaxor skinął głową i przełknął kilka razy.

- Bóg... do mnie przemówił. Powiedział mi... kim... jesteś Kaerion wstrzymał oddech, widząc, jak twarz Vaxora krzywi się z bólu. Kapłan zadygotał.

- Miałem ci... wybaczyć - ciągnął. - Przyjąć... z powrotem... między wiernych. Ale ja... nie mogłem... Moja... aaaaah... duma mi nie pozwoliła. Zawiodłem.

- Bzdura - powiedział Kaerion. - Nie powinieneś mówić takich rzeczy. To przez ból. Kilka eliksirów zaraz postawi cię na nogi.

Mówił szybko, jakby próbując zaprzeczyć temu, co wyjawiały słowa kapłana. Vaxor najwyraźniej bredził. Potrzebuje pomocy, a gdy dojdzie do siebie, może zapomni o tym, co powiedział.

- Niech ktoś sięgnie do mojej torby! - krzyknął Kaerion. - Mam kilka eliksirów!

Z zaskakującą siłą Vaxor sięgnął na oślep i chwycił go za ramię.

- Nie, synu. Już... za późno. Oszczędź je... dla tych... którym mogą pomóc.

- Mówisz od rzeczy, Vaxorze. Zobaczysz, zaraz postawimy cię na nogi. - Kaerion odwrócił się do pozostałych. - Niech ktoś poda te eliksiry! - krzyknął ze spływającymi po twarzy łzami. -

Proszę! - załkał, sam nie wiedząc, czy to słowa kapłana, czy jego nieuchronna śmierć przerwały powstrzymującą jego uczucia tamę, którą budował od chwili ucieczki z lochów Dorakaa.

- Dość... - W głosie Vaxora odezwało się echo jego dawnej siły. - Patrzyłem w oczy... śmierci... zbyt wiele razy, by teraz... by teraz się jej lękać. Ale proszę... proszę o dwie rzeczy największego... żyjącego... służyć arcypaladyna.

- Cokolwiek, Vaxorze. Proś o cokolwiek, a ja to zrobię, jeśli będzie w mojej mocy - obiecał Kaerion bez zastanowienia.

Kapłan znów zadygotał, tym razem jeszcze gwałtowniej.

- Wybacz... mi - poprosił głosem niewiele głośniejszym od westchnienia.

- Wybaczam, Vaxorze - załkał Kaerion, wciąż obejmując jego głowę.

Twarz kapłana wykrzywił słaby uśmiech.

- Więc pozwól mi... dotknąć... Galadorna... raz, z... zanim... obejmie mnie... ciemność. Chcę poczuć jego... światło... przed śmiercią.

Bez słowa Kaerion odpiął pochwę ze świętym mieczem. Najostrożniej jak umiał, wyciągnął go rękojeścią do Vaxora. Kapłan sięgnął na oślep drżącą ręką i zacisnął ją na broni. Kaerion zobaczył z niedowierzaniem, że największy diament miecza zaśnił miękkim, białym światłem. Błysnął raz i drugi, kiedy kapłan znów zadygotał. Blask zaczął stopniowo przygasać, a Vaxor z ostatnim westchnieniem puścił rękojeść i umarł.



Krzyki nie milkły.

Wbrew sobie Durgoth skrzywił się, zirytowany ostrym wrzaskiem. Nawet widząc, co ci nyrondzcy głupcy zrobili, niektórzy z jego wiernych i tak padli ofiarą diabolicznych pułapek grobowca. Tym razem winna była jednak głupota. Sydra dokładnie objaśniła kultystom, jak otwierać sekretne przejścia, dowiedziawszy się tego przez szlachcica, którego kontrolowała całkowicie, a przy tym nie wzbudzając podejrzeń.

Mężczyzna leżał skulony na podłodze przed Durgothem. Z brzucha sterczała mu włócznia. Głupiec źle zrozumiał instrukcje Sydry.

Krzyki umilkły, kiedy kultysta dostrzegł swego pana.

- Pomocy - jęknął, a Durgoth z obrzydzeniem zauważył krew na jego ustach i brodzie.

- Pomogę ci, moje dziecko - powiedział łagodnie, świadom, że pozostali mu się przyglądają. Położył dłoń na czole skamlącego mężczyzny, zamknął oczy i wyszeptał czarną modlitwę do Tharizduna. Wraz z ostatnim sykiem przeszył ciało umierającego boską mocą. Kultysta wrzasnął jeszcze raz i znieruchomiał - bóstwo wypaliło życie z jego ciała.

Durgoth wstał i prostym gestem pobłogosławił trupa. Wiedział, że głupota nie zasługuje na nagrodę.

Przedłużając się ciszę przerwał Eltanel, wyłaniając się z ciemnego korytarza przed nimi.

- Droga jest czysta, błogosławiony - powiedział. - Oznaczyłem przejście, którym poszła nyrondzka ekspedycja. Proponuję chwilę odpocząć, inaczej za bardzo się do nich zbliżymy.

Durgoth kiwnął głową zauważając z zainteresowaniem pot na czole złodzieja i ciemną, moką plamkę na jego udzie - bez wątpienia krew. Cokolwiek Eltanel odkrył, przeszukiwanie grobowca nie szło mu tak łatwo, jak twierdził.

Durgoth uśmiechnął się do niego z wyższością i chciał się już odwrócić, kiedy odezwał się Jhagren.

- Co z Adrysem? - spytał, nieudanie maskując troskę w głosie. - Widziałeś go?

Zaskoczony Durgoth zamrugał oczami. Odkąd działali razem, mnich po raz pierwszy nadkruszył swój emocjonalny pancerz. A więc troszczy się o swojego ucznia, pomyślał kapłan. To pozyteczna

informacja, która w przyszłości może posłużyć za broń.

- Nie, Jhagrenie - odpowiedział w końcu złodziej. - Nie widziałem Adrysa.

- Nie martw się, przyjacielu - powiedział Durgoth, poklepując mnicha po plecach. - Adrys to sprytny chłopak i bardzo dobrze wyuczony. Znajdzie sposób, by do nas wrócić, a kiedy wróci, wynagrodzę go szczerze za jego służbę.

Prawdę mówiąc, Durgoth był wściekły na chłopca za jego samowolę. Adrys miał konkretne polecenia, a mimo to je zlekceważył. Dopiero kiedy przyczynił się do śmierci tego przekłętogo, heironeusejskiego kapłana, Durgoth trochę się uspokoił. Strata Vaxora poważnie osłabiła Nyrondczyków. Adrys mógł w ten sposób zapewnić Durgothowi klucz do łatwego zwycięstwa. Gdyby tylko udało się wyrwać chłopca temu przekłętemu mnichowi, byłby doskonałym sługą Tharizduna.

Najwyraźniej wcale nie uspokojony słowami kapłana, Jhagren odwrócił się bez słowa i odszedł. Durgoth z ogromnym trudem pohamował się od powalenia go na miejscu. Tylko fakt, że byli tak blisko celu, powstrzymał jego rękę. Kiedy Mroczny będzie wreszcie wolny, Jhagren i jego przekłete bractwo zostaną zmiażdżeni pod jego stopą.

- Błogosławiony? - spytał z wahaniem czyjś głos, przerywając rozmyślenia Durgotha.

Kapłan odwrócił się jak dźgnięty, każdym mięśniem ciała okazując irytację.

- Co znowu?! - warknął.

- Wybacz, że przeszkadzam - powiedział kultysta o poznaczonej bliznami twarzy - ale zastanawiamy się, co zrobić z ciałem. - Wskazał trupa swego towarzysza, który wciąż leżał na podłodze, otoczony kałużą krwi jak karmazynową aureolą.

Durgoth zastanowił się, zanim odpowiedział. Trup nie był mu do niczego potrzebny i najchętniej zostawiłby go, żeby tu zgnił. Z drugiej strony nie miał ochoty spędzać ani chwili w towarzystwie rozkładającej się kupy mięsa, a jeśli Eltanel miał rację, musieli tu jakiś czas zostać. Szybko zdecydował, co robić.

- Ja się nim zajmę - powiedział do kultysty, który skłonił się nisko i wycofał. Durgoth wydał w myślach polecenie i chwilę później zjawił się jego golem. Stwór stanął przed kapłanem i spojrzał na niego swoimi zimnymi, pustymi oczodołami. Durgoth wskazał leżącego na kamiennej podłodze trupa.

- Pozbądź się tego.

Bez jednego dźwięku golem pochwycił zwłoki jedną ręką i ruszył do wyjścia drogą, którą się tu dostali. Mimo początkowych obaw kapłana, że istota spowolni ich w pełnej pułapce jaskini Acereraka, golem okazał się niezwykle użyteczny - przyjmował na siebie włócznie, głązy, strzały i inne pociski przeznaczone dla intruzów i zmuszał kultystów do dalszego marszu, kiedy prerażeni próbowali się cofać.

Durgoth miał jeszcze jeden powód, by być wdzięcznym losowi za znalezienie *Kodeksu minteksjańskiego*. Nawet w tej chwili czuł jego zew, obiecujący potężną mroczną wiedzę, zawartą na jego kartach. Kapłan uświadomił sobie nagle, że minęło już kilka dni, odkąd po raz ostatni patrzył na żywe pismo i symbole księgi. Zaskoczyło go, jak bardzo jego umysł pragnie znów zmierzyć się z jej tajemnicami.

Kiedy się rozejrzył, stwierdził ze zdumieniem, że stoi przed swoim plecakiem, a w rękach trzyma szkatułę, w której spoczywał kodeks. Zmieszany zawołał Sydrę, która siedziała nieopodal, skupiając swe moce na kontrolowaniu pewnego szlachcica.

- Gdzie są teraz? - spytał.

Czarodziejka odpowiedziała dopiero po chwili, głosem zduszonym i chrapliwym, jakby budziła się z głębokiego snu.

- W jakiejś kaplicy. Ktoś właśnie uruchomił pułapkę i wyzwolona błyskawica zabiła kilku ich najemników. Szlachcice naradzają się, co robić dalej.

Durgoth uśmiechnął się na te nowiny.

- Doskonale. A jak sobie radzi nasz szlachcic?

Czarodziejka skrzywiła się przelotnie.

- Opiera się mojej obecności, błogosławiony - odparła Sydra. - Jest silny, ale nie może się uwolnić.

- To dobrze - powiedział Durgoth, siadając, by przejrzeć księgę. - Mam nadzieję, że zdołasz utrzymać nad nim kontrolę. Mam dla Bredetha ważne zadanie. - Podniósł wzrok znad tekstu. - Bardzo ważne zadanie.

* * *

Komnatę wypełnił ostry zapach naelektryzowanego powietrza.

Majandra spojrzała na dymiące szczątki ze łzami w oczach. Błyskawica zostawiła jedynie zwęglone ciała. Bardka poczuła zawroty głowy i padła na kolana z przejmującym łkaniem.

Śmierć. Wszystko w tym opuszczonym przez bogów grobowcu cuchnęło śmiercią. Każde wypaczone malowidło i symbol w tej kaplicy wzmagały to wrażenie. Majandra poczuła, że śmierć draży jej duszę jak żerujący na padlinie szakal. Gdyby była gdziekolwiek indziej na Flanaess, mogłaby się modlić, lecz nie tutaj. Nie w samym sercu potęgi Acereraka. Bała się, że jej prośby mogłaby usłyszeć jakaś mroczna istota.

Zamiast tego pozwoliła łzom spływać po swej umorusanej twarzy w cichym podziękowaniu dla

dwóch żołnierzy, którzy oddali życie w grobowcu. Nieważne, że obaj wlekli worki pełne złotych i srebrnych monet - tysięcy monet, jeśli nie pomyliła się w szacunkach - kiedy trafiła ich błyskawica Bogactwo nie było im już do niczego potrzebne.

Gerwyth i Kaerion podbiegli do Majandry z przeciwległych rogów kaplicy, a ona zastanawiała się, czy ktokolwiek z nich skorzysta z tych skarbów. W głębi serca wiedziała, że całe złoto świata nie wystarczy, by zapłacić za życia stracone w tych najeżonych pułapkami podziemiach. Nawet jeśli uda im się stąd wydostać i zabrać ze sobą wszystko, co znajdują, Majandra wątpiła, czy poniesione ofiary są tego warte.

Poczuła, że podnoszą ją z ziemi czyjeś silne ręce.

- Uspokój się, siostrzyczko - dobiegły jej jakby z oddali kojące słowa. Elfie słowa, pojęła i rozpoznała zapach Gerwytha, przez pot trochę bardziej piźmowy niż zwykle. To był przyjemny zapach, a co ważniejsze znajomy. Majandra poczuła, że się odprężyła, a bolesny węzeł żalu w jej piersi zniknął. Zadrżała i opanowała się wreszcie.

Zobaczyła zmartwione spojrzenie Kaeriona i spróbowała się uśmiechnąć. Dawno poddałaby się rozpacz, gdyby nie obecność wojownika. Śmierć Vaxora była okrutnym ciosem, niespodziewanie bolesnym dla nich obojga. Mimo to jednak, chociaż od tamtej tragicznej chwili zamienili tylko parę słów, Majandra czuła obok siebie siłę Kaeriona i wiedziała, że oboje mogą poradzić sobie z bólem, ponieważ go dzielą.

- Musimy iść dalej, Majandro - powiedział po chwili Kaerion. - Ta kaplica jest wyjątkowo przesiąknięta złem, nawet jak na grobowiec Acereraka. Nie chcę zostawać tu dłużej.

Półelfka pokiwała głową i odetchnęła głęboko, starając się nie zacząć znów płakać. Poklepała tropiciela po ramieniu, a Gerwyth wypuścił ją ze swoich objęć.

- Dziękuję wam obu - powiedziała i zeszła z podwyższenia, na którym stał ołtarz. Kiedy tylko się poruszyła, zauważyła, że opalizujący dotąd niebieski głaz zrobił się ogniste niebiesko-czerwony.

- Gerwyth...

- Widzę - wyszeptał w odpowiedzi tropiciel. - Odsuwaj się powoli.

Majandra cofnęła się, wdzięczna, że elf postępuje według własnej rady. Odszedłszy na bezpieczną odległość, odetchnęła z ulgą i szybko rozejrzała się po kaplicy. Wykute w skale pomieszczenie mierzyło ponad sześćdziesiąt stóp długości i tyle samo szerokości. Podobnie jak w innych komnatach, tak i w tej ściany pokryte były mozaikowymi scenami życia codziennego. Ku swej zgrozie Majandra zobaczyła, że przedstawieni na nich ludzie są straszliwie zdeformowani. Gnijące ciała, szkieletowe twarze, poprzeżerana przez robaki skóra - każda scena była bardziej upiorna od poprzedniej.

Co gorsza, kaplica została urządzona jak świątynie, które Majandra знаła z Rel Mord. Zachodnią i wschodnią część zajmowały drewniane ławki, całe wnętrze zaś kierowało wzrok patrzącego na

imponujący kamienny ołtarz pod południową ścianą. Za wściekle kolorowym gładem widać było podwyższenie. Na jego środku stał prosty, drewniany fotel - ceremonialne siedzisko przewodzącego rytuałom kapłana. Po obu stronach ustawiono wielkie, mosiężne świeczniki. Majandra prawie widziała kopzące płomienie świec sterczących ze świeczników niczym dłonie szkieletu. Zadrżała, każdy bowiem szczególnie kaplicy zionął nie tylko złem, lecz także wypaczonym dobrem. Nawet święte symbole na ścianach, przedstawiające dobrych bogów i boginie nie były dokładnymi wizerunkami. Każdy z nich miał uwypukloną jakąś niedoskonałość, a niektóre spaczono tak, by przedstawiać przeciwieństwo zamierzonego wizerunku.

Zatroskana Majandra rozejrzała się za Phathasem. Zauważyła go schylonego, jak bada drewnianą ławkę najbliżej tunelu, którym tu dotarli. Zobaczyła też trzech żołnierzy przeszukujących dokładnie ludzki szkielet leżący na podłodze niedaleko ołtarza, obeschłą ręką wskazujący spowity mgłą portal. Landra, dowódca żołnierzy, rozmawiała cicho z Kaerionem, który przysiadł ostrożnie na jednej z ławek.

- Wygląda na to - oznajmił jeden z najemników - że nasz następny krok jest jasny. Ten portal to jedyne wyjście.

- Może być i tak - powiedział Phathas, odrywając się od oględzin ławki - ale byłbym bardzo ostrożny z przechodzeniem przez niego tylko na podstawie takiego założenia.

Głos starego maga niósł się drżącym echem po kaplicy. Majandra pomyślała, że słyhać w nim zmęczenie - większe niż kiedykolwiek przedtem. Ogarnęła ją fala smutku. Wiedziała, że choć sama żałowała tych, którzy polegli, czarodzieja ich strata musiała zboleć jeszcze bardziej - zwłaszcza strata Vaxora. Obaj mężczyźni przyjaźnili się od kilkudziesięciu lat. Phathas sprawiał wrażenie, że brzemień tych śmierci nieubłaganie go przygniata. Majandra widziała, że mag opiera się całym ciężarem na lasce.

- Zgadza się - usłyszała własny głos. - Szkielet wskazujący na portal wydaje się zbyt oczywistym znakiem. Proponuję się rozdzielić i przeszukać kaplicę jeszcze raz. Tylko niech nikt niczego nie dotyka.

Wybierając dla siebie fragment pomieszczenia za ołtarzem, Majandra skupiła się na dokładnym badaniu kamiennej ściany. Zaczęła już tracić poczucie upływającego czasu, kiedy po przeciwnej stronie kaplicy ktoś głośno krzyknął. Bardka odwróciła się i zobaczyła jednego z żołnierzy wskazującego na ścianę, kilka stóp przed małą zakorkowaną urną. Podbiegła do niego, ale zanim dokładniej przyjrzała się odkryciu, zaczęła na innych.

Przed nią około czterech stóp nad ziemią w kamieniu była niewielka szczelina, nad nią zaś wyryta płytko litera „O”. Kiedy inni gratulowali spostrzegawczemu żołnierzowi, Majandra przygryzła w zamyśleniu wargę. Coś poruszyło jej bardowską pamięć, a ona nie mogła tego czegoś uchwycić. Wokół siebie słyszała rozmowy; drużyna próbowała ustalić, co robić dalej. Głosy

wznosiły się i opadały, wymieniano się spostrzeżeniami, ona jednak słyszała to wszystko jak z wielkiej odległości.

W końcu udało się jej pochwycić ulotne wspomnienie i prawie krzyknęła z podniecenia.

- Mam! - oznajmiła z takim przekonaniem, że wszyscy z miejsca zamilkli.

- Co masz, siostrzyczko? - spytał kpiąco Gerwyth.

- Mam odpowiedź - odparła i widząc nierozumiejące spojrzenia, wyrecytowała: - „Gdy czerwieni odcienie oznaczają krew, mądry poświęci jedynie magiczny krążek - dalekoś już zaszedł.” - Nie rozumiecie? - ciągnęła. - To z wiersza. Ten otwór ma kształt pierścienia - „magicznego krążka”. Musimy tylko wsunąć w niego magiczny pierścień i coś się stanie!

- Tak — odezwał się jeden z żołnierzy - ale co dokładnie?

- Cóż, tego nie wiem - przyznała Majandra. - Ale wiersz prowadził nas jak dotąd dobrze.

Proponuję zaryzykować.

Drużyna naradzała się jeszcze przez chwilę, by w końcu jednogłośnie zawierzyć jej przeczuciu. Wdzięczna za zaufanie Majandra przeszukała wszystkie sakiewki, ale nic nie znalazła. Odwróciła się do pozostałych.

- Dałam pierścień ze skrzyni Adrysowi - powiedziała. Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Kaerion próbował ją ostrzec, ale ona go zlekceważyła, a teraz Vaxor nie żyje -całkiem możliwe, że przez to, iż nie chciała słuchać.

Kaerion położył rękę na jej ramieniu.

- Nikt cię nie wini - powiedział cicho. - Potrzebujemy tylko pierścienia, żeby się stąd wydostać.

- A ja akurat go mam - oznajmił Gerwyth, przerywając napięcie. Wszyscy odwrócili się do elfa, trzymającego w wyciągniętej ręce małą, srebrną obrączkę.

- Nie wiem, jak się nazywa, ale sprawia, że skrajne temperatury nie są dla mnie uciążliwe - powiedział. - Myślę, że się nada.

- Dziękuję - powiedziała Majandra, nie wiedząc, dlaczego Kaerion wytrzeszcza złowrogo oczy na przyjaciela.

- Ach, ty goblinoucha imitacja elfa! - wrzasnął wojownik. - Po tylu latach... To tak to robiłeś! Ja myślałem, że twoja odporność na najstraszniejsze niepogody to jakaś elfia cecha i oznaka nieugiętego ducha, a ty po prostu byłeś chroniony czarem! Ja ci zaraz...

- Nie kończ tej myśli - przerwał mu Gerwyth z przewrotnym uśmiechem. - Możesz przeciążyć tą bryłę gliny, którą nazywasz mózgiem. Poza tym - zakończył, robiąc minę urażonej niewinności - każdy elf wart tego miana ma jakieś tajemnice.

- Dość tego, wy dwaj - prychnął Phathas, choć bardka dostrzegła na jego twarzy skrywany uśmiech. — Pozwólcie się Majandrze skupić.

Półelfka, sama nie skrywając dobrego nastroju, nachyliła się w stronę szpary i ostrożnie

umieściła pierścień w wyrytym „O”. Usłyszała szcęk i w kilka sekund później całe pomieszczenie zadrżało od niskiego grzmotu. Dwaj żołnierze odskoczyli do tyłu, wypatrując niebezpieczeństwa, reszta drużyny jednak po prostu czekała.

Cierpliwość Majandry została nagrodzona, kiedy duży odcinek wschodniej ściany wsunął się powoli w podłogę, odsłaniając ciemne przejście.

- Panowie przodem - powiedziała z zadowolonym uśmiechem i trzymając się tuż za Kaerionem, weszła w ciemność. To dobrze - powiedział Durgoth, siadając, by przejrzeć księgę. - Mam nadzieję, że zdołasz utrzymać nad nim kontrolę. Mam dla Bredetha ważne zadanie. - Podniósł wzrok znad tekstu. - Bardzo ważne zadanie.

* * *

Kaerion ziewnął, poprawiając kolczą koszulkę. Cztery godziny snu przed jego wartą nie wystarczyły, by odpoczął po wydarzeniach całego dnia. Trudno było uwierzyć, że w tak krótkim czasie w grobowcu zginęło tylu ludzi. Miał przed oczami twarze ich wszystkich, pamiętał ich śmiech i wspólne doświadczenia całej podróży. Wszystko to kończyło się nagle na ostrzu włóczni, skraju przepaści albo na szponach jakiejś krwiożerczej bestii.

Żadna z twarzy nie prześladowała go tak jak oblicze Vaxora, spokojne i jasne mimo brutalnej śmierci, która go spotkała. Kaerion zasnął na twardej podłodze zaraz po tym, jak Phathas ogłosił pierwszy prawdziwy odpoczynek. Popatrzył jeszcze na strażników rozstawiających się dookoła zaimprovizowanego obozu, ale trudy całego dnia szybko go zmogły. Z obolałymi mięśniami i stawami zwinął się pod ścianą i zasnął, kiedy tylko położył głowę na posłaniu.

Ogarnęła go chłodna ciemność. Sen niczym leczniczy balsam ulżył jego brzemieniu. Nie było żalu ani bólu - tylko czerń snu. A potem w jego umyśle eksplodował pierwszy obraz - szary, kamienny pazur rozrywający ciało. Słyszał wrzask Vaxora, rozszarpywanego przez gargulca, widział skórę jego brzucha, drącą się jak pergamin, wylewające się na podłogę wnętrzności. Kaerion obudził się z takim krzykiem, że dwaj strażnicy podbiegli do niego sprawdzić, co się stało.

Nie zasnąłby ponownie, gdyby Majandra nie ułożyła się do snu obok niego. Nawet teraz, kilka godzin później, czuł dotyk jej palców gładzących go po policzku i słyszał jej ciche nucenie. Zasnął, ale rzucał się przez sen, dręczony koszmarami. Dlatego z wdzięcznością objął swoją wartę, kiedy jeden z najemników obudził go, potrząsając za ramię.

To było jednak kilka godzin temu, a teraz wymęczone ciało Kaeriona znów domagało się snu. Wojownik potrząsnął głową, by stłumić kolejne ziewnięcie. Pozostali powoli się budzili. Następny

odpoczynek miał nastąpić nieprędko. Przyglądając się ocalałym członkom ekspedycji, Kaerion poczuł, że serce mu mięknie na widok przecierającej zaspane oczy Majandry. Ona i Phathas wstali wcześniej, by ślezczyć nad księgami czarów przy migoczącym świetle lampy. Patrząc, jak bardka układa swoje zmierzwione od snu włosy w kucyk, Kaerion zwalczył ochotę, by rozmasować jej kark i plecy. Chociaż wiedział, że wciąż jest niegodny używać słów takich jak obowiązek i honor, miał jakiś cel i nie zamierzał narażać całej drużyny na niebezpieczeństwo, by zrobić zadość własnym pragnieniom.

W grobowcu było dość takich niebezpieczeństw. Kaerion nie chciał stracić nikogo więcej przez nieostrożność - albo zdradę. Zobaczył okrutny uśmiech Adrysa tak dokładnie, jakby chłopiec stał przed nim. Adrys go zwiódł. Zapłaci za to, ale dopóki to nie nastąpi, Kaerion zamierzał stać na straży, strzegąc pozostałych, kończących poranne przygotowania. Minęło około pół godziny i wojownik zaczął się zastanawiać, jaka pora dnia panuje na powierzchni.

- Słońce właśnie wyjrzało nad horyzont - oznajmił Gerwyth, jakby czytając w myślach Kaeriona. Tropicieł zakończył to stwierdzenie stłumionym mruknięciem, wyciągając w górę ręce i rozciągając mięśnie.

Kaerion uśmiechnął się do przyjaciela, przyzwyczajony do jego wyczucia czasu. Uśmiech ten zbladł jednak na widok Phathasa, wstającego ciężko z posłania. Czarodziej, i tak już chudy, przez ostatnie tygodnie jeszcze stracił na wadze. Cienka jak papier skóra opinała się na jego czaszce. Kaerion widział nowe zmarszczki, które ból i żal wyrwały na i tak pomarszczonej twarzy maga. Owinięty w brudny, szary płaszcz, Phathas wyglądał jak jeden z nieumarłych, którzy bez wątpienia nawiedzali ponure korytarze tych podziemi.

Tylko oczy dawały świadectwo, że jeszcze żyje - jak dwa szafiry płonęły z niesamowitą intensywnością. Cokolwiek pchało maga do przodu, każdy krok musiał być dla niego aktem woli. Było jasne, że po doświadczeniach ostatnich kilku miesięcy czarodziej nie będzie tolerował żadnych porażek. Ożywiany tą zaciekłością starzec wstał niepewnie z posłania.

- Czas ruszać - powiedział ze zmęczeniem. - Jesteśmy blisko miejsca spoczynku Acereraka. Czuję to.

Zakończywszy przygotowania, drużyna zebrała się przy wlocie korytarza, przed sekretnymi drzwiami. Poprzednio przeszli odsłoniętym w przekłętej kaplicy tunelem. Kaerion jeszcze raz podziękował w myślach Majandrze za to, że zapamiętała wiersz Acereraka, oszczędzili bowiem dzięki temu mnóstwo czasu. „Dwie jamy po drodze odkryjesz, co wiedzą do upadku bez celu, wybadaj więc ścianę”, zacytowała, kiedy szli kamiennym tunelem. Odkryli oczywiście kilka jam przemyślnie ukrytych pod zapadniami. Przyglądając się uważnie, odkryli na dnie jednej z nich sekretne przejście, postali się przez nie na prowadzące w dół schody zakończone kolejnymi drzwiami, tym razem zablokowanymi magią. Phathasowi dopiero po kilku próbach udało się je

sforsować i tak go to wyczerpało, że kiedy przez nie przeszli, zarządził odpoczynek.

Teraz odświeżona nieco drużyna ruszała dalej. Zakręcający korytarz zaprowadził ich do krótkiego hallu, zakończonego drzwiami. Kiedy bardka oznajmiła, że są bezpieczne, sforsowali je.

Idący na przedzie Kaerion zobaczył wielką komnatę. Zanim zdołał dać choć krok, w jego nozdrza uderzył ostry zapach suszonych ziół i kurzu. Pozostali zaczęli kasłać, wojownik jednak wszedł do pomieszczenia, oddychając przez nos. W świetle pochodni zobaczył pokrywające każdy cal ścian półki, zastawione glinianymi dzbankami, słoikami i innymi pojemnikami. Niektóre leżały na bokach, popękane albo stłuczone. W komnacie w równych odstępach stały cztery stoły i duże biurko. Kaerion odkopnął ostrożnie na bok rozwłózione po podłodze brudne szmaty i podszedł do jednego ze stołów. Na samym środku pomieszczenia ustawiono trzy beczki wypełnione ciemną cieczą, która odbijała migoczące światło pochodni niczym oczy jakiegoś drapieżnika.

Phathas podszedł do jednego ze stołów i szturchnął laską zaściewające go szmaty, potłuczone garnki i odłamki kości.

- To jakaś pracownia - oznajmił. Kaerion musiał wyteńczyć słuch, by zrozumieć jego słowa. - Bez wątpienia słudzy Acereraka przygotowywali tu zmarłych, którzy mieli być pogrzebani razem ze swym złym panem.

- Jak dla mnie, to wygląda jak brudna woda - powiedział jeden z żołnierzy, który podszedł cicho do pierwszej beczki i zajrzał do środka. - Cuchnie, jakby ktoś używał jej zamiast nocnika - dodał, marszcząc nos.

Wykrzywiona twarz Gerwytha potwierdziła zdanie najemnika.

- Cuchnie jak Kaerion po całodniowym chlaniu - dociął i lekceważąc protesty urażonego wojownika, dodał: - Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Bez ostrzeżenia kopnął beczkę, która obróciła się dwa razy i runęła z trzaskiem, chlustając śmierdzącą cieczą na podłogę.

- Pusta - powiedziała Majandra, zaglądając do środka.

- Ta jest zbyt pełna, żeby ją przewracać - stwierdziła Landra, z obrzydzeniem przyglądając się drugiej beczce.

Jeden z jej żołnierzy podszedł bliżej z odłamanym kawałkiem tyczki, przeciętej przez zamykającą się zapadnię jamy. Włożył go do beczki i zaczął mieszać. Kaerion przyglądał się temu z niepokojem.

- Oho - powiedział żołnierz. - Chyba coś tam jest. Kaerion podszedł do niego, na wszelki wypadek kładąc dłoń na rękojeści miecza. Bredeth zrobił to samo. Po kilku próbach najemnikowi udało się wyłowić z beczki ukryty w niej przedmiot.

Znalezisko spadło na podłogę z metalicznym szczękiem; w świetle pochodni zalśniło złoto. Kaerion z ulgą przekonał się, że wygląda to na fragment klucza. Nachylił się, by go podnieść, ale

usłyszał ostrzegawczy okrzyk Majandry.

Prostując się szybko, zobaczył strażnika wyciągającego z beczki ułamek tyczki. Z drewnianego kija unosiła się smużka dymu. Kaerion usłyszał ciche skwierczenie, z którym płyn wyżerał drewno.

- Kwas - powiedział Bredeth, a wojownik usłyszał w jego głosie zniesmaczenie makabryczną pułapką. - Założę się, że zawartość trzeciej beczki jest równie niebezpieczna.

- W rzeczy samej - powiedział Phathas, podchodząc do niej powoli. - Sugeruję, żebyście się odsunęli.

Kaerion posłuchał maga i cofnął się kilka kroków. Pozostali zrobili to samo, aż czarodziej został przy beczce sam. Ściskając swoją laskę w jednej ręce, drugą podniósł wnętrzem dłoni do góry. Komnatę wypełnił cichy szmer, a Kaerion ze zdumieniem zobaczył, że gęsta, żelowata substancja unosi się powoli pod sufit. Kiedy zawisła już na bezpiecznej wysokości, Majandra podbiegła do beczki i zajrzała do środka.

- Jest druga część klucza - powiedziała, nachyliła się i wyjęła ją.

Szybko podbiegła z powrotem do miejsca, gdzie leżał pierwszy element i połączyła je oba razem. Kaerion zobaczył rozbłysk światła i obie części się połączyły. Bardka uśmiechnęła się, podnosząc cały klucz do góry.

- To następna część wiersza Acereraka - oznajmiła. - „Te klucze i one są ze wszech najważniejsze” - wyrecytowała. - To pewnie znaczy, że po drodze do krypty Acereraka znajdziemy jeszcze kilka takich kluczy, pochowanych w różnych miejscach.

- A co zrobimy, jak już będziemy je wszystkie mieli? - spytał Bredeth, z obrzydzeniem rozglądając się po zrujnowanej pracowni.

- Nie mam pojęcia - przyznała Majandra. - Ale jak dotąd wierz nas nie zawiódł.

- Chyba, że słowa Acereraka prowadzą nas do zguby.

- To możliwe - wtrącił się Kaerion, nie chcąc, by drużyna traciła czas i energię na kolejną sprzeczkę - ale do tej pory trzymanie się wskazówek zapewniało nam bezpieczeństwo. Tylko badając fragmenty grobowca nieopisane w wierszu, napotykamy jakieś zagrożenia. Mając do wyboru drogę, o której wspomina wiersz i taką, o której nie wspomina, wybrałbym tę wskazaną przez Acereraka.

- Zgoda, przyjacielu - powiedział Phathas, podchodząc bliżej. - Idźmy według słów maga, a konsekwencjami będziemy się martwić, kiedy się pojawią.

Drużyna ustawiła się w szyk, z Kaerionem i Gerwythem na przedzie, i ruszyła dalej przez łukowato sklepione wyjście. Ciemny korytarz wkrótce zakręcił i wyprawa zeszła w dół długimi kamiennymi schodami. Ich kroki naruszały wiekową pokrywę kurzu i pleśni, a unoszące się wszędzie drobinki szczypały w nozdrza.

Na dole tunel znów skręcał, a Kaerion nagle zatrzymał drużynę. Przed nimi ziała szeroka jama.

Wojownik podszedł do krawędzi i spojrzał w dół. Z dna dziury sterczały kolce, w świetle pochodni lśniące jak kły jakiegoś drapieznika.

Gerwyth stanął obok niego i zagwizdał przeciągle.

- Trochę się napracujemy, żeby to ominąć - stwierdził.

- Niekoniecznie, Gerwycie - powiedziała bardka. - Mogę przelewitować na drugą stronę i przywiązać linę, po której przedostanie się reszta z was.

- Jest inne rozwiązanie, moja droga - uśmiechnął się Phathas. - Zamiast ryzykować, że uruchomimy jakieś inne pułapki zamontowane przez Acereraka w tej jamie, dlaczego po prostu przez nią nie przejdziemy?

Kaerion zobaczył, że w odpowiedzi Majandra również się uśmiecha.

- To zdecydowanie najlepsze rozwiązanie - powiedziała, po czym kazała wszystkim odsunąć się od krawędzi jamy.

Czarodziej znów sam wystąpił naprzód. Opierając się na lasce, wyrzucił do przodu jedną rękę i zacisnął pięść, recytując jednocześnie zawile słowa czaru. Kiedy wymówił ostatnie, rozprostował palce dłoni. Powietrze nad jamą zamigotało, a magiczna energia stopniowo zakrzepła w solidną, kamienną bryłę, która całkowicie zakryła pułapkę.

Kaerion dał ostrożny krok przed siebie. Upewniwszy się, że most wytrzyma, ruszył naprzód, kręcąc ze zdumienia głową. Przy całej jego fizycznej słabości, potęga maga była oszałamiająca. Bez pomocy Phathasa wyprawę już dawno spotkałby marny koniec. Dotarli tak daleko tylko dzięki poświęceniu i umiejętnościom starego czarodzieja.

Drużyna minęła jamę i po przejściu około stu stóp napotkała ścianę. Pewny, że to nie może być zwykły ślepy zaułek, Kaerion kazał wszystkim rozdzielić się i poszukać ukrytych drzwi. Tym razem to Majandra znalazła sekretne przejście na północnej ścianie. Wystarczyło przekręcić obluzowany kamień obok i przejście się otworzyło, odsłaniając niewielkie pomieszczenie i następne drzwi.

Kaerion kazał je sprawdzić Majandrze, sam zaś wyciągnął miecz i zobaczył, że Gerwyth napina łuk. Półelfka nie znalazła nic podejrzanego. Gestem przekazała to pozostałym i otworzyła przejście.

Kaerion zobaczył, że pomieszczenie po drugiej stronie jest udekorowane gobelinami. Kiedy drużyna podeszła bliżej, okazało się, że używano go głównie jako składu. Podłoga zastawiona była poszczerbionymi wazami i urnami, na środku zaś, zrzuczone na gnijący stos, leżały cztery kanapy i kilka ozdobnych, przypominających trony krzesel. Kaerion ruszył do ustawionych pod ścianami kufrów i skrzyń.

W przeciągu kilku minut cała drużyna się rozproszyła. Nie chcąc przeoczyć jakiegoś niebezpieczeństwa, Kaerion uważał na wszystkich, choć sam otwierał skrzynię za skrzynią - nic w nich nie znajdując.

Kątem oka zobaczył Landrę i jeszcze jednego najemnika, badających jeden z kufrów, podczas gdy kolejny patrzył na wiszące na ścianach gobeliny. Nawet z daleka Kaerion widział, że przedstawiono na nich podwodne scenerie. Zieleń i błękit, porośnięte wodorostami kamienie i korale odstawały jaskrawo od ponurej szarości kamiennych ścian.

Kaerion miał właśnie zawołać Majandrę, by pomogła mu otworzyć kolejną skrzynię, kiedy rozległ się niski, jęczący dźwięk. Podłoga komnaty zatrzęsała się gwałtownie, rzucając Kaeriona na kolana. Wojownik ze zgrozą zobaczył, że para kufrów przewraca się na bok, a ze środka wylewa się masa węży.

Okrzyk bólu kazał mu się obejrzeć. Kaerion spojrzał w stronę, z której dobiegł odgłos i ujrzał, że oglądający gobelin żołnierz chwycił się jego krawędzi, by nie upaść. Gobelin oderwał się ze ściany i spadł na podłogę, zamieniając się w gęsty, zielony śluz. Kaerion prawie zwrócił ostatni posiłek, widząc, jak skóra żołnierza pokrywa się pęcherzami i rozpuszcza, powiększając objętość stwora.

Syk rozwścieczonych węży przywrócił mu pamięć o innych niebezpieczeństwach. Kaerion zerwał się pospiesznie na nogi i stwierdził, że podłoga przestała się trząść. Landra i drugi najemnik zostali otoczeni przez atakujące gady. Kaerion rzucił się na nie bez wahania, wzywając na pomoc Bredetha. Dwaj wojownicy, tnąc i rąbiąc mieczami, zostawiali za sobą szlak śmierci. Choć Kaerion musiał bez przerwy uważać, udało mu się zobaczyć, że Gerwyth, Majandra i Phathas stoją poza zasięgiem szukającego nowej ofiary śluzu. Chwilę później komnatę rozświetlił błysk czarów, kiedy półelfka i czarodziej jednocześnie zakończyli inkantacje.

Kaerion zignorował wybuchy, pewien, że jego towarzysze panują nad sytuacją. Dwa węże przemknęły pod jego tarczą, dwa komplety kłów zadzwoniły o kolczugę. Wdzięczny za to, że miał czas ją rano założyć, Kaerion jednym ciosem miecza odrąbał obu gadom łby.

Następne kilka chwil zlało się w rytmiczną kośbę, kiedy Bredeth, Kaerion, Landra i ostatni najemnik mordowali węże. Kiedy ostatni gad został zabity, w komnacie zaległa cisza. Ciężko dysząc, Kaerion spojrzał w róg pomieszczenia i zobaczył Majandrę i Phathasa, stojących nad dymiącą stertą zielonego śluzu. Gerwyth szukał czegoś na fragmencie ściany, gdzie poprzednio wisiał gobelin.

— Coś tu jest — powiedział. - To chyba zarys drzwi. - Nacisnął jeden z kamieni i przejście się otworzyło. - Jest korytarz! Chyba lepiej...

Kaerion nie dosłyszał reszty, bowiem komnata znów zadrżała od niskiego jęku.

- Uciekać! - krzyknął wojownik i nie patrząc, czy inni go posłuchali, skoczył do wyjścia. Potykając się i zataczając na znów dygoczącej podłodze, wypadł na korytarz za Phathasem i Majandra. Tam odwrócił się, pomagając uciec pozostałym i odetchnął z ulgą, kiedy ostatni członek drużyny wybiegł z trzęsącej się komnaty.

Zamknął drzwi i oparł się o nie ciężko.

- To... tam... było - wysapała Majandra.

- Co było? - spytał Bredeth.

Bardka machnęła ręką i trochę się uspokoiła. Kaerion zobaczył łzy kręcące się w jej migdałowych oczach.

- Ostrzeżenie - powiedziała w końcu. - „I strzeż się dłoni drżących”... To było w wierszu. Gdybym tylko...

- Przestań - skarcił ją Phathas. - Nie mogłaś wiedzieć, co mają oznaczać „drżące dłonie”. Pamiętaj, mimo tego, że wiersz Acereraka nam pomaga, znaczenie jego zagadek jest celowo niejasne. Mamy nie przeżyć tej wyprawy.

- Zgadzam się - dodał Kaerion, ściskając pocieszająco ramię Majandry. - Jesteś dla siebie zbyt surowa. A ja się na tym znam - powiedział ze smutnym uśmiechem. - Jestem ekspertem w tych sprawach.

Półelfka uśmiechnęła się do niego słabo. Wojownik delikatnie otarł jej łzy z oczu i pocałował ją lekko w czoło.

- Uspokój się, Majandro. Jesteśmy już prawie u celu.

- A raczej będziemy, jeśli przestaniecie się migdalić po kątach - powiedział Gerwyth, łagodząc ostry ton przekornym uniesieniem brwi. - Ruszajmy dalej. Mamy zadanie do wykonania.

Drużyna ruszyła, tym razem wolniej. Chociaż nie odniósł żadnych ran w komnacie, Phathas wciąż jeszcze nie doszedł do siebie. Dlatego też zejście po następnych schodach trwało trochę dłużej.

Tunel zaprowadził ich do skrzyżowania, którego odnogi prowadziły w czterech kierunkach. Kaerion już po chwili był wdzięczny za wolne tempo marszu. Zanim wszedł na skrzyżowanie, odwrócił się, żeby spojrzeć na Phathasa i ruch ten ocalił mu życie. Podłoga pod jego wyciągniętą stopą zapadła się, odsłaniając głęboką jamę. Kaerion nie stracił równowagi i zatrzymał się na jej samym skraju, wymachując wściekle rękami, dopóki Gerwyth go nie odciągnął.

Chociaż jama nie była tak imponująca jak ta, którą pokonywali ostatnio, zatrzymała ich na dłużej. Po krótkich ustaleniach postanowiono, że Majandra, jako najlżejsza, przeskoczy w boczny korytarz, za nią Bredeth i razem przytrzymają linę, która pomoże przedostać się na drugą stronę jamy mniej zręcznym członkom drużyny. Ostatecznie pokonanie pułapki trwało dobrych kilka minut.

Kiedy znaleźli się już po drugiej stronie, Kaerion zatrzymał się, by zapalić nową pochodnię i przyjrzeć się dokładnie tunelowi. Korytarz niknął w ciemności, ale wojownikowi zdawało się, że widzi jakieś drzwi na samym skraju pola widzenia. Zwołał drużynę i razem ruszyli w tamtą stronę. Tak jak podejrzewał, tunel kończył się solidnymi, kamiennymi drzwiami. Przywykła już do procedury działania w takich wypadkach Majandra bez słowa sprawdziła, czy nie czyhają na nich

jakieś pułapki.

- Żadnych tu nie widzę - oznajmiła, kiedy skończyła.

- Wielka mi pociecha - powiedział Bredeth. - A co z tymi, których nie widzisz?

Kaerion widział, że złośliwości szlachcica powoli doprowadzają bardkę na skraj wybuchu. Majandra wydeła wargi i prawie było już widać ostrą odpowiedź formującą się na jej ustach.

- Jeśli Majandra nie znalazła żadnych pułapek, mi to wystarczy - powiedział Kaerion, otworzył drzwi...

I zobaczył gładką, kamienną ścianę.

Wszyscy zgodnie zaklęli w kilku językach, nawet stary czarodziej wymamrotał pod nosem coś nieprzyzwoitego. Jak dotąd wiersz Acereraka dobrze ich prowadził. Może powinni wybrać na skrzyżowaniu inną odnogę korytarza? Wydawało się to najlogiczniejszym wyjściem, Kaerionowi coś jednak nie dawało spokoju.

Pozostali zaczęli już się cofać, kiedy zawołał: - Zaczekajcie! Czy w wierszu nie było czegoś o fałszywych drzwiach?

Cała drużyna zawróciła jak jeden mąż i spojrzała wyczekująco na Majandrę. Bardka przybrała skupiony wyraz twarzy.

- Tak - powiedziała, a jej głos zdrzął z podniecenia. - „Jeśli znajdziesz fałszywe, znajdziesz i prawdziwe.” Szybko, Gerwycie! - zawołała głosem godnym wodza na polu bitwy.

- Przyjrzyj się ścianie za fałszywymi drzwiami. Z nas wszystkich ty masz najbystrzejszy wzrok.

Elf skłonił się krótko Majandrze i podszedł do ściany. Przez kilka minut wodził po niej palcami, przyglądając się z bliska kamieniom.

- Zgadza się - powiedział w końcu. - Tu są drzwi.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Po raz kolejny wiersz ich nie zawiódł. Kiedy tylko Majandra oznajmiła, że przejście nie jest zabezpieczone pułapkami, ustawili się w szyku i otworzyli je. Drzwi zazgrzytały głośno o kamienie podłogi. Mimo chłodu Kaerion poczuł spływającą mu po plecach stróżkę potu. Podświadomie wzruszył ramionami, pozbywając się przykrego uczucia. Byli coraz bliżej serca tej diabelskiej krypty.

Kaerion poprawił tarczę na ramieniu, podniósł pochodnię i przeszedł przez drzwi.



Majandra rozejrzała się z podziwem po sali. Wokół niej, jak okiem sięgnąć, aż poza granice światła pochodni wznosiły się kamienne kolumny. Drużyna zebrała się przy wejściu, a oddechy jej członków niesły się echem po olbrzymim pomieszczeniu. Pokonanie kamiennych drzwi kosztowało ich kilka minut i trzy ostrza mieczy, półelfka była jednak pewna, że zmierzają w dobrym kierunku.

To musi być sala kolumn, pomyślała i podzieliła się tym przypuszczeniem z pozostałymi. Napięcie było prawie namacalne.

- Jeśli to ta sala, o której mówi wiersz Acereraka, gdzie jest tron? - spytał Bredeth gdzieś z tyłu.

Odpowiedź Majandry uciął huk zatrzasnkujących się drzwi, przez które przeszli kilka minut temu. Bardka odwróciła się, gotowa pomóc w miarę swoich możliwości, ale słysząc przekleństwa Kaeriona, nie sądziła, by można było jeszcze coś zrobić.

- Zatrzasnęły się na dobre - oznajmił wojownik, potwierdzając jej obawy.

Gerwyth i mag przez kilka chwil badali zamknięte przejście. Popróbowali je otworzyć, zarówno magicznie, jak i zwyczajnie, lecz poddali się po kilku podejściach.

- Drzwi otwierają się tylko w jedną stronę - powiedział czarodziej. - Wygląda na to, że o wyborze dalszej drogi zdecydowano za nas.

Nie chcąc tracić energii na przeklinanie sytuacji, na którą nie można nic poradzić, Majandra rozejrzała się jeszcze raz po sali. Bredeth miał rację. Jeśli znaleźli się w sali kolumn, powinni być w odległości strzału z łuku od tronu Acereraka. Bardka potrzęsła ze złością głową, zalegające wokół cienie były bowiem nieprzeniknione nawet dla jej półelfich oczu.

Zanuciła cicho kilka dźwięków i wysłała w mrok trzy błękitno-zielone, tańczące światełka. Usłyszała okrzyki zdziwienia i uznania dla jej czar. Ogniki rozcinały ciemność z równą łatwością, co migbłystalny miecz kości. Ich pulsujące światło ukazało salę w całej okazałości. Była większa niż królewska sala tronowa w Rel Mord - nawet największy gigant wydawałby się w niej karzełkiem. Ku sklepieniu strzelały rzędy kolumn. Zdobiące je symbole i reliefy podkreślone były klejnotami i kolorowymi akcentami, na widok których każdy mistrz rzemiosła zapałby z zachwytem. Z miejsca, w którym stała, Majandra dostrzegła troje prostych, kamiennych drzwi na północnej ścianie. W przeciwległych kątach sali znajdowały się również kopie wyrzeźbionego pyska demona,

który napotkali przy wejściu do grobowca.

Uwagę Majandry zwrócił jednak najbardziej srebrny tron, stojący pod południową ścianą na hebanowym podwyższeniu. Podchodząc ostrożnie do obiektu swojego zainteresowania, bardka zobaczyła, że tron zrobiony jest, podobnie jak podwyższenie, z obsydianu. Srebrne inkrustacje lśniły już z daleka, z krawędzi oparcia i poręczy gapiły się kpiąco na Majandrę wyrzeźbione z kości słoniowej czaszki.

To Gerwyth zauważył jako pierwszy insygnia władzy skrzyżowane na tronie. Majandra dostrzegła połyskującą, wysadzaną klejnotami koronę dopiero po jego okrzyku. Pozostali rozeszli się przeszukać resztę sali, ale bardka przywołała ich z powrotem.

- Tron jest kluczem - wyjaśniła, kiedy się zbliżyli.

Phathas machnął ręką przed tronem, a Majandra cofnęła się przed rozbłyskiem światła bijącego od korony i berła.

- Magia - ostrzegł czarodziej, kiedy drużyna podeszła bliżej. Półelfka sprawdziła dokładnie, czy na podwyższeniu nie ma żadnych pułapek.

Kaerion i Bredeth zaczęli wchodzić na czarne schody, kiedy Majandra usłyszała za sobą stłumione przekleństwo. Odwróciła się i zobaczyła ostatniego najemnika, ciemnowłosą kobietę imieniem Keeryn, która przechodząc, otarła się o jedną z kolumn i wisiała teraz zawieszona w powietrzu około dziesięciu stóp nad ziemią. Bardka podbiegła do niej, ale strażniczka uniosła się jeszcze wyżej.

- Phathasie! - krzyknęła Majandra. - Na pomoc! Kiedy mag, Landra i Gerwyth przybiegli, Keeryn wisiała już prawie trzydzieści stóp nad podłogą. Majandra zobaczyła, że kobieta śmiertelnie zbladła.

- Spróbuj się czegoś złapać! - krzyknęła do niej, ale zanim Keeryn zdążyła jej posłuchać, zaczęła przesuwać się w stronę kąta sali.

- Ściąga ją do paszczy demona! - zawołała Landra. Keeryn, już wyraźnie przerażona, próbowała dosięgnąć którejkolwiek z mijanych kolumn.

- Gerwycie, musisz mi pomóc! - powiedziała Majandra, starając się nadażyć za porwaną najemniczką, ta jednak zaczęła nabierać szybkości i od paszczy demona dzieliło ją tylko około piętnastu stóp.

Bardka z ulgą zobaczyła, że elf przywiązał cienką linkę do drzewca jednej ze swoich strzał i wycelował dokładnie w ścianę niedaleko Keeryn. Świeący grot wbił się w kamień, wzbijając chmurkę kurzu. Kobieta była już blisko rzeźby, kiedy udało jej się złapać linkę i zatrzymać. Ulga Majandry była jednak krótka, Keeryn wydała bowiem z siebie zduszony krzyk. Z diabelskiego pyska strzelił w jej stronę ciemnoniebieski promień. Bardka patrzyła, przejęta zgrozą, jak blask się nasila, a potem eksploduje kobaltową jasnością. Kiedy otworzyła oczy, Keeryn zniknęła.

Półelfka poczuła ogarniającą ją drętwość i znajomy ból, który kojarzyła już z tym przeklętym miejscem. Nie zdążyła jednak zastanowić się nad stratą, ponieważ Bredeth nagle coś krzyknął. Majandra odwróciła się do niego, przerażona tym, co może zobaczyć, ale Kaerion i młody szlachcic żyli, a Bredeth trzymał niepewnie w dłoni błyszczące berło. Obaj gapili się na tron, który zaczął zapadać się w podwyższenie.

- Pod tronem jest przejście! - zawołał Kaerion. Ocierając z oczu łzy, Majandra ruszyła w ich stronę, zastanawiając się, ilu z nich będzie musiało jeszcze zginąć, zanim dotrą do celu.

-

* * *

Durgoth ze schodów obserwował nyrondzkich głupców. Na jego ustach błąkał się okrutny uśmiech. Nie zdawali sobie sprawy, jak blisko byli zagłady - nawet ten elf. Tylko Bredeth zdawał się wyczuwać obecność kapłana i jego kultystów. Młody głupiec ciągle się za siebie oglądał, penetrując wzrokiem ciemności. Przekonawszy się o sile połączenia między szlachcicem a czarodziejką, Durgoth nie wątpił, że ich żalosna ofiara może ich wykryć. Ufał jednak, że Sydra potrafi go uciszyć.

Stojący obok niego, spowity cieniem niczym płaszczem Eltanel również obserwował wrogów swym doświadczonego okiem.

- Nie powinniśmy teraz zaatakować, błogosławiony? - zapytał szeptem. - Nie zdają sobie sprawy z naszej obecności. Wybilibyśmy ich bez większego trudu.

Durgoth pokręcił głową, zanim zrozumiał, że złodziej widzi jego reakcję.

- Nie, Eltanelu - powiedział. — Potrzebni mi są jeszcze przez jakiś czas żywi.

Szkoda, pomyślał, bo Eltanel miał rację. Odkąd Nyrondczycy zeszli w tunel pod tronem, przestali troszczyć się o własne bezpieczeństwo. Durgoth i jego wierni byli zaledwie kilkadziesiąt stóp za nimi, kiedy ta przeklęta bardka pochyliła się i podniosła walcowaty klucz z prowadzących w dół schodów.

Teraz głupcy stali przed dwudziestostopowej wysokości wrotami. Nawet ze swojego miejsca Durgoth widział, że odrzwia zrobione były w całości ze srebra; odbijały światło pochodni, rozświetlając migotliwym blaskiem całe pomieszczenie. Za drzwiami jednak kapłan wyczuwał jakąś obecność. Nawet w tej chwili dobijała się do jego umysłu, grożąc porwaniem myśli na strzępy falą ciemności. Durgoth uodpornił się na nią ochronnym czarem i uśmiechnął się lekko, kiedy napór na jego jaźń zelżał.

Z rozmyślań wyrwał go okrzyk bólu jednego z Nyrondczyków. Ognistowłosa bardka stała obok

swojego tępawego wojownika, który padł na kolana. W prawej dłoni trzymał walcowaty klucz, wciąż lśniący od jakiegoś czaru wyzwolonego po przyciśnięciu go do drzwi.

- Nic mi nie jest - powiedział mężczyzna, niepewnie stając na nogi - ale to chyba niewłaściwy klucz.

- Może powinniśmy użyć tego, który znaleźliśmy w pracowni? - zaproponował elf.

Bardka pokręciła głową.

- Nie sędzę - stwierdziła.

Durgoth zazgrzytał ze złości zębami. Trudno było uwierzyć, że ci głupcy dotarli aż tak daleko. Przyglądał się nyrondzkiej drużynie, naradzającej się co robić dalej i był prawie tak zaskoczony jak oni, kiedy Bredeth z okrzykiem wściekłości rąbnął w drzwi mieczem. Wrota zadźwięczały donośnie, kiedy odbiło się od nich stalowe ostrze.

A potem zaczęły krwawić. Najpierw z miejsca uderzenia popłynęła cienka strużka ciemnej czerwieni, potem jednak zamieniła się ona w prawdziwy strumień. Durgoth patrzył, jak drużyna otrząsa się z pierwszego szoku. Szybko jednak stało się jasne, że pomimo ich wysiłków makabrycznej rany nie uda się zatamować. Krew spływała po stopniach schodów i zbierała się w płytką kałużę u stóp kapłana.

Teraz się pokłócili, próbując zdecydować, jakie ma być ich następne posunięcie. Tym razem Durgoth sam zaczął się zmagać z chęcią wydania rozkazu ataku, Nyrondczycy byli mu jednak potrzebni do ominięcia pozostałych pułapek grobowca i przyzwania Acereraka. Kiedy to zrobią, zostaną bezkarnie wymordowani.

- Dość tego! - krzyknęła bardka, a ku zaskoczeniu Durgotha wszyscy posłuchali. - Chyba wiem, jak przejść przez te wrota. Zagadka Acereraka wspomina o tronie, co kluczem jest i klucz go otwiera. Wiemy, że tron był otwierany kluczem. Bredeth użył berła, by odsłonić przejście. - Spojrzała z wdzięcznością na młodego szlachcica. - A jeśli berło jest też kluczem do tych wrót?

- Mądrze mówisz - oznajmił stary mag, odwracając się do pozostałych. Durgoth, wciąż ukryty w ciemności, pokręcił głową. Miał ochotę skrócić przemądrzałemu starcowi kark. Jeszcze kilka minut, pomyślał, i osobiście będę się mógł pozbyć ich wszystkich.

- Którą stroną berła otworzyłeś przejście? - spytał czarodziej.

- Tą ze srebrną gałką - odparł młody mężczyzna.

Mag pokiwał głową i wziął berło od bardki. Durgoth patrzył, jak starzec przykładła złotą kulę do wgłębienia w drzwiach. Na chwilę zapadła całkowita cisza. Strumień krwi zamienił się znów w cienką strużkę, a potem znikł.

Z trudem skrywając podniecenie, Durgoth zobaczył, że drzwi bezgłośnie się otwierają. Wycofał się cicho korytarzem do czekających na niego niecierpliwie wiernych. Za kilka chwil ich wyprawa zakończy się sukcesem. Lata cierpliwości, wysiłków i knucia wreszcie się opłacą.

I zacznie się rzeź.



Kaerion wkroczył do imponującej komnaty z wyciągniętym mieczem, gotów do ataku - i prawie go wypuścił, na wpół oślepiony nagłą światłością. Mrugając oczami, krzyknął ostrzegawczo do pozostałych. Weszli powoli, obawiając się niebezpieczeństw, które mogły na nich czyhać.

W przeciwieństwie do innych komnat podziemi, ta oświetlona była płonącymi jasno w złotych palnikach ognikami. Sufit wyłożony był srebrem, odbijającym i wzmacniającym blask płomieni do tego stopnia, że Kaerion dopiero po chwili spostrzegł ich niesamowitość - nie migotały i nie chwiały się.

Zrobił kilka kroków i stanął na środku komnaty. To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersiach. Podłoga nie była zrobiona jak gdzie indziej z szarego kamienia, lecz z półszlachetnego minerału - sądząc po wyglądzie, agatu - wypolerowanego niczym lustro. Pod przeciwległą ścianą stał granitowy sarkofag. Nawet z tej odległości Kaerion dostrzegał pokrywające go starożytne glify. Przed sarkofagiem ustawiona była duża urna z brązu, połyskująca złotymi inkrustacjami. Kaerion czujnie przyjrzał się szaroniebieskiemu dymowi dobywającemu się spod jej zamknięcia.

- Co za widok - powiedział ktoś za jego plecami. Kaerion obejrzał się i ze zdumieniem zobaczył Landrę. Kapitan podeszła do niego wraz z pozostałymi. Patrzyła na dwie masywne, żelazne skrzynie, stojące po obu stronach sarkofagu.

- To musi być skarbiec Acereraka - powiedziała stłumionym głosem. Gdyby byli gdzieś indziej, Kaerion mógłby się uśmiechnąć, słysząc te słowa. Po raz pierwszy widział, żeby coś zrobiło na najemniczcze wrażenie.

- Uważajcie, czego dotykacie - wydyszał Phathas. - Nie sądzę, by to był koniec niebezpieczeństw.

Kaerion spojrzał na starego maga ze skrywaną troską, nie chcąc urazić jego dumy. Czarodziej podeszedł niepewnie do sarkofagu i wyciągnął swoją laskę nad granitowym wiekiem. Wymamrotał kilka słów i cofnął się o krok z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Nic! - zawołał.

- Sarkofag nie jest obłożony żadnymi czarami? - spytał Gerwyth, podchodząc do starca.

- Nie. Nic nie wyczułem - wyjaśnił Phathas tak osłupiałym tonem, że Kaerion aż się skrzywił. -

Mój czar nie zadziałał!

Mag zaczął rzucać następny, ale znów nic się nie stało.

- Wygląda na to, że coś blokuje moją magię - stwierdził. - Spróbuj ty, Majandro.

Po chwili bardka przekonała się, że ona również nie może rzucać czarów.

- Cóż - powiedziała głosem tak podobnym do Phathasowego, że Kaerion siłą woli powstrzymał uśmiech - cokolwiek nie pozwala nam czarować, najwyraźniej nie działa na sam grobowiec.

Wskazała na palniki na ścianach.

- Nie powinniśmy otworzyć sarkofagu? - spytał Bredeth. - To może być grób Acereraka.

- Nie - usłyszał własne słowa Kaerion. - Acererak jest blisko, ale nie tutaj.

Pozostali spojrzeli na niego, ale wojownik tylko wzruszył ramionami. Nie wiedział dlaczego, ale był pewien tego, co powiedział. Wyczuwał obecność złego maga. Miał to wrażenie już wcześniej - przez chwilę, kiedy weszli na Przepastne Bagnisko. Wtedy jednak było to krótkie, mgliste przecucie, teraz natomiast, blisko przeklętej krypty Acereraka, przejmowało go z taką siłą, że prawie było mu od tego niedobrze. Nie czuł nic takiego od ucieczki z Dorakaa, a implikacje tego faktu były bardziej niemal przerażające niż sama namacalna obecność czarnoksiężnika.

- Tak czy inaczej - przerwała jego rozmyślania Majandra - skoro coś blokuje w tym pomieszczeniu magię, ruszanie czegokolwiek to zbytnie ryzyko. Moglibyśmy uruchomić pułapkę, z którą nie moglibyśmy sobie poradzić. - Omiotła spojrzeniem komnatę. - Poza tym zagadka Acereraka wspomina o czymś jeszcze i myślę, że to coś jest w tym pomieszczeniu. To...

- Posągi - dokończył Gerwyth, zadowolony z siebie. Kaerion westchnął, kiedy jego przyjaciel wskazał potężne, żelazne posągi, strzegące każdego z rogów komnaty. Mierzyły one ponad osiem stóp wysokości, a każdy dzierzył w dłoniach jakąś potężną, czarną broń. Elf odwrócił się do Majandry i wykrzywił się, naśladowując jej minę. - „Ludzie z żelaza, co wzrok ich ponury, więcej potrafią, niż zdawać się może” - wyrecytował złowieszczo i pokazał bardce język. - Myślałaś, że nikt nie słuchał, co masz do powiedzenia?

Majandra uśmiechnęła się do niego uroczo, a Kaerion poczuł irracjonalną zazdrość. Skup się, powiedział sobie w duchu.

- Rozproszmy się i przeszukajmy te posągi - powiedział do pozostałych. - Uważajcie, żeby nie uruchomić żadnych pułapek!

Zbadanie posągów zajęło drużynie krótką chwilę. Tylko jeden z nich, przedstawiający olbrzymiego wojownika z kolczastym buzdyganem, wyglądał inaczej niż pozostałe. Sprawdziwszy uważnie, czy nie chronią go żadne pułapki, Majandra dała znak Kaerionowi, Gerwythowi i Bredethowi. Wojownicy we trzech zaparli się o posąg i pchnęli. Przy wtórze głośnego zgrzytu rzeźba przesunęła się do tyłu, odsłaniając prowadzącą w dół, spiralną pochylnię.

Kaerion klepnął pomocników po ramionach, kiedy odpoczywali po sporym wysiłku. Elf

uśmiechnął się do niego jak zwykle, Bredetha jednak zdawało coś trapić. Twarz młodego szlachcica wykrzywił grymas.

- Co cię gryzie, Bredecie? - zapytał Kaerion. Przez chwilę myślał, że mężczyzna nie odpowie, ten jednak w końcu na niego spojrzał.

- N... nic, Kaerionie - powiedział. - Chyba... chyba coś sobie nadwerżyłem.

Kaerion kiwnął głową. Nie uwierzył w to wyjaśnienie, ale nie miał zamiaru naciskać. Wiedział z doświadczenia, że cokolwiek męczy Bredetha, szlachcic sam o tym powie, kiedy będzie gotowy.

- W takim razie - oznajmił - ja idę pierwszy. Kiedy dam znak, że wszystko jest w porządku, macie jedno po drugim zjechać za mną. Czy to jasne?

Nikt się nie sprzeciwił. Wojownik schował do pochwy miecz i wpełził stopami naprzód w otwór kamiennego szybu. Zanim się ześlizgnął, uśmiechnął się do Majandry. Bardka odpowiedziała tym samym i chociaż nic nie powiedziała, Kaerion zobaczył w tym uśmiechu wszystko, co chciał zobaczyć.

Pomachał jej ręką i zjechał w dół pochylnią.

* * *

Kamienne wrota wsunęły się bezgłośnie w podłogę, odsłaniając zakurzoną komnatę.

- Cieszcie się, póki możecie - powiedział do siebie Durgoth, czując dreszcz niecierpliwości na widok poklepujących się po plecach Nyrondczyków. Po kilku nieudanych próbach otwarcia drzwi Majandra użyła pierwszego klucza - z powodzeniem. Ta kobieta była równie inteligentna, co piękna. Kapłan wspomniawszy przelotnie, jak ujrzał ją podczas wrózenia Sydry, i przypomniał sobie, jakie ma wobec niej plany.

Stłumił podniecenie i skupił się na bezgłośnym śledzeniu drużyny. Na jego rozkaz czarodziejka okryła całą jego ekspedycję czarem niewidzialności. Choć Durgoth nie widział swoich kultystów, wiedział, że czają się gdzieś za nim, gotowi na rozkaz ataku.

Wszedł do komnaty chwilę po swoich wrogach. Bliskość ducha Acereraka miażdżyła mu umysł. Ochronny czar, którym osłonił się jak murami fortecy, pulsował i słabł.

Nyrondczycy rozeszli się po komnacie, a Durgoth zauważył nagle wirującą smugę kurzu, która po chwili nabrała kształtu człowieka i podeszła do bezczeszczonego grobowca poszukiwaczy przygód. Metafizyczny napór czarnoksiężnika napinał Durgothowi zmysły do granic wytrzymałości, było jednak jasne, że mglista postać nie jest groźna. Prawdziwy Acererak czał się gdzieś w tym pomieszczeniu, przemyślnie ukryty.

Phathas również musiał to zrozumieć, polecił bowiem pozostałym zlekceważyć człowieka z kurzu. Zamiast tego kazał bardce wsunąć walcowaty klucz we wgłębienie na środku komnaty. Ognistowłosa półelfka wykonała jego polecenie i trzykrotnie obróciła klucz. Podłoga zadygotała.

Durgoth patrzył ze zgrozą i podziwem, jak południowa część pomieszczenia unosi się w powietrze, wzbijając kłęby wiekowego kurzu i kamiennego pyłu. Odskoczył szybko, kiedy jego wrogowie się cofnęli. Kiedy kurz opadł, jego oczom ukazały się srebrne wrota krypty. Za nimi budził się Acererak, potężny, czekający z niecierpliwością chwili, kiedy zostanie uwolniony i znów ruszy na podbój świata.

Po chwili wahania elf podszedł do wrót, chwycił za wbudowany w nie pierścień i mocno pociągnął. Wrota otworzyły się powoli, odsłaniając królewski wprost skarb. Blask lśniących po raz pierwszy od setek lat klejnotów, biżuterii i niezliczonych tysięcy monet był po prostu hipnotyzujący. Durgoth prawie podskoczył, kiedy usłyszał za sobą gwizd podziwu. Spojrzał z wściekłością na swoich kultystów, wiedząc, że go nie widzą, ale żałując, że nie może ich wszystkich pozabijać. Na szczęście Nyrondczycy byli całkowicie pochłonięci widokiem skarbu Acereraka i nie odkryli ich obecności - jeszcze.

Gniew kapłana minął, kiedy ten zobaczył Bredetha, skaczącego do przodu jak szarpnięta za sznurki marionetka. Przepowiednia dokładnie określiła wszystkie kroki konieczne do przywołania Acereraka i zdobycia klucza. Durgoth dopilnował, by Sydra wiedziała, co Bredeth musi zrobić, kiedy znajdzie się w krypcie czarnoksiężnika.

Uśmiechnął się, kiedy towarzysze szlachcica zaczęli go wołać. Nie bacząc na ich krzyki, Bredeth sięgnął ręką i dotknął wierzchołka niedużej czaszki leżącej w głębi krypty. Durgoth runął na kolana, kiedy duch Acereraka odpowiedział na ten dotyk i przeniósł się do tego planu egzystencji. Kryptę wypełniły fale czarnej mocy, a ostatnie duchowe umocnienia Durgotha rozsypały się w pył.

- Teraz! - ryknął do swoich kultystów i patrzył spokojnie, jak ich migoczące postacie stają się widzialne na chwilę przed tym, zanim jego ludzie dopadli zdezorientowanych Nyrondczyków.

Zaczęła się bitwa.

Kaerion obrócił się na pięcie, słysząc nieznaną głos i szybko uniósł tarczę, kiedy zmaterializowały się przed nim jakieś postacie. Wśród nich rozpoznał mężczyznę w czerwonym płaszczu, biegnącego ku niemu z niesamowitą szybkością. Gniew walczył o lepsze z niedowierzaniem. Napastnicy z Rel Mord powrócili. Ale jak?

Nie miał czasu zastanawiać się nad odpowiedzią. Człowiek w czerwieni przeskoczył ostatnie dzielące ich kilka stóp i wymierzył mordercze kopnięcie w głowę Kaeriona. Wojownik zasłonił się tarczą, ale siła uderzenia odbiła ją w lewo, odsłaniając twarz Kaeriona na prosty cios pięścią. Wojownik zatoczył się do tyłu.

Mnich wciąż nacierał. Chociaż Kaerion był opancerzony i wciąż stał pewnie na nogach, z

trudem parował nawałę ciosów i kopniaków dziobatego mężczyzny. Wojownik rozpaczliwie uchylił się przed kopnięciem z obrotu i ciął mieczem. Zaskoczony tym manewrem napastnik nie zdołał odskoczyć i ostrze wbiło się głęboko w jego łydkę.

Kaerion dobiłby go, gdyby nie wstrząsnęła nim nagła fala mrozu. Poczuł, że mózg przeszywają mu tysiące rozpalonych do czerwoności igieł. Próbował znieść ból, skupić się jakoś, ale bezskutecznie. Przygniatała go straszliwa obecność Acereraka. Czuł otaczającą jego ducha zgniliznę, magmę zepsucia i zła, która wysysała powietrze z płuc. Wiedział, że Bredeth przyzwał potwora zza grobu.

Kaerion zmusił się do otworzenia oczu — nie pamiętał nawet, kiedy je zacisnął - i zamrugał, próbując pozbyć się oślepiających go łez bólu. Rozejrzał się za przeciwnikiem, zdziwiony, że mnich nie dobił go, kiedy miał okazję. Dziobaty mężczyzna stał jednak jak skamieniały, wpatrzony w punkt nad ramieniem wojownika. Ostrożnie, na wypadek, gdyby to był jakiś podstęp, Kaerion obejrzał się za siebie.

To, co zobaczył, zmroziło mu krew w żyłach.

W powietrzu unosiła się biała, gładka czaszka. Jej rubinowe oczy, skrzące się przerażającą inteligencją, obserwowały toczącą się walkę. W ich pulsującym blasku Kaerion dostrzegł złośliwą satysfakcję. Wrażenie to potęgowały diamenty, w imitacji okrutnego uśmiechu wprawione w kościstą szczękę zamiast zębów.

Czując bijące od czaszki fale czystego zła, Kaerion domyślił się, że musi ona być soczewką skupiającą ducha Acereraka. Czaszka wciąż rozglądała się po komnacie. Jakby czegoś szukała, pomyślał, ale czego?

Zobaczył Majandrę, Gerwytha i Landrę ścierających się z olbrzymim stworem, wymachującym wielkimi, zniekształconymi pięściami. Krzyknął, rozpoznając w świetle pochodni, że jego towarzysze walczą z golemem. W porównaniu z jego ogromem każde z nich wyglądało jak małe dziecko. Gerwyth uchylił się przed straszliwym ciosem stwora i dwukrotnie ciął go w pierś swoimi krótkimi mieczami, Majandra zaś zasypywała golema czarami. Landra wymierzyła w jego kark potężne cięcie, które zakończyłoby walkę, gdyby stwór nie odbił miecza jak natrętnego owada i nie cisnął najemniczką o ścianę.

Kaerion wiedział, że musi coś zrobić, ale uwięziony między straszliwą czaszką a mnichem nie mógł się zdecydować.

Gdyby zaatakował czaszkę, mnich bez wątplenia uderzyłby na niego z tyłu. Wojownik nie mógł jednak pozwolić, by licząc bez przeszkód realizował swój mroczny plan. Gdzie, na dziewięć piekieł, jest Bredeth? Kaerion nie widział go, odkąd szlachcic lekceważąc ostrzeżenia drużyny dotknął czaszki. Gdziekolwiek jest, pomyślał z wściekłością wojownik, lepiej niech się szybko pojawi. Jego towarzysze nie wytrzymają długo starcia z golemem.

W tym momencie poczuł ostrzegawcze ukłucie instynktu. Odwrócił się bokiem i zobaczył, że czaszka utkwiała spojrzenie w Phathasie, który z zaskakującą szybkością ciskał czarami w jasnowłosą czarodziejkę - tę samą, która zaatakowała ich w Rel Mord.

- Phathasie, uważaj! - krzyknął Kaerion i uchylił się przed ciosem mnicha, który znów się na niego rzucił.

Nie odwracając się od przeciwnika, stary czarodziej spojrział w stronę Kaeriona. Wyciągnął przed siebie jedną ręką, posyłając w czarodziejkę promień błękitnej energii, lewą zaś uniósł nad głowę laskę i wykrzychał pojedyncze słowo. W mgnieniu oka otoczył go kokon białej mocy. Kaerion skrzywił się, kiedy zobaczył smugę absolutnej ciemności, która wystrzeliła w Phathasa z rubinowego oka czaszki Acereraka. Krypta zadygotała od huku, z którym zderzyły się dwa zaklęcia. Zerkając nad ramieniem przeciwnika, Kaerion zobaczył, że osłona maga zniknęła, ale on sam stoi nawet nie draśnięty.

- Czaszka, Kaerionie! - zawołał Phathas. - Musisz zniszczyć czaszkę! To klucz mocy Acereraka!

Kaerion pokiwał głową. Zamarkował cios mieczem i w ostatniej chwili zmienił jego kierunek, dźgając mnicha w udo. Dziobaty mężczyzna, szybki niczym tygrys, odskoczył w tył, dając Kaerionowi ułamek chwili na działanie.

Czas wydawał się zwolnić. Wojownik zacisnął obie dłonie na rękojeści miecza, odwrócił się w miejscu i z całej siły, popartej skrętem bioder, opuścił jego ostrze na bok czaszki.

Miecz pękł na tysiące metalowych igiełek, które rozprysnęły się po całej krypcie.

Kaerion odskoczył, bezbronny, jeśli nie liczyć Galadorna, którego nie mógł dobrać. Mnich zbliżył się do niego z okrutnym uśmiechem.

- Zobaczmy, jaki jesteś dobry bez swoich zabawek - warknął.

Kątem oka Kaerion zobaczył Phathasa, który podnosił laskę, gotów przyjść mu z pomocą. Czarodziej potknął się jednak i runął na twarz z grymasem bólu i zdziwienia. Z jego pleców sterczał miecz. Kaerion ryknął, kiedy ujrzał Bredetha, schylającego się i wrywającego ostrze z pleców towarzysza, którego sam zabił. Szlachcic, wykrzywiony z przerażenia, krzyknął i złapał się wolną ręką za głowę.

- Wynoś się z mojego umysłu! - krzyknął wściekle. Kaerion nie zobaczył nic więcej, zmuszony zasłonić się tarczą przed dwoma kopnięciami wymierzonymi w jego głowę. Skupiając się, głównie bezskutecznie, na odbijaniu gradu spadających na niego ciosów, oderwał wzrok od swojego przeciwnika, dopiero kiedy usłyszał krzyk, tym razem Majandry.

I zmarł.

Bardka stała unieruchomioną czarnym promieniem, jej twarz była wykrzywiona z bólu. Jej ciało zaczęło zniknąć. Kaerion krzyknął i rzucił się na mnicha, mając nadzieję go wyminąć. Cios otwartą dłonią w kark zupełnie go sparaliżował. Wojownik runął bezwładnie na ziemię, mogąc tylko

patrzeć, jak czarny promień pożera Majandrę.

Po chwili bardka zniknęła.

- Nie! - krzyknął Kaerion, czując ogarniającą go rozpacz. Znów zawiódł, a ludzie, na których mu zależało, umierali. Jego przyjaciele ginęli, a on nie mógł nic zrobić.

Też mi obrońca, zaszeptał jakiś głos w jego głowie. Wściekłość, strach i żal prawie go obezwładniały, ale głos niósł w sobie obietnicę ulgi. *Wiesz, gdzie jest bezpiecznie*, kusił. *Wiesz, gdzie znajdziesz ukojenie*.

W głowie rozbłysły mu obrazy: ciemna jama, oślizgłe ściany lochu. Ciemność wołała, kusiła, chciała zamknąć go w swoich objęciach. Czuł, że zbliża się do niego, a ból znika. Chciał do niej iść - zatracić się w jej nieskończonym uścisku.

Tak, powiedział głos. *Oto, co uwolni cię od twego brzemienia. Możesz zapomnieć o swoim cierpieniu*.

Przed oczami Kaeriona pojawił się kolejny obraz - twarz rudowłosej kobiety o nosie usianym drobnymi piegami. Uśmiechała się.

I Kaerion pojął nagle, że są rzeczy, o których nie chce zapomnieć. Nigdy. Majandra nauczyła go, jak znów zacząć żyć. W jej objęciach poznał na nowo wiarę w wybaczenie i zaufanie. I zrozumiał, że ból i żal mogą być darami, przypomnieniem, jak drogie są rzeczy, które utraciliśmy.

Nie. Nie chciał zapominać o swoim bólu.

Potrząsając głową Kaerion zignorował głos, którego słodki ton zamienił się we wrzask furii. Wojownik spróbował wydzwignąć się z jamy i ciemności, która wypływała z niej jak spalona melasa, ale nie mógł. Miękkie, ciepłe objęcia zamieniły się w żelazne okowy, zaciśnięte na jego piersi i ramionach.

Poczuł, że spada z wielkiej wysokości. Nad sobą widział twarz Majandry, z każdą chwilą coraz odleglejszą. Bezradny, wciąż otępiały po poniesionej stracie, Kaerion wydobył z siebie słowa, na które nie zdobył się od ponad dziesięciu lat.

- Heironeusie! - krzyknął w mrok. - Pomóż mi!

Świat eksplodował jasnością.



Wizja, koszmar czy rzeczywistość - Kaerion nie wiedział, czego doświadcza. Siedział na wysokim, rzeźbionym fotelu i patrzył ze zdumieniem na znajome wnętrze świątyni. Po obu stronach stały rzędy wznoszących wysoko miecze posągów, przed nim zaś rozciągała się długa nawa, prowadząca - wiedział to - do bogato zdobionej kruchty.

Był sam, a przynajmniej wydawało mu się, że w świątyni nie ma nikogo oprócz niego. W głębokich niszach ścian zalegały cienie, nie wyczuwał jednak bijącego od nich zła. Odetchnął głęboko, mając nagłe wrażenie, że w piersi rozwiązał mu się olbrzymi węzeł. Kaerion zdał sobie sprawę, że nie czuje już brzemienia obecności Acereraka.

Uczucie to jednak było czymś więcej niż brakiem zła. Od tak dawna nie zaznawszy mocy Heironeusa, Kaerion rozpoznał ją dopiero po chwili. Przypominało mu to moment w Rel Mord, kiedy Vaxor odpędził demona, teraz jednak moc była mniej skupiona i bardziej wszechobecna. Była wszędzie, przepływała przez każdy kamień i marmurową płytę świątyni. Powietrze drżało od jej potęgi i Kaerion zdziwił się, jak mógł jej nie dostrzec, kiedy się tu zjawił - gdziekolwiek był.

- Ach, zastanawiałem się, kiedy mnie zauważysz - odezwał się za nim jakiś głos.

Kaerion zerwał się przestraszony i odwrócił. Zobaczył młodego chłopca o przeszywającym spojrzeniu błękitnych oczu. Pod wojownikami ugięły się nogi, kiedy rozpoznał znajomą twarz. Przed nim, z uśmiechem cherubina stało ucieleśnienie jego koszmarów z ostatnich dziesięciu lat - dziecko, które zdradził w podziemiach Dorakaa.

- K... kim jesteś? - wyjąkał zdumiony, że jego głos brzmi tak stanowczo. To wszystko nie miało sensu.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopca, zastąpiony wyrazem najczystszej niewinności.

- Jak to, przecież mnie wzywałeś - odparło dziecko, podchodząc bliżej.

Kaerion potrząsnął głową. To było niemożliwe.

- Nie... nie możesz być nim.

- A kimże jesteś, by decydować, kim mogę, a kim nie mogę być? - spytał ostrym tonem chłopiec.

Kaerion wyczuł potęgę w jego wysokim głosie, tak jak przeczuwa się burzę na moment przed tym, jak uderzy. Opuściłby wzrok, zawstydzony, ale chłopiec - bóg, pomyślał ze zdumieniem - stał

przed nim i nie pozwalał mu się ruszyć.

- Gdzie jestem? - spytał Kaerion, chcąc przerwać przedłużającą się ciszę.

- Jesteś tam, gdzie powinieneś być - odparł zagadkowo chłopiec.

- Ale moi przyjaciele... - przypomniał sobie Kaerion. - Oni potrzebują mojej pomocy.

Chłopiec-bóg się uśmiechnął.

- Lojalność to szlachetna cecha - powiedział. - Nie obawiaj się, bowiem jeśli do nich powrócisz, przekonasz się, że nie minęła dla nich nawet jedna chwila.

Kaerion kiwnął głową, nieco zaniepokojony użyciem przez chłopca słowa "jeśli".

- A więc czego ode mnie chcesz? Dlaczego tu jestem? Chłopiec nic nie powiedział, wciąż patrząc na niego swoimi jasnymi, niebieskimi oczami.

- Dlaczego nie wezwałeś mnie wcześniej? - zapytał, a z jego twarzy zniknęła cała uprzednia lekkość. Kaerion usłyszał w tym pytaniu smutek i lekką przyganę.

Tym razem zwiesił głowę, zawstydzony.

- Zdradziłem cię - dziecko - w Dorakaa - wyjaśnił. - Pozwoliłem, by strach o własne życie stanął przed obowiązkiem ochrony słabych i niewinnych. - W sercu wojownika zaczęły się kłębić znajome uczucia. Tym razem od nich nie uciekał. - Zawiodłem cię - powiedział w końcu. - Nie byłem godzien wzywać twojego imienia.

- A teraz jesteś? - zapytał zimnym głosem Heironeus. Kaerion nie miał na to odpowiedzi. Niepewnie podniósł głowę i z zaskoczeniem zobaczył, że chłopiec się uśmiecha.

- Chcę, żebyś coś zobaczył, Kaerionie - jeśli czujesz się na siłach.

Machnął ręką, a powietrze przed wojownikiem zadrżało, układając się w znajomy obraz.

To było samo jądro jego koszmaru. Na ołtarzu leżał związany chłopiec, dookoła niego igrały demoniczne stwory. Ze stłumionym przekleństwem Kaerion zobaczył siebie samego, wychudzonego i brudnego, klęczącego kilka stóp dalej. Zwalczył mdłości, kiedy wynędzniała postać odmówiła propozycji demona, by zamienić swoje życie na życie chłopca. Kiedy monstra dokonały ofiary, po jego twarzy płynęły łzy.

Ale nie oderwał wzroku. Przeżywał na nowo każdą sekundę, przypominał sobie wszystko, co widział, słyszał i czuł, przez moc swego boga i siłę własnego serca. Znalazł w sobie odwagę, by jeszcze raz tego doświadczyć.

Patrzył, jak demony wloką jego wstrząsane łkaniem ciało, ale wizja nie zniknęła. Kaerion widział, przejęty grozą, jak zakrwawione ciało chłopca wije się i rzuca na ołtarzu. Rozdarte mięśnie połączyły się na nowo, dłonie zamieniły w szpony, a skórę pokryły łuski grube niczym gęsty mech na bagiennym głazie. Z pleców stwora wystrzeliły skrzydła i demon jednym pchnięciem nowych kończyn zerwał się z ołtarza.

Kaerion spojrział z niedowierzaniem na awatara Heironeusa.

- Co...?

Chłopiec kiwnął głową.

- Tak, teraz rozumiesz. W Dorakaa nie było żadnego niewinnego dziecka. Zostałeś oszukany. Chroniłem cię nawet w szponach Iuza. Jego słudzy nie mogli cię zabić, skoro sam się im nie oddałeś.

- Ale nawet jeśli to była iluzja, myślałem, że jest prawdą! - zaprotestował Kaerion. - Wierzyłem, że któryś z nas umrze, ja albo chłopiec. Wybrałem życie.

- Nie - powtórzył z naciskiem awatar. - Wyczułeś, że coś jest nie tak i choć byłeś na wpół szalony, nie pozwoliłeś Iuzowi zatryumfować. Przypominasz sobie?

- Nie! - zawołał Kaerion. - Nie! To była moja wina! Moja!

- Przypomnij sobie - powiedział awatar i tym razem to nie było pytanie. Słowa boga eksplodowały w umyśle Kaeriona, przywołując wspomnienie niemal zupełnie przez niego wyparte, pogrzebane w jamie Dorakaa. Przeczował coś, ale ukryły to przed nim poczucie winy i gniew na własną słabość.

- Skoro cię nie zawiodłem, dlaczego nie czułem twej obecności przez te wszystkie lata? - Kaerion nie wiedział, czy ma krzyczeć z wściekłości, czy płakać. Kłębiły się w nim uczucia, stare i zupełnie nowe.

- Mój synu - powiedział awatar łagodnym głosem dziecka - myślałeś, że uciekłeś z Dorakaa, ale nosiłeś w sobie te lochy przez wiele lat, nie chcąc się od nich uwolnić. Nie mogłem cię osiągnąć, dopóki sam mnie nie przyzwałeś.

- Ale klątwa... - Kaerion wskazał miecz w pochwie. - Dlaczego dręczyłeś mnie obecnością Galadorna?

Awatar znów się uśmiechnął.

- Znasz siłę i moc tego miecza. Galadorn sam decyduje, kto nim włada i nawet ja nie sprzeciwiam się jego woli.

Kaerion patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Nie przekląłem cię jego obecnością. Gdybym naprawdę się od ciebie odwrócił, starałbym się go przekonać, by wybrał kogoś innego. Na szczęście... - głos chłopca stawał się coraz niższy i głębszy - ... po prostu odmówił opuszczenia twego boku.

Kaerion nie uwierzyłby w to, gdyby Galadorn w tej chwili nie zapulsował mocą. Trudno było mu to wszystko pojąć. Potrzebował czasu, by się zastanowić.

- Czas to coś, czego nie mamy - powiedział awatar, odpowiadając na jego myśli. Kaerion podniósł wzrok, słysząc niski, dźwięczny głos. Błękitnooki chłopiec zniknął. Na jego miejscu stał potężny wojownik w złotym, płytowym pancerzu. Jego twarz emanowała siłą i szlachetnością.

- Będziesz mi służył? - zapytał arcypaladyn, wznosząc lśniący miecz nad głowę Kaeriona. Bez

namysłu wojownik padł na kolana, czując spływające po twarzy łzy. Głosem o wiele pewniejszym, niż mógłby się spodziewać, po raz drugi w życiu przyjął jarzmo Heironeusa.

- Powstań więc, Kaerionie, znany jako Whitehart, najlepszy i najjaśniejszy z mych obrońców! - zagrział głos awatara, niosąc się echem po świątyni i, jak podejrzewał Kaerion, po najdalszych planach egzystencji. - Powstań i zanieś światu moją sprawiedliwość!

Kaerion wstał, otoczony nimbem czystego, białego światła. Blask rósł, wypełniając całą świątynię...

* * *

I zgasł. Kaerion zobaczył zmierzającą ku jego gardłu stwardniałą dłoń o palcach wygiętych jak szpony. Skoczył w tył, potykając się o stos monet. Awatar mówił prawdę. W tym świecie nie minęła nawet chwila - co oznaczało, że mimo wszystko było za późno, by ocalić Majandrę. Kaerion poczuł szarpiący ból, kiedy to sobie uświadomił, w jego piersi płonęło jednak coś jeszcze - potęga Heironeusa.

Z okrzykiem żalu i tryumfu wyciągnął z pochwy ostrze, które spoczywało w niej od dziesięciu lat. Galadorn ożył w eksplozji białego żaru. Runy na jego klindze zaśniły energią. Unosząc miecz nad głowę, Kaerion przyzwał Heironeusa. Miecz zaśpiewał mocą.

Nareszcie się zjednoczyliśmy!, krzyknął miecz w umyśle paladyna i wystrzelił promień energii, powalając mnicha na ziemię. Kaerion czuł, że miecz odpycha czarną obecność Acereraka.

Błagam cię o wybaczenie, Galadornie, za to, że tak długo cię odrzucałem, powiedział.

Nie musisz, usłyszał odpowiedź. Dopiero po chwili Kaerion zdał sobie sprawę, że głos miecza w jego głowie brzmi inaczej niż kiedyś. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, czuł bowiem wzbierający w nim słuszny gniew swego boga. Czaszka Acereraka odwróciła się od walczących i mierzyła go teraz nienawistnym spojrzeniem. Z oka licza wystrzeliła czarna energia, jedno cięcie świętego miecza odbiło ją jednak w bok.

Obecność czaszki paliła zmysły Kaeriona niczym trawiący rak. Całe jego ciało i dusza domagały się jej zniszczenia. Paladyn odetchnął głęboko i rzucił się do ataku.

- Heironeusie, dodaj mi sił! - ryknął.

Poczuł wypełniającą go moc arcypaladyna, wpierw wolno, potem z coraz większą szybkością - białą, gorącą i upajającą. Każdy muskuł jego ciała chłonał świętą energię, aż zaczęła go rozpierać.

Ze zwycięskim okrzykiem zamachnął się mieczem, z trudem powstrzymując rozsadzającą go boską furję. Przez ułamek chwili czuł słaby opór - a potem ostrze Galadorna uderzyło w czaszkę.

Moc Heironeusa eksplodowała, zamieniając ją w chmurę pyłu. Czarny duch Acereraka umknął z potwornym wrzaskiem.

- Nie, głupcze! - krzyknął ktoś spod wrót krypty.

Kaerion nie miał czasu wypatrywać krzyczącego. Zerknąwszy na swoich towarzyszy, zobaczył, że golem prawie ich już pokonał. Poobijana i zakrwawiona Landra z trudem unosiła miecz, a Bredeth doskakiwał do potwora i ciał go raz za razem, działając niczym ogar atakujący olbrzymiego dzika.

Cofnięty o kilka kroków Gerwyth strzelał do golema z łuku. Kilka jego strzał trafiło, ale stwór nie wydawał się nawet ranny. Kaerion zaatakował i ze zdumieniem usłyszał cichy szept łuku. Rozpoznał mowę elfów, ale nie mówiąc nią płynnie, nie zrozumiał słów. Wiedział, że Gerwyth mówi czasem do swojej broni, ale nigdy nie myślał, że jest ona żywa.

To Galadorn pozwala mi ją słyszeć, pomyślał.

Golem wyciągnął potężną łapę, by chwycić Landrę i w tym momencie Kaerion ciał go potężnie w bark. Siła ciosu niemal odrąbała ramię stwora. Paladyn usłyszał chrzęst kości, głośny, lecz niezdolny zagłuszyć zwycięskiej pieśni jego miecza.

Kolejna strzała trafiła golema, wbijając się w jego gardło, stwór jednak nawet nie zwolnił. Kaerion zasłonił się pospiesznie tarczą i chrząknął, przygięty siłą jego łapy, która wygięła tarczę jak miękką blachę. Miał właśnie odrzucić bezużyteczny już ciężar, kiedy usłyszał krzyk Galadorna.

Kaerionie, za tobą!

Paladyn odwrócił się, ale był zbyt wolny. Krzyknął z bólu, kiedy odziana w czerń postać wbiła mu głęboko w plecy sztylet. Kaerion przeklął własną głupotę. Zupełnie zapomniał o złodzieju, który ukradł część map Phathasa podczas napaści na gospodę.

Jesteś ciężko ranny, oznajmił miecz - właściwie niepotrzebnie, bo Kaerion sam czuł, że nie jest z nim dobrze. Sztylet złodzieja przebił mu nerkę i prawdopodobnie przedziurawił żołądek.

Ulecę cię, powiedział Galadorn, a paladyn rzeczywiście poczuł, że jego rany się zasklepiają, a ramionom wraca siła. Mężczyzna rzucił się w tył, nie chcąc narażać się na następny cios w plecy.

Nigdy dotąd nie mogłeś tego robić, powiedział do miecza. To coś nowego.

W rzeczy samej, odparł zagadkowo Galadorn, a Kaerion nagle zrozumiał, dlaczego jego głos wydawał mu się inny.

Vaxorze? - spytał. To ty?

Jesteśmy tu, usłyszał odpowiedź. Dziękujemy za twój dar.

Jakieś poruszenie z prawej strony przerwało Kaerionowi zadawanie następnego pytania. Z kałuży krwi na podłodze podnosił się Phathas. Czarodziej oddychał ciężko, z trudem, ale udało mu się wstać.

- Zabij kapłana - wyrzeźił, wskazując łysiejącego mężczyznę, trzymającego w ręku jakiś czarny

przedmiot. - Niech inni zajmą się złodziejem.

- A golem? - spytał Kaerion.

- Zostaw... go mnie - sapnął mag. Kaerion aż się cofnął, słysząc zawziętość w jego głosie. —

Ruszaj!

Potrząsając głową, paladyn odstepił od morderczego stwora i rozejrzał się, szukając złodzieja.

- Pamiętaj mnie, przyjacielu! — rzekł jeszcze cicho mag i skoczył na golema. Zanim potężne ramiona konstruktów zamknęły go w miażdżącym uścisku, czarodziej złamał na pół swoją laskę. Potężna eksplozja zachwiała ochronnym czarem Galadorna, miecz jednak wytrzymał.

Kaerion zaszarżował na złego kapłana, ale zanim go sięgnął, drogę zastąpiła mu odziana w czerwien postać.

- To koniec - warknął paladyn do mnicha, który w odpowiedzi kiwnął tylko głową. Kaerion ciął ukośnie swoim świętym mieczem - i ledwie go utrzymał, kiedy dziobaty mężczyzna kopnął go z półobrotu. Kaerion wychylił się, by nie upuścić broni i odsłonił się na chwilę, co mnich błyskawicznie wykorzystał. Dwa ciosy otwartą dłonią w twarz oszołomiły paladyna; niewiele brakowało, a jeden z nich zmiażdżyłby mu krtań. Ogłuszony, nie zdołał na czas unieść powyginanej tarczy i padł na kolana powalony kopnięciem.

Jest szybki jak wiatr, powiedział do miecza. Jeśli szybko go nie zranię, bitwa się zakończy.

Odpowiedź Galadorna była natychmiastowa. Miecz rozbłysł, a Kaerion poczuł, że jego krew zaczyna szybciej krążyć, kiedy boska moc zwiększyła jego refleks ponad ludzkie możliwości. Mężczyzna zerwał się na nogi w samą porę, by odeprzeć nawałę ciosów mnicha - i żaden z nich nie dotarł do celu. Kiedy zablokował czwarte uderzenie kantem dłoni, z satysfakcją zobaczył, że dziobaty mężczyzna wytrzeszcza ze zdumieniem oczy.

Nie chcąc już przedłużać starcia, Kaerion sam zaatakował. Jego miecz zostawiał w powietrzu smugi białej energii. Pierwszy cios chybił, człowiek w czerwieni nie zdołał jednak uchylić się przed drugim. Galadorn ciął go po żebrach i rozbłysnął, kiedy na podłogę bryznęła krew.

Wyczuwając zwycięstwo, Kaerion zmniejszył dystans i pchnął. Mnich potknął się, próbując uniknąć ciosu, a paladyn, znów wzywając moc Heironeusa, ciął ukośnie z góry. Miecz zajaśniał od wypełniającej go, rozpalonej do białości mocy. Dziobaty odskoczył, ale następnego uderzenia nie mógł już uniknąć. Słuszny gniew i żal dodały sił ramieniu Kaeriona.

- Za Majandré! - ryknął, kiedy klinga Galadorna wbiła się w pierś mnicha. Miecz eksplodował białym światłem, a Kaerion poczuł straszliwą erupcję boskiej energii. Kiedy światłość zniknęła, z jego przeciwnika zostały tylko rozrzucone po całej krypcie drobne strzępy.

Durgoth patrzył ze zgrozą, jak miecz paladyna unicestwia Jhagrena. W innych okolicznościach byłby zadowolony ze śmierci mnicha.

Ale nie teraz.

Czaszka licza została zniszczona, a golem pokonany przez przekłętą bohaterstwo starego maga. Kapłan wiedział, że jego budowane latami plany właśnie się wałają. Zrozumiał, że jego błędem było pokładanie wiary w umiejętności innych. Zobaczył Eltanela, znikającego w mroku i nie wątpił, że przekłety złodziej właśnie rozpoczął ucieczkę do Rel Mord.

A Sydra, całkiem potężna czarodziejka, walczyła właśnie ze szlachcicem, którego kontrolowała. Bredeth był zakrwawiony i poobijany, ale atakował ją jak ogarnięty szałem. Z wyciągniętej dłoni Sydry wystrzeliła błyskawica, ale ku osłupieniu Durgotha, ten głupiec nie spróbował nawet się uchylić. Czar trafił go prosto w pierś, a on zatoczył się do przodu i przebił mieczem gardło czarodziejki, chwilę później padając na jej trupa.

Durgoth zaklął. Czuł szarżującego na niego paladyna -zbliżającą się aurę mocy Heironeusa. Machnięciem ręki wysłał mu na spotkanie kolumnę czarnego ognia.

- Płoń, przekłety sługusie tchórzliwego bożka! - ryknął. Ale paladyn nie spłonął.

Uniósł tylko swój święty miecz, a płomienie spływały po nim, nie czyniąc żadnej szkody. Durgoth prawie słyszał zwycięską pieśń broni.

Wiedział, że nie ma nadziei na ucieczkę. Zamiast jednak napełnić go strachem, świadomość ta wzmogła tylko jego zaciekłość. Może nie podołał zadaniu uwolnienia swego pana, ale wciąż mógł coś zrobić.

Unosząc nad głowę *Kodeks minteksjański*, zaczął recytować słowa najpotężniejszego czaru księgi, rytuału, który zniszczyłby cały grobowiec wraz ze sporym fragmentem okolicy. Umrze, ale zabierze tych przeklętych szlachciców ze sobą. Moc wzbierała w nim jak wzburzona rzeka. Nagiał ku niej swą wolę, kontrolując i kierując potęgą nicości.

Durgoth miał właśnie wypowiedzieć ostatnie słowa zaklęcia i zniszczyć swych wrogów, kiedy poczuł, że nicość się zmienia. Kodeks, źródło jego mocy od tak wielu lat, błysnął purpurowo i znikł. Kapłan z niedowierzaniem czuł, że nagromadzona moc odpływa jak rzeka, której bieg ktoś zawrócił. Nie przewodził już boskiej energii, nie zostało mu nic. Paladyn nadbiegał z mieczem gorzącą świętą furją, a Durgoth Shem rozumiał, że zapłaci cenę za swoją porażkę.

Tharizdun go opuścił.

- Kim jesteś? - zaskrzeczał do nadbiegającego człowieka. Paladyn wahał się tylko przez chwilę.

- Jestem Kaerion Whitehart, sługa Heironeusa - rzekł. -Skazuję cię na potępienie w imię Najmężniejszego. Obyś spędził wieczność przykuty łańcuchem do jego tronu.

Ciął mieczem.

Przed oczami Durgotha rozbłysło białe światło. Cofnął się przed nim, próbując uciec. Blask przesywał jego umysł, odślaniał wszystkie mroczne zakamarki duszy. Kapłan wrzasnął...

I pochłonęła go światłość.

Kaerion osunął się na ziemię.

Czuł się straszliwie wyczerpany. Z oczu popłynęły mu łzy, kapiąc na zbryzganą krwią podłogę. Wokół niego spoczywały skarby warte kilka królestw, złote i platynowe monety, ale jego to nie pocieszało. Wygrali, wypełnili swoje zadanie, ale za jaką cenę?

Był świadom, że Landra i Gerwyth, jedyni ocalali z rzezi oprócz niego, zbierają ciała poległych. Umysł przepełniły mu wspomnienia towarzyszy. Phathas, Bredeth, Majandra - wszyscy zginęli. Kaerion bezgłośnie poleciał ich Heironeusowi. Poczul pulsującą odpowiedź Galadorna i zrozumiał, że arcypaladyn czuwa nad jego przyjaciółmi.

Poderwał się na nogi, słysząc krzyk Gerwytha. Poobijane mięśnie zaprotestowały, ale udało mu się je zignorować.

- Co się stało, Ger? - zapytał, podchodząc do trzymającego coś w dłoni elfa.

Jego przyjaciel spojrzał na niego pytająco. Kaerion wyczuł raczej, niż zobaczył niepewność Gerwytha i uświadomił sobie, że tropiciel nie znał go przed opuszczeniem służby Heironeusa. Uśmiechnął się łagodnie do przyjaciela.

- Wszystko w porządku, Ger - powiedział. - Musimy porozmawiać o wielu rzeczach.

Elf przyglądał mu się jeszcze przez chwilę.

- Może jest ich więcej, niż ci się wydaje, Kaer. Spójrz.

W jego dłoni spoczywał diament, jeden z tych, które Kaerion widział w czaszce Acereraka. Jądro klejnotu lśniło czerwono i przez chwilę paladynowi wydawało się, że słyszy cichutki dźwięk harfy.

- Myślisz...? - zaczął Gerwyth, ale Kaerion szybko mu przerwał.

- Nie wiem - powiedział głosem ochryłym z emocji. Nie śmiał głośno wyrazić tego, co jego przyjaciel miał na myśli. Blask diamentu mógł oznaczać wszystko. Klejnot mógł być po prostu magiczny, mógł też być ostatnim schronieniem Acereraka. Zmysły Kaeriona podpowiadały mu jednak coś innego. Poczul rosnącą nadzieję. Jeśli Majandrę można było jeszcze ocalić, poruszy niebiosów wszystkich planów, by to zrobić. Delikatnie wziął diament z dłoni przyjaciela i schował go do jednej z sakiewek.

Z kąta krypty rozległ się jęk. Obaj rzucili się w tamtą stronę. W stosie monet i złotych ozdób leżał Bredeth. Ciało szlachcica było potrzaskane. Mężczyzna nogi miał wygięte pod nienaturalnym kątem, jego odsłoniętą skórę pokrywały głębokie oparzenia, a twarz zamieniła się w masę pęcherzy i zwęglonego ciała. Zakaszłał i spojrzał na Kaeriona jedynym pozostałym mu okiem.

- P... przepraszam, Kaerionie. Próbowałem... próbowałem się opierać - zacharczał - ale oni m-

mnie porwali i... - Znów zakaszłał, opryskując sobie brodę krwią.

Kaerion uklęknął przy nim i łagodnie odsunął splątane, przypalone włosy z twarzy. W jego życiu było tyle żalu, tyle wyrzutów sumienia, pomyślał. Przed oczami stanął mu obraz zmasakrowanego Vaxora. Mimo to wiedział, że bogowie istnieją po to, by wspierać śmiertelników trudzących się pod ciężkim jarzmem życia. Ostatnie kilka miesięcy wiele go nauczyło. W życiu było piękno i radość, choć bardzo kruche. A on będzie stał, zbrojny w potęgę Heironeusa, na ich straży.

- Nikt cię o nic nie wini, Bredecie - powiedział w końcu. - Bez ciebie nie dalibyśmy rady pokonać tchórzy, którzy nas napadli.

Szlachcic odetchnął chrapliwie.

- Widziałem... widziałem Adrysa i... złodzieja. Zniknęli w... ciemności i uciekli. Próbowałem... ich zatrzymać... - Jego ciałem wstrząsnął następny atak kaszlu. - Ale... nie potrafiłem.

Kaerion poczuł, że napinają mu się mięśnie twarzy.

- Nie martw się o to, Bredecie - rzekł. - Zapłacą za wszystko. Nie uda im się ujść sprawiedliwości Heironeusa.

Bredeth westchnął i zadygotał, a Kaerion zobaczył, że umierający mężczyzna zerka rozpaczliwie gdzieś w bok. Stała nad nim śmierć, a on o tym wiedział. Jęknął i spróbował odwrócić głowę.

- Skarbiec...? - wykrztusił.

- Jest bezpieczny - zapewnił go Kaerion. - Twój kraj dostanie swój skarb. Osobiście go dostarczę, a ponieważ arcypaladyn natchnął mnie swoją mocą, zaoferuję Nyrondowi swoją służbę.

Twarz Bredetha wygładziła się w spokojnym uśmiechu.

- To dobrze - szepnął ochryple i zamknął oczy.

Kaerion poczuł na ramieniu dłoń Gerwytha i pojął, że elf usłyszał złożoną umierającemu szlachcicowi obietnicę i również czuł się nią zobowiązany. Odwaga i poświęcenie pokonały mroczną potęgę Acereraka. Świat potrzebował tych ideałów - ideałów, które Kaerion zamierzał krzewić w imię Heironeusa. Wojownik spojrzął na Gerwytha i pomyślał, że nie mógł sobie wymarzyć do tego zadania lepszego towarzysza.

Położył dłoń na piersi Bredetha i pobłogosławił duszę szlachcica, mknącą teraz do krainy Najmężniejszego. Potęga boga wypełniła grobowiec zapachem róż.

Krypta grozy pochłonęła swą ostatnią ofiarę.